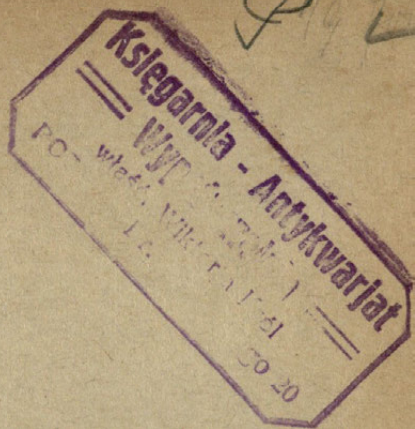


43 327 [1]



STANISŁAW GERLACH

Z TASZKENTU
DO KRAKOWA
NAKOŁO ŚWIATA

PAMIĘTNIK UCIECZKI OFICERA POLAKA
Z NIEWOLI ROSYJSKIEJ.

CZĘŚĆ PIERWSZA.



CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773



Wa5167676



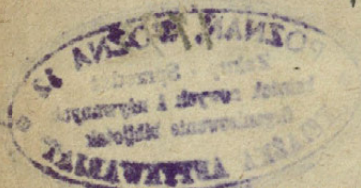
WYDAWNICTWO KOZIAŃSKICH WARSZAWA-KRAKÓW.

opisy podr.

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE.



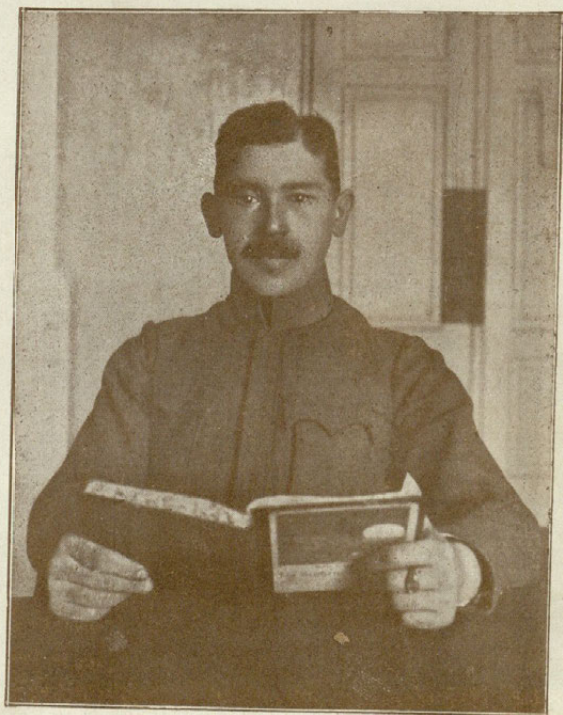
43327 [B]



OKŁADKA I OZDOBY WEDŁUG PROJEKTU ART.-MALARZA
WAŁAWA BOROWSKIEGO.

N-1083702 NH-68060/TKK

PAN alca. h. 217/70



Po powrocie do Krakowa znowu w szeregach armji.

Pamięci Mojej Żony Joe.

Książka niniejsza nie ma pretensji być dziełem literackim. Jako reminiscencja przeżytych wrażeń i wspomnień niewoli i ucieczki, powstała samorzutnie z opowiadań w gronie rodzinnem. Ponieważ w ciągu wielomiesięcznej ucieczki i tułaczki nie chciałem i nie mogłem z obawy zdradzenia się przed pościgiem, czynić żadnych zapisków ani notatek, więc pamiętnik ten jest tylko rekapitulacją tego co zdołała zatrzymać pamięć a pisała pod dyktatem ręka mej dozgonnej towarzyszki. Opowiadanie moje puszczam w świat z prośbą o wyrozumiałość i wybaczenia usterek lub niedbałości stylowych jakie zdarzyć się mogły. Niech pamiętnik ten—wspomnienie przeżyć najcięższej niedoli i tęsknoty, poniewierki i samozaparcia świadczy o sile woli i odporności Polaka, który w najcięższych terminach, wśród najsroźszych doświadczeń losu i zmiennych przygód i kolei, zdoła wyzwolić się z wszelkiej opresji, jeżeli podtrzymuje go nadzieja powrotu na łono umiłowanej Macierzy.

. Bregencja, w r. 1918.

Autor.



CZĘŚĆ PIERWSZA.

ROZDZIAŁ I.

Taszkent. Pierwsza myśl ucieczki.

Kiedy pierwszy raz w niewoli rosyjskiej posłyszałem słowo Taszkent, nie wiem sam dlaczego utkwilo mi ono więcej w pamięci niż nazwy innych miast rosyjskich i często myślałem o mieście tem tak daleko położonem na wschodzie.

Byłem wtenczas w szpitalu w Rostowie nad Donem i otrzymałem właśnie kartkę od jednego z moich kolegów w niewoli, por. B. Krobickiego inżyniera ze Lwowa. Mimowoli zacząłem szukać miasta tego na mapie i interesować się nim, zwłaszcza że według opowiadania personelu szpitalnego miasto to miało być jednym wielkim ogrodem drzew owocowych.

W połowie maja 1915 wyjechałem ze szpitala w Rostowie nad Donem do Penzy, skąd transportem ode-

słano mnie do Syzrania nad Wołgą. — W podróży zatrzymaliśmy się na jednej ze stacji, aby przepuścić pociąg nadchodzący z przeciwnej strony. Po chwili zjechał na stację z hukiem i rozpędem pociąg pospieszny cały zakurzony, pokryty grubą warstwą pyłu tak, jakby przebył silną zadymkę śnieżną. Na tabliczkach wagonów widniały duże napisy Taszkent—Tuła.

I wtedy to po raz pierwszy zbudziła się we mnie ciekawość, jak wygląda ten daleki kraj, z którego ten pociąg przybywa, jak wyglądają te stepy, przez które przejeżdżał, to miasto ogrodów, z którego wyjechał?

Na razie nie dojechałem do tego miasta, gdyż w parę godzin później wysadzono mnie w Syzranii i odstawiono do obozu jeńców.

Klimat jednak tamtejszy i powietrze zmienne dopomogły mi o tyle, że po usilnych staraniach odesłano mnie ostatecznie po czterech miesiącach do Taszkontu.

Przybywszy tutaj zastałem już około 800 oficerów austriackich rozmieszczonych w ośmiu obozach w mieście. — Mnie przeznaczono do tak zwanej kasarni V. pułku kozaków orenburskich, stojącej poza miastem obok stacji kolejowej, gdzie było już kilku Polaków, między innymi porucznik Bolesław Skąpski, inżynier z Krakowa.

Z nim też zmówiliśmy się uciekać, co jednak nie było rzeczą łatwą. Raz ze względu na to, że kontrola w obozie była bardzo ostra a strażę bardzo czujne, ile że już około 30 oficerów próbowało uciekać z Taszkontu. Tych prawie wszystkich przyłapano w stepach, a za karę osadzono ich w twierdzy Gulczy na granicy chińskiej. Powtórę, że dookoła nas w sąsiednich poko-

jach mieszkali oficerowie czesi, którzy żyjąc w jak najlepszej komitywie z moskalami donosili im o wszystkim, co się w obozie działo, a więc i naszą ucieczkę byliby natychmiast zdradzili.

Początkowo chcieliśmy uciekać przez Ashabad do Teheranu, a stamtąd przez Konstantynopol do kraju; następnie nosiliśmy się z zamiarem, aby przejechać koleją z Taszkentu do Krasnowodzka, skąd okrętem na południowy brzeg morza Kaspijskiego i około 80 wiorst przejść piechotą do Teheranu. — Gdy jednak w międzyczasie przyłapano trzech oficerów, którzy starali się przedostać do Teheranu, zaniechaliśmy obu poprzednich planów, a natomiast po dłuższej naradzie zdecydowaliśmy się uciekać do Centralnej Rosji, ztąd do Charbina i Pekinu, a następnie przez Amerykę do Europy.

Że zaś jak wspomniałem wyżej baliśmy się zdrady ze strony Czechów, więc postanowiliśmy zgodnie, że najpierw ucieknie Skąpski, — ja będę skrywał jego ucieczkę przez kilka dni, a gdy on będzie już daleko, ucieknę w nocy również i ja, aby podążyć do miejsca, w którym mieliśmy się spotkać.

Rzeczywiście z końcem października 1915 Skąpski zniknął w nocy z obozu szczęśliwie i pomimo energicznych poszukiwań i pościgu ze strony władz rosyjskich, zdołał umknąć.

Przepadł, jak kamień w wodzie i niedługo potem wszelki słuch o nim zaginął.

Tymczasem ja przechodziłem cały szereg śledztw. Indagowano mnie, dlatego ukrywałem jego ucieczkę i nie doniosłem o niej komendantowi jeńców. Roztoczono coraz ściślejszą kontrolę w obozie i zaprowadzono

cały szereg innych szykan, tak, że już prawie całkiem straciłem nadzieję zrealizowania planu mojej ucieczki.

Tak przeżyłem ciężkich sześć miesięcy, podczas których wstawałem i kładłem się spać z jedną i tą samą myślą: uciekać, uciekać, uciekać...

Czas przechodził, jak zwykle w takich razach bardzo szybko. Minął niespostrzeżenie październik, listopad i zaczął się zbliżać powoli grudzień.

Pogoda w Taszkencie o tej porze jest piękna. Wprawdzie noce, wieczory i ranki są bardzo zimne, ale zato dni są pogodne, przyjemne i wolne od dużego żaru, który przez całe lato tam panuje. Prawdziwa jesień polska, — gdyby nie te dzikie krajobrazy, nie te puszcze ciągnące się wokoło, te tumany kurzu unoszące się w powietrzu po każdym przejściu karawany wielbłądów.

Chodziłem wtenczas jeszcze nieraz do miasta, nie patrząc jednak na nic i nie widząc nikogo, pogrążony tylko w swych planach jak najrychlejszej ucieczki. — Tutaj bowiem, gdzie się obecnie znajdowałem było ciepło a w południe nawet i gorąco; tam zaś dokąd miałem uciec, to znaczy do Syberji, była z pewnością już zima sroga, a mrozy od 20 do 30 stopni. Sam przejazd w tym czasie przez Syberję w normalnych warunkach z powodu panującego zimna przy najmniejszej komplikacji w podróży czy to z powodu spóźnienia, czy też z powodu jakiegoś wypadku, wstrzymania ruchu lub zderzenia, mógł być dosyć nieprzyjemny, jeżeli już nie niebezpieczny nawet dla zwykłego podróżnego; a cóż dopiero mówić o mnie, który na każdym kroku tylko z przeszkodami spotykać się mogłem.

Pomimo tego jednak nie traciłem nadziei ucieczki i stale żyłem tą myślą.

Wyjść tak prosto jak Skąpski z pokoju do ogrodu, a następnie przez płot poza obóz nie mogłem, gdyż zaraz po jego ucieczce podzielono nas wszystkich w obozie na cztery partje, a do każdej z nich został przydzielony stały konwój (strażnik), który znał dobrze swoich oficerów, do każdego z nich przychodził z osobna i kazał podpisywać się własnoręcznie rano i wieczór w książce na dowód, że dany oficer jest w obozie. — Książkę tę następnie kilka razy dziennie przeglądał starszy podoficer.

Do nas przychodził strażnik, dosyć potulny i uprzejmy moskal. Z początku rozmową i kilku uprzejmymi słowami, później zaś drobnymi podarunkami, jak papierosy, kawałek chleba i cukru, udało mi się go pozyskać i dla siebie zjednać. Ale to trwało tylko kilka dni i zwykle te próby zjednania kończyły się wielkiem z mej strony rozczarowaniem.

Tymczasem życie w naszym obozie szło zwykłym trybem. Wstawaliśmy codziennie około 7-mej. Po śniadaniu schodziliśmy się razem na podwórzu lub w ogrodzie i gawędzili na temat wojny, ostatnich telegramów z pola bitwy, powrotu do domu i t.d., następnie obiad, potem drzemka, potem znowu „czaj“, spacer popołudniowy po ogrodzie, kolacja, a wieczorem zebranie w tak zwanym kasynie.

W koszarach bowiem kozackich, w których mieszkaliśmy było kilkanaście pokoi, w których mieszkało po dwóch, trzech i więcej oficerów razem. Był także jeden większy pokój tak zwany przejezdny, na dwa-

dzieścia kilka łóżek, w którym czasowo mieszkali oficerowie świeżo przybyli do Taszkentu, zanim ich jeszcze przydzielono do jednego z obozów. — W tym pokoju przebywali oni zwykle parę dni, poczem albo odprawiano ich dalej, albo też dawano im mieszkanie u nas w obozie. Pokój ten był właściwie pewnego rodzaju hotelem zajezdny.

Otóż zanim jeszcze przybyłem do Taszkentu, oficerowie czesi wyprosili u wojennego naczelnika, żeby do pokoju tego nie dawano więcej oficerów jeńców, przejeżdżających tylko przez Taszkent; lecz, aby zostawiono pokój ten do dyspozycji oficerów jeńców, którzy za własne pieniądze pokój ten odczyszczą i urządzią tak, aby mogli tam schodzić się wieczorem na wspólną pogawędkę.

Komendant zgodził się na to; pokój odpowiednio urządzono, wstawiwszy do niego kilka stołów i kilkanaście krzeseł i tak powstało nasze „kasyno“.

W tem to kasynie zbieraliśmy się co wieczór jeszcze kiedy był Skąpski i ś. p. Dr. Jaglarz, który w listopadzie 1915 zmarł na tyfus plamisty w Kokandzie. W ten czas siadywaliśmy razem przy jednym stoliku i grywaliśmy stale w preferansa. Inni oficerowie grali w szachy lub karty, czytali gazety lub gawędzili między sobą.

Od czasu jednak jak Skąpski uciekł, a Jaglarza przeniesiono z Taszkentu do Kokandu przebywanie dla mnie w kasynie było wprost męczarnią. Na kogo bowiem tylko okiem rzuciłem, wszyscy mieli miny zadowolone i uśmiechnięte. I ostatecznie cóż dziwnego że w zapale gry zapominali zupełnie gdzie się obecnie

znajdują. — Widząc te uśmiechnięte twarze i zadowolone miny moich towarzyszy dochodziłem wprost do rozpacz. Oni śmieją się i bawią w najlepsze, a mnie taka rozpacz, tęsknota i żal, ogarniają na myśl że uciekać nie mogę.

Oni zadowoleni, że siedzą tutaj bez troski i nie jeden z nich może w oczy by mi się roześmiał, gdybym mu o swoim planie powiedział, a ja dużobym dał, gdybym tylko mógł uciec. Tymczasem wszystko składało się jakby na przekór.

Jak nisko w moich oczach stali ci ludzie, którzy za pięćdziesiąt rubli miesięcznej gaży mogli się delektować życiem więziennem.

W obec tego pozostawałem sam ze swojemi myślami, a co znaczy myśleć stale o jednym lub mieć zmartwienie przy upale 45 do 50 stopni, jaka tortura człowieka nęka, ten potrafi tylko odczuć, co sam coś podobnego przechodził.

Ponieważ przewidywałem, że ucieczka moja przeciągnie się gdzieś do wiosny 1916 roku, więc nie chcąc żyć bez zajęcia, wziąłem się do nauki języka rosyjskiego, widząc w tem jedyny swój ratunek.

To mi skracało czas niesłychanie, gdyż miałem stale przed i po południu dwie do trzech godzin zajętych.

W międzyczasie zaczęło się robić coraz chłodniej, niebo zaciągnęło się chmurami, deszcze padać i czas słotny rozpoczął się na dobre.

Wskutek ciągłego deszczu ziemia glinista rozmokła się tak bardzo, że idąc do miasta zapadaliśmy po kolana w błocie. Przytem zimno i chłód dojmujący przeje-

mowały nas do szpiku do kości, tak, że rzadko wychodziliśmy z pokoju.

Prawie całe dnie spędzałem wtedy w mieszkaniu czytając na głos po rosyjsku. Pokój ten bardzo szczupły o małych okienkach, do którego wchodziło się przez dwa inne pokoje i sieni, był w tym czasie dla mnie prawdziwym więzieniem.

Było to już około Bożego Narodzenia i wtedy miałem zamiar po raz drugi spróbować ucieczki.

Strażnik, który przychodził do nas po podpisy przyzwyczaił się do tego, że jeden oficer podpisywał się za drugiego. — Ponadto zdawało mi się, że strażnika udało mi się pozyskać, tak, że na wypadek, gdybym uciekł, ucieczka moja da się przez kilka dni ukryć. Na wszelki zaś wypadek chciałem zostawić jednemu z moich kolegów kilkadziesiąt rubli, aby w razie wyjścia na jaw mojej nieobecności starał się strażnika przekupić.

Główną rzeczą były teraz pieniądze.

Miałem w mieście dwóch pomocników, którzy mieli mi pomagać w ucieczce, ci jednak zażądali w ostatniej chwili około 200 rubli gotówką, a oprócz tego całe utrzymanie w drodze z Taszkentu do Władywostoku.

Tymczasem ja miałem zaledwie około 300 rubli i to z trudem zebranych.

Czas nagiął, uciekać trzeba było zaraz, chwili nie było do stracenia, a tu jak na złość pieniędzy znikąd wydostać nie można. — Zwracałem się do zaufanych oficerów, o których dobrze wiedziałem, że mają dosyć gotówki, gdyż przywieźli ją z Przemyśla, zaoszczędziwszy sobie po parę tysięcy koron, podczas oblężenia

twierdzy, lecz każdy z nich grzecznie się wymówił, choć nawet kilkaset rubli mógł być bez uszczerbku mi pozyczyć.

Położenie moje było tedy nie do pozazdroszczenia. W chwili gdy mogłem już uciekać, nie miałem odpowiedniej ilości pieniędzy.

W końcu jednak wydobywszy jakieś kilkadziesiąt rubli, zdecydowałem się uciec podczas świąt Bożego Narodzenia, to jest podczas wilji.

W tym czasie przyjechała do nas do Taszkentu celem zwiedzenia obozów jeńców austriackich w całym Turkestanie siostra z austriackiego czerwonego krzyża. — Zaraz po swym przyjeździe zapowiedziała, że przyjdzie do nas na wilję i urządzi nam drzewko.

W ten uroczysty wieczór 24 grudnia zebrali się wszyscy oficerowie po kolacji w naszym kasynie. Niedługo potem zjawiała się siostra z czerwonego krzyża w towarzystwie komendanta naszego obozu, oraz towarzyszących jej oficerów rosyjskich.

Drzewko postawione na stole, ubrane świecidelkami jaśniało od zapalonych świec. Pod niem na stole leżały drobne podarunki, kupione za złożone przez oficerów pieniądze. Drobnostki te miały być po wilji rozdzielone pomiędzy nas wszystkich.

Na każdym z nich wygrawировanym był napis „Święta Bożego Narodzenia w Taszkencie 1915“.

Zaczęła się w końcu uroczystość. Chór złożony z oficerów odśpiewał kolendy, a później jakby modlitwę błagalną, znaną pieśń „do Ojczyzny wróć mnie Panie“!

Chwila ta była za podniosłą i za uroczystą, bym ją był w stanie opisać. Powiem tylko, że młodszy oficer-

wie puszczali smutnie głowy, starsi łzy mieli w oczach.

Przemówiła następnie do nas w kilku słowach siostra, poczem zabrał głos najstarszy między nami wiekiem oficer pułkownik Szatmary (Węgier). W krótkich słowach przebiegł chwile od początku wojny aż do obecnych świąt. Nikt nie przypuszczał że wojna tak długo się przeciągnie, że tak długo będą trwać ciężkie chwile niewoli. Lecz nie traćmy nadziei i nie upadajmy na duchu pod ciężarem naszego nieszczęścia, a Bóg może sprawi, że przyszłe święta spędzać już będziemy na łonie naszych rodzin.

Zaczęło się rozdawanie podarunków, które niejednemu miały przypominać później gorzkie chwile niewoli. Podczas rozdawania ruch i zamieszanie na sali wzmogły się bardzo. Stłoczeni oficerowie stali grupami rozmawiając to między sobą, to z siostrą, która do każdego parę słów przemówić się starała.

Widząc to cieszyłem się w duszy myśląc, że Moskale uszanują tę podniosłą chwilę i to wrażenie jakie na nas wywarła cała ta uroczystość i idąc za popędem swojego dobrego serca (jak o nich niektórzy powiadają) nie będą dzisiaj przeprowadzać tak ścisłej kontroli jak zwykle; potem następuje dwa dni świąt, a potem już mogą być daleko.

Tymczasem naraz z przerażeniem zauważyłem, że przez zbity tłum skupionych oficerów zaczynają się przeciśkać strażnicy, szukając zajadle każdego z nas jeszcze pilniej niż zwykle, przyczem „starszy“ naganiał ich ciągle do jak najściślejszej kontroli osobistej.

Trzeba było ich wtedy widzieć! Jak psy policyjne

rzucali się na wszystkie strony, rozpychając łokciami wszystkich i wszystko co tylko stało na drodze, wrzeszcząc przytem przeraźliwie: oficerowie podpiszcie się, podpiszcie się!

Zupełnie mnie to wszystko nie ucieszyło; doszedłem bowiem do przekonania, że kontrola dzisiaj na tem się nieskończy i z pewnością w nocy jeszcze się powtórzy!

To było jednym z powodów, że zdecydowałem się tego wieczoru szczęścia nie próbować, a jak się później okazało, wyszło mi to na dobre. Na drugi bowiem dzień rano już około godziny 8-mej zjawił się w naszym obozie chorąży rosyjski, zgromadził nas wszystkich w jednym pokoju i rozpoczął kontrolę, oglądając każdego z osobna. — Gdybym był wczoraj w nocy zbiegł, dziś jeszcze rano byliby mnie przyłapali.

Tak zeszedł znowu styczeń i luty i w tym czasie udało mi się wystarać o nowy porządny dokument podróży.

Dokument ten był wystawiony zupełnie formalnie na nazwisko rosyjskiego poddanego i był opatrzony numerem, pieczęciami i podpisami. Chodziło teraz tylko o to, aby to tak zwane „udostowierzenie“ czyli potwierdzenie zgłoszonym było w policji rosyjskiej.

W tym czasie przybyło do nas do Taszkentu i to do naszego obozu 40 lekarzy austriackich, nadesłanych z Omska do Turkestanu dla tłumienia chorób epidemicznych, które już z nadejściem wiosny zaczynały się na nowo gwałtownie rozszerzać. Wskutek tego wzmocniono także warty w naszym obozie i co najgorsza przyszli do nas żołnierze bardzo nieprzystępni. Oprócz tego tworzyły się i inne komplikacje, tudzież ukrócenia

naszej względnej swobody, co wszystko stawało na przeszkodzie mojej ucieczce.

I tak w lutym rozeszła się po obozie wiadomość, że wszystkich nas w najkrótszym czasie mają przenieść z Taszkentu i wogóle z Turkestanu z powodu nadchodzących upałów letnich. Przeniesienie nas miało się odbyć w ten sposób, że słowian północnych miano odesłać do Syberji, słowian południowych w okolice Kijowa, zaś niemców w okolice Saratowa, Samary i Moskwy. Gdyby więc do tego rzeczywiście było przyszło, cała ucieczka i wszystkie przygotowania do niej byłyby odrazu spełzły na niczem. Z drogi bowiem podczas transportu uciekać było bardzo trudno, gdyż straż konwojująca jeńców była bardzo silną i czujną.

Kiedy się zaś jeńiec dostanie do nowego miejsca przeznaczenia, zaczyna się wszystko na nowo. A więc poznawanie miejscowych stosunków, badanie terenu, informowanie się i poszukiwanie ludzi, którzyby pomogli do ucieczki, a bez nich niestety obejść się nie można.

Niedługo potem zaczęły się sprawdzać te pogłoski.

Zaczęto koncentrować w Taszkencie jeńców ze wszystkich obozów w Turkestanie; najpierw oficerów narodowości południowo-słowiańskiej. Nie ulegało więc wątpliwości, że w krótkim czasie wyjedziemy z Taszkentu wszyscy.

W naszym obozie było również kilkunastu południowych słowian, których pewnego dnia zawezwano do kancelarji komendanta jeńców. Byliśmy wszyscy ciekawi, co z nimi będą tam robić lub mówić, a gdy późnym wieczorem wrócili z powrotem do obozu dowiedzieliśmy się ciekawych rzeczy.

Zastępca komendanta obozu wzywał każdego z nich po starszeństwie z osobna do swej kancelarji. Za stołem siedział rosyjski „praporszczyk“, po lewej jego stronie zajmował miejsce serb, po prawej chorwat, obaj oficerowie armji austriackiej.

Wchodzącemu „praporszczyk“ przedkładał cztery pytania wypisane na czterech osobnych arkuszach papieru, a mianowicie:

1) czy chce dobrowolnie zgłosić się do armji rosyjskiej lub serbskiej, i iść na front?

2) czy chce dobrowolnie zgłosić się do jednej z fabryk w Rosji jako komendant nad robotnikami pracującymi przy wyrobie amunicji dla armji rosyjskiej?

3) czy chce dobrowolnie przyjąć obowiązki gospodarza (chodziajstwo) w obozie dla żołnierzy lub oficerów w centralnej Rosji?

4) czy nie ma żadnych życzeń i chce pozostać dobrowolnie nadal w Turkestanie.

Naturalnie prawie wszyscy z małymi tylko wyjątkami podpisali arkusz, na którym było pytanie czwarte.

Wtenczas oświadczone wezwany oficerom, aby nie łudzili się nadzieją pozostania dalej w Taszkencie. Że zostaną wprawdzie nadal w Turkestanie, ale za karę za to, że się nie zgłosili do armji rosyjskiej, przeniesieni zostaną do takiego garnizonu, że im życie zbrzydnie. Nie dali się jednak tem zastraszyć wezwani i pozostali przytem „nie mamy żadnych życzeń, zostawcie nas w spokoju“!

Niedługo potem przybyła do nas nowa partja oficerów z Kazalińska. Kiedy wysiedli na stacji i zostali pomieszczeni w trzeciej baterji, a dowiedzieli się o co

chodzi, urządzili się jeszcze lepiej. Najstarszy ranga pomiędzy nimi oficer zwołał ich razem na naradę, gdzie uchwalono, aby on właśnie jako najstarszy oświadczył komendantowi rosyjskiemu, „że nie mają żadnych życzeń, niczego od moskali nie żądają i żeby ich zostawiono w spokoju. Propagandy niech między nimi zupełnie nie rozpoczynają, bo to się na nie nie przyda“. Oficerów tych odprawiono już następnym pociągami z powrotem do Kazalińska.

Moskale widząc, że cała ich propaganda spełzła na niczem, odesłali także i innych oficerów do ich dotychczasowych obozów. Zaczęto także powoli rozsyłać do poszczególnych miast Turkestanu lekarzy, którzy przybyli z Omska.

Było to już pod koniec lutego, kiedy skończył się nasz areszt kasarniany nałożony na nas z jakiegoś błahego powodu. Cieszyliśmy się nadzieją, że znowu będzie można wychodzić do miasta.

Był nawet jeden dzień taki.

Naraz przyszedł rozkaz, że wyjście do miasta na nowo wstrzymane na cztery tygodnie, a to rzekomo z powodu, że w Austrii miano rozstrzelać pięciu jeńców rosyjskich, którzy wysłani na front włoski nie chcieli budować okopów dla armji austriackiej. Wiadomość tę miała przewieść z Austrii rosyjska misja czerwonego krzyża. — „Za ten barbarzyński czyn, nieliczący z godnością i powagą XX wieku“ — tak brzmiał rozkaz ros. Ministerstwa wojny — „należy wszystkich oficerów austriackich ukarać aresztem kasarnianym przez cztery tygodnie“.

Znowu więc wychodzić nie można, znowu nowa przeszkoda oddalająca moje zamiary.

Nie będąc już dawno w mieście nie wiedziałem co tam słyhać jak obecnie ułożyły się stosunki. Jeszcze w grudniu czy w styczniu, kiedy można było do miasta wychodzić, w rozmowie z rosjanami wybadałem teren przez który miałem uciekać. — I tak dowiedziałem się, że w Syberji największe mrozy panują w grudniu, styczniu i lutym, poczem mróz powoli słabnie, że klimat w Syberji zachodniej jest o wiele surowszy aniżeli we wschodniej. Dalej dowiedziałem się, jak mniejwięcej wyglądają miasta syberyjskie Omsk, Tomsk, Irkuck, Charbin, Władywostok i td. przez które miałem przechodzić, kto tam mieszka, jacy są tam ludzie, jakie wogóle stosunki panują na Syberji; słowem byłem poinformowany o wszystkim jak najdokładniej. Niektóre z tych wiadomości, jak wspomniałem, zebrałem jeszcze podczas zimy.

Chodziło obecnie o to co słyhać w samym Taszkencie; czy i jak można się z niego wydostać, co było rzeczą na razie najważniejszą i najtrudniejszą.

Do miasta iść musiałem koniecznie, trzeba było zdobyć potrzebne mi wiadomości, a tymczasem było to niemożliwem.

Kończył się już powoli czas trwania naszego aresztu i nadzieja wyjścia do miasta zaczęła nam znowu świtać.

Było nawet przez jeden czy dwa dni dozwolonem wyjście z obozu. Coś mi jednak wtenczas przeszkodziło i nie skorzystałem z tej sposobności. Postarałem się jednak o pozwolenie wyjścia na dzień następny. Tymczasem pod wieczór rozeszła się w obozie wiadomość

przyniesiona przez naszych oficerów z miasta, że wybuchły tam rozruchy i że sartów rabują.

Sarci jest ta rasa semicka, wyznania mahometańskiego, trudniąca się w Turkestanie handlem i przemysłem.

Dowiedziawszy się o tem prawie wszyscy oficerowie postarali się o przepustki na dzień następny i postanowiliśmy zaraz po śniadaniu wyjść z obozu, aby się przypatrzeć temu co się w mieście dzieje.

Zanim jednak nadeszła 7-ma godzina rano, już starszy podoficer zjawił się w obozie i oświadczył, że od komendanta obozu nadeszło rozporządzenie, aby oficerów i w ogóle jeńców nie puszczać z obozu z powodu rozruchów.

Oficerowie którzy dnia poprzedniego byli w mieście na zakupach opowiadali, że tłumy kobiet zebrane przed sklepami, zaczęły najpierw wznosić groźne okrzyki pod adresem kupców, że ukrywają towary i środki spożywcze, że podnoszą ustawicznie bez powodu ceny poszczególnych artykułów, że głodzą ludność, a sami się bogacą, poczem z furją rzuciły się na sklepy i składy towarów spożywczych niszcząc i rabując wszystko co im wpadło pod rękę. — Wezwano wojsko składające się ze starych pospolitaków, które jednak do rozruchów zupełnie się nie mieszało. — Owszem, gdzie tylko żołnierze czuli, że można coś znaleźć i wydostać, sami jeszcze wskazywali kobietom te sklepy mówiąc: „chodźcie tu, tu można się pożywić“. A kiedy obladowana kobieta wyszła ze sklepu, dzieliła się z żołnierzami zdobytymi towarami, jakby swoją własnością. To też kiedy tłum począł wzrastać, wezwano na pomoc kozaków.

Ci jeździli wprawdzie patrolami po mieście, ale zamiast uważać względnie przywracać porządek, wypatrywali tylko, czy gdzie nie widać austriackiego jeńca, a gdy go spostrzegli podjeżdżali galopem, aresztowali i odprowadzali do kasarni.

W ten sposób przywracali porządek w mieście!

Na czele rabującego tłumu znajdowała się jakaś starsza kobieta rosjanka, która jakby objęła komendę nad wszystkim, prowadząc tłum od sklepu do sklepu na rabunek.

Nagle zjawił się przy niej policmajster i groźnym głosem krzyknął by poszła do domu, gdyż inaczej ją przyaresztuje!

— Możesz aresztować — odzywa się spokojnie kobieta.

— „Jeszcze raz wam mówię, poszła do domu, albo was przyaresztuję“ krzyczy policmajster.

— „Kogo“ — odzywa się znowu podniecona prowodyerka: mnie? Patrz kto ja jestem!!“ I mówiąc te słowa rozpina płaszcz i pokazuje policmajstrowi pierś udekorowaną medalami, tak zwanymi krzyżami św. Jerzego, otrzymanymi w służbie sanitarnej.

Trzeba zaś wiedzieć, że w Rosji szacunek przed krzyżem wojennym jest tak wielki, jak przed samym Panem Bogiem. To też kiedy policmajster zobaczył „krestyki“ cofnął się zaraz, zasulotował ręką i odszedł na bok.

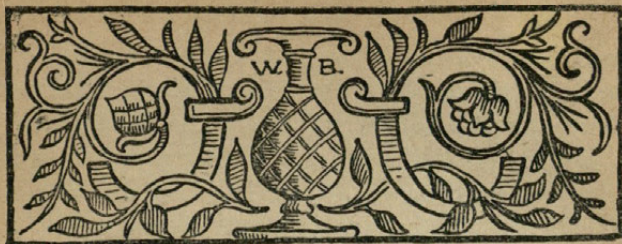
Czy można w takich warunkach mówić o przywróceniu spokoju? Miasto zostało więc całkowicie zrabowane. Przez kilka dni nie można było niczego dostać, ponieważ sarci i kupcy rosjanie albo poukrywali swoje

towary, albo z obawy przed nowym rabunkiem udawali, że nie mają. — My sami przez kilka dni nie mogliśmy dostać ani chleba ani mięsa, ani żadnych jarzyn i musieliśmy żyć samą herbatą i skąpą ilością jaj, które z wielkim trudem udało się nam zdobyć.

Skutek tych wszystkich zaburzeń był taki, że ogłoszono stan wyjątkowy w całym Turkestanie, a nas zamknięto znowu w obozie na całe sześć miesięcy. Patrole po mieście przeciągały stale. Wszystkie wejścia do miasta były strzeżone przez silne pikiety. Żaden jeńiec nie mógł się sam pokazać w mieście bez konwoja, nas oficerów nie puszczano zupełnie, a lekarzy naszych, którzy pracowali w szpitalach rosyjskich odprowadzali tam i z powrotem strażnicy.

Tymczasem w Taszkencie robiło się coraz cieplej. Piękne i pogodne dni mieliśmy już od lutego tak, że pod koniec tego miesiąca zaczęliśmy brać słoneczne kąpiele wysiadując całymi godzinami na słońcu. Czyniłem to samo codziennie, opalając twarz coraz silniej tak, że po kilkunastu dniach stałem się czarny i opalony zupełnie, a rosnąca z każdym dniem coraz więcej w niedłuzie moja czarna broda nadawała mi wygląd prawdziwego kirgiza.

.....



ROZDZIAŁ II.

Ograniczenia w obozie i trudność wychodu.

Wiosna 1916 roku budziła się do życia. Powoli drzewa zaczęły się rozwijać, ziemia zielenić.

W ogrodzie naszym gromady ptactwa najrozmaitszego gatunku, przelatywały z drzewa na drzewo, śpiewając i wabiąc się nawzajem. Szczególniej dużo było tam kosów, które siadając na wysokich smukłych topolach śpiewały całymi dniami aż do późnego wieczora.

Przytem rzecz dziwna, ptactwo to nie było płochliwym i choć podchodziliśmy ku niemu bardzo blisko, nie uciekało przed nami.

Ponieważ ogród nasz był duży i było w nim dużo wolnego miejsca, przeto żołnierze nasi zaczęli kopać ziemię, przygotowując grządki pod jarzyny dla kuchni oficerskich.

Przypatrywałem się nieraz ich robocie jak kopali stwardniałą wysuszoną ziemię. Pytałem się ich: „jak

wam idzie robota“? „Panie poruczniku — odpowiadali zawsze — ta robota zupełnie nie smakuje; ta ziemia tutaj, to tak jak cudza matka. Nie ma takiej radości przy jej uprawie, jak się to ma u nas w Polsce“!

Praca w ogrodzie postępowała szybko. Porobiono chodniki, grządki, kanały do nawadniania i zbiorniki na wodę; oczyszczono drzewa i niedługo wszystko zazieleniało. I widać było tu szmat szpinaku, tam sałaty, tam znowu rzodkiewki, kalarepy lub innej jarzyny.

Również i drzewa grusze, jabłonie, wiśnie, śliwy, morele i tđ. zaczęły kwitnąć i niedługo jakby jednym wielkim całunem nakryły cały ogród.

Pięknie tam było wtenczas i przyjemnie, gdyby tylko nie ta niewola, która odejmując swobodę, czyni najpiękniejszy raj, piekłem i torturą na ziemi.

Nadszedł marzec. Zdenerwowanie moje wzrastało z dnia na dzień. Wiedziałem, że chwila mojej ucieczki się zbliża, że trzeba będzie próbować szczęścia, a nie miałem jeszcze nawet pojęcia jak się to wszystko ułoży?

Kombinacje moje pełły wszystkie na niczem.

Żeby zniknąć z obozu w nocy i żeby mnie kto podpisywał w książce przez kilka dni oszukując w ten sposób kontrolę, o tem nie było nawet mowy. — Strażnik bowiem pilnował mnie na każdym kroku.

W pokoju gdzie mieszkałem było nas czterech oficerów.

Nieraz wstawszy wcześniej rano próbowałem wyjść do ogrodu, lub też umyślnie wtenczas kiedy strażnik miał przyjść do naszego pokoju, wchodziłem do małego przedsionku udając niby, że się tam myję, popro-

siwszy poprzednio kolegów, aby który z nich podpisał się za mnie w książce. — Strażnik jednak nigdy na to zgodzić się nie chciał i szukał czy mnie, czy też drugiego oficera po obozie tak długo, dopóki nie znalazł.

To samo próbowałem podczas wieczornych kontroli, ale i tu nie mogłem niczego wskórać. W końcu przyszedłem do przekonania, że ucieczka na ten sposób mi się nie uda i że lepiej dać spokój wszystkiemu i nie drażnić warty. Bo jeżeli rzeczywiście wpadnę w podejrzenie, to wywożą mnie poprostu do twierdzy do Gulczy, skąd wydostać się, nie było już zupełnie nadziei.

Druga moja kombinacja, aby uciec podczas wyjścia do kościoła również na nic się nie przydała. — (Później pozwolono nam wychodzić partjami w niedzielę pod strażą do kościoła polskiego na mszę).

Mianowicie postanowiłem zupełnie normalnie razem z innymi oficerami, w partji składającej się conajmniej z piętnastu lub więcej oficerów iść za przepustką do kościoła. Naturalnie do obozu wracać już nie myślałem.

Przepustkę miał zabrać jeden z oficerów zaufanych i miał ją oddać w bramie obozu za mnie, a równocześnie wykreślić niespostrzeżenie moje nazwisko w książce zamiast swego. — Wszyscy bowiem oficerowie ile razy wychodzili do miasta musieli się zawsze w bramie podpisywać w książce.

Liczyłem na to, że jeżeli komendant warty będzie sprawdzać ilość oddanych przepustek i zauważy brak jednej, to będzie naturalnie szukać tego, który oddając moją przepustkę, zatrzymał swoją; wobec czego nieobecności mojej na razie w obozie nie zauważą. — Można

zaś było to zrobić z pewnym ryzykiem, gdyż 8/10 warty nie umiało czytać ani pisać.

Miałem więc nadzieję, że w ten sposób nieobecność moja ukryje się dzień, dwa, a może i dłużej.

Atoli już po pierwszym wyjściu do kościoła przekonałem się, że ta kombinacja się nie uda, albowiem kontrola w czasie drogi na nabożeństwo jak również i z powrotem była bardzo ścisłą. — Później wprawdzie polepszyło się o tyle, że strażnik w niedzielę do kościoła z nami nie chodził, ale za to najstarszy w partji oficer, musiał przyjąć na siebie odpowiedzialność, że wszyscy jego oficerowie wrócą z powrotem w swoim czasie do obozu. — Narzązać więc na wielkie nieprzyjemności swojego kolegi nie miałem zamiaru.

Tymczasem broda moja rosła coraz więcej, twarz czerniała coraz bardziej, a włosy rozrastały się w coraz dłuższe loki na sposób kozacki.

Gdzieś w tym czasie wyszedłem wraz z innymi do kościoła. Po drodze porozumiałem się z przewodnikiem naszej partji (najstarszym oficerem) że pójdę do miasta, a około pierwszej gdy będą wracać nazad, zejść się z nimi na moście przy szpitalu. Poczem poszedłem za swoimi sprawami.

Wracając z powrotem spotkałem po drodze jakiegoś uciekiniera z Królestwa Polskiego z którym nawiązałem rozmowę. Od niego dowiedziałem się, że na skutek rozporządzenia Ministerstwa Spraw Wewn. mają w maju wywieść wszystkich uciekinierów czyli t. zw. bieżenców z Turkestanu. Powodem zaś tego rozkazu miało być to, że uciekinierzy głównie z Królestwa Polskiego nie mogli znieść szalonych upałów turkestań-

skich co spowodowało wielką ich śmiertelność w r. 1915. I tak pójdą partje do gubernji Samarskiej, Saratowskiej, Permskiej i Wijackiej.

Na pytanie moje, czy samemu można jechać, odpowiedział mi że tak; kto ma pieniądze, ten może jechać spokojnie, jeśli tylko paszport ma w porządku. Z kószar, gdzie mieszkają uciekinierzy, samemu jechać nie wolno i musi się przejść najpierw kwarantannę czter-nastodniową, poczem całą partję odprowadza policjant na stację, oddaje konduktorowi z dokumentami i tak jadą dalej.

Wiadomości te ucieszyły mnie bardzo. Na drugi dzień udaje mi się wydostać przepustkę do dentysty czy też lekarza. Wyszedłszy do miasta robię zakupy, nabywając rzeczy potrzebne mi na drogę. W jakiś czas potem udaje mi się furą, która przywiozła drzewo do obozu wywieść z kasarni koc potrzebny mi w podróży i umieścić go w bezpiecznym miejscu w mieście.

W tym mniej więcej czasie przydzielono nam nowych żołnierzy do warty.

Jeden z nich kapral, z niemieckim nazwiskiem, wyraził się otwarcie w rozmowie ze mną, że dlatego tylko starał się dostać do obozu jeńców-oficerów, aby zarobić pieniądze. „Dlaczego“ — rozumował — „wszyscy inni mogą na wojnie, na dostawach, na jeńcach zarabiać tysiące i robić majątki, a ja nie mam mieć nic z tego? Czy mnie nie wolno? Czy ja gorszy od naszych oficerów?”

Was tu jest na przykład ze stu, na was by można przecie co zarobić, i ja bym miał pieniądze, a wy by mogli mieć niejedną wygodę“.

Słuchałem tego dosyć skwapliwie, gdyż była to dla mnie bardzo pożądana nowina!

Ale cóż, — powiedziec wprost do nieznanego człowieka — „słuchaj, ja chcę uciekać, dostaniesz kilkadziesiąt rubli, tylko skrywaj moją ucieczkę“, znaczyłoby to samo, co wyrzec się swojego zamiaru. Może się bowiem podoficer przestraszyć, może zdradzić, a może być także i podstawiony. — Kto go tam wie!

Więc odpowiadam obojętnie:

— „Prawdę wy powiedzieli. Nas tu jest oficerów w obozie ze stu, wszystko prawie ludzie młodzi, a ponieważ ciągle jesteśmy zamknięci, więc też nie dziwnego, że tęsknimy szalenie do swobody, do wyjścia na miasto. Ponieważ zaś we dnie, nie chcą nas puszczać, więc możnaby wyjść tylko wieczorem lub w nocy.

I tak, gdyby każdego wieczora wychodziło z obozu tylko pięciu oficerów, a wy dostali od każdego po rublu, tobyście już mieli sto pięćdziesiąt rubli, jeżeli nie więcej na miesiąc, czyli za rok moglibyście sobie zbierać od nas dwa do trzech tysięcy rubli, a może i więcej; bez pracy, bez żadnego zachodu i trudu, tylko tak, za wasze dobre serce.

Oto i ja naprzykład mam tu w mieście panienkę (barysznię), do której chciałbym nieraz zajść wieczorem pogawędzić. Cóż kiedy „starszy“ nie puści, a powiedziec mu o tem, to jeszcze doniesie. Więc trzeba cicho siedzieć.

A tak i jemu nic z tego, i mnie smutno!

Jabym dał chętnie i rubla, żeby tak można wyjść

wieczorem do miasta, gdyż ciągnie mnie tam strasznie. Ale co zrobić!

O ile ja słuchałem poprzednio co mówił moskał z ciekawością, to teraz on słuchał mojego opowiadania formalnie z wyłupionemi na wierzch oczyma.

— No wot co — mówi po chwili — wy chcecie iść wieczorem do miasta? Ot i haraszo! Zrobione! Wy możecie. — Dajcie mnie tylko rubla, a ja już tak zrobię, że pójdziecie spokojnie!

— No ale jak? pytam się. Przecież w ogrodzie chodzi posterunek, który mnie zobaczy, złapie i odprowadzi do „starszego“, a potem co?

Wy się nie bójcie — mówi moskał — jak będziecie mieli już wychodzić z obozu, ja wyślę posterunkowego na czaj do kuchni i powiem mu, że go zastąpię tymczasem. Nikogo nie będzie w ogrodzie, wy pójdziecie spokojnie, a jak będziecie mieli wracać o 11-ej czy o 12-tej, to ja będę czekał na was przy murze i sam was znowu przeprowadzę. Wot i zrobione!

Myślę sobie wcale dobrze. A więc jutro idę do miasta!

Wykombinowałem bowiem tak, że wyjdę w nocy, podoficer mnie wypuści, a więc będzie ze mną w zmowie. Powiem mu, że idę do panienki i dziś może dłużej zabawię, a jeżeli na drugi dzień będą mnie szukać, to podoficer najpierw sam musi mnie skrywać, gdyż będzie się bał odpowiedzialności i z pewnością będzie przekonany, że wprawdzie tej nocy się spóźniłem, ale następnego dnia wieczorem napewno powrócę. Pierwsza więc pomoc i skrywanie ucieczki zapewnione.

Jeżeli się zaś już potem wogóle wykryje, że mnie

w obozie nie ma, to i tak wielkiego alarmu nie podniosą, gdyż będą wiedzieć, że wychodzę do miasta do kochanki, będą pewni, że jestem w mieście i tam najpierw szukać mnie będą. W ten sposób mogłem zyskać dwa do trzech dni i być już daleko poza Taszkentem.

Rzeczywiście w ten sposób udało mi się wyjść ze trzy razy wieczorem z obozu i wszystko było w porządku. Moskal przesadzał mnie przez mur, podstawiając swoją rękę i życząc powodzenia, ja wracałem w umówionym czasie z powrotem, on na mnie czekał, przeprowadzał przez ogród i byłem pewny, że nikt tego wszystkiego z warty nie zauważył.

A jednak i tu znaleźli się szpiedzy!

Muszę bowiem nadmienić, że całe moje dotychczasowe wychodzenie do miasta była to tylko próba, czy ewentualnie ta moja kombinacja, może się udać. Chodziło mi przedewszystkiem o to, by zobaczyć, jaki ruch jest w mieście wieczorem, jak miasto o tym czasie wygląda i czy chodzić po niem o tej porze jest bezpiecznie.

Z moim pomocnikiem w mieście widzieć się absolutnie nie mogłem, gdyż trzeba go było conajmniej dwa, do trzech dni naprzód o spotkaniu zawiadomić. Ponieważ zaś od kilku miesięcy nie wychodziliśmy zupełnie do miasta z koszar, więc straciłem z nim kontakt (porozumienie się bowiem pisemne było bardzo niebezpieczne) starałem się przedewszystkiem odszukać go i rozmówić się z nim osobiście.

Tymczasem kiedy już byłem pewny, że moje wymykania się z obozu są zupełnie w porządku, zdarzyło mi się coś takiego, czego się najmniej spodziewałem.

Podczas ostatniego wieczornego wyjścia do miasta udało mi się zawiadomić mego pomocnika, że w trzy dni później będę go oczekiwał w umówionem miejscu i byłem pewny, że się tam stawi o oznaczonej godzinie.

Jak zwykle o 8-mej wieczorem byłem już przebrany po cywilnemu w ogrodzie. Każdy bowiem z nas jeszcze z poprzednich miesięcy, miał porządne cywilne ubranie, w którym wychodziliśmy w czasach względnej swobody na miasto, aby w mundurach austriackich nie drażnić oczów publiczności. Po obozie chodziliśmy jak kto chciał, jedni w mundurach, drudzy po cywilnemu, a niektórzy robiąc najrozmaitsze kombinacje.

Ubrawszy się więc tego dnia jak wspomniałem po cywilnemu, chodziłem, nie zwracając na siebie uwagi wieczorem po ogrodzie. Niezadługo potem zjawił się podoficer, narobił zamieszania „wartownika“ wysłał do kuchni na czaj, a sam coprędzej przesadził mnie przez wysoki mur ogrodu.

Przeskoczywszy na drugą stronę idę spokojnie drogą cieniem, gdy nagle ktoś z poza wierzby wyskakuje, zbliża się do mnie i zanim się zorientowałem, chwyta mnie za rękę, pytając: „a wy dokąd?“

Zgłupiałem w pierwszej chwili, gdyż takiego zamachu na moją z takim trudem zdobytą wolność, zupełnie się nie spodziewałem. Przypatruję się i w końcu poznaję żołnierza z naszej warty obozowej.

Odpowiadam jednak spokojnie, że idę do miasta.

— No, a kto wam pozwolił — pyta znowu żołnierz.

— Nikt — ot tak wyszedłem sam i niezadługo wrócę nazad. Ja tylko tak troszkę na przechadzkę.

— A przepustka u was jest? pyta dalej.

— Nie, odpowiadam.

— No to pójdziemy do starszego — odzywa się spokojnie żołnierz.

Iść do starszego, komendanta warty, znaczyłoby to samo, co położyć krzyżyk na swoją ucieczkę. Miał mnie on bowiem już od dawna na oku, tylko, że nie mógł mi nie zrobić, bo na niczem mnie nie przychwycił. Lecz teraz przyłapawszy na gorącym uczynku, odpro-wadzi z pewnością do komendanta jeńców, i za dwa dni mogą być już w drodze do twierdzy w Gulczy na granicy chińskiej, zwłaszcza, że i oficer łącznikowy czech chętnie mi się do tego przysłuży.

Wszystko to przychodzi mi momentalnie na myśl.

Mówię więc do żołnierza: — słuchaj gołąbku — ja muszę iść dzisiaj do miasta do baryszni (jest to najlepszy argument dla moskali) nie chodźmy więc do starszego, ty dostaniesz rubla, a ja pójdę do miasta.

— Jak dasz pięć to cię puszcze, odpowiada żołdak z miejsca.

— Nie — dam tylko rubla, a nie, to chodźmy do starszego.

Myślę sobie — moskal chytry na pieniądze, z pewnością ustąpi, ale on widać inną miał kombinację, gdyż odzywa się: dobrze, chodźmy“!

Tak robimy ze trzy kroki, ja mu już proponuję dwa ruble, lecz moskal nie ustępuje, mówiąc stale: „dasz pięć, to cię puszcze“.

— Dobrze, chodźmy, — odpowiadam, ale równo-cześnie dodaję: — no dostaniesz dwa ruble, tylko mnie puść, bo się spóźnię.

— Nie — jak dasz pięć, to cię puszcze.

— Nie dam i chodźmy do starszego.

— No a dwa i pół — pytam w końcu — chcesz?

— Nie, jak dasz pięć, to cię puszcze.

Myślę sobie, nie dam pięć, to nie nie zarobię. Odpro-
wadzi mnie do komendanta, tam mnie zamkną i cała
ucieczka przypadnie.

Cóż — kiedy nie miałem przy sobie nawet drob-
nych, tylko jak na złość całe dziesięć rubli i parę ko-
piejek.

Daję więc żołnierzowi dziesięć rubli, tłumacząc się,
że nie mam drobnych przy sobie i prosząc, aby pięć
rubli oddał mi nazajutrz rano.

— Ale dobrze — odzywa się żołnierz, — u mnie pe-
wne. Ja zmienię, swoje wezmę, a wam resztę oddam
zaraz jutro rano z powrotem.

I tak rozstaliśmy się. Ja poszedłem do miasta, spot-
kałem się ze swoim pomocnikiem, dowiedziałem się,
że można uciekać względnie bezpiecznie, o ile się ma
dokumenty w porządku. Na stacji tylko trzeba uwa-
żać, gdy żandarmi kontrolują paszporty, lecz przy kon-
troli trzeba odpowiadać śmiało i spokojnie. Najlepiej
powiedzieć, że się z Taszkentu wyjeżdża jako ucie-
kinier na podstawie rozkazu ministerstwa spraw we-
wnętrznych do jednej z czterech gubernji. Zebrawszy
jeszcze wiele innych ważnych dla mnie wiadomości,
postanowiłem zbiedz z obozu w dniach najbliższych.

Wracając do domu spotykam już niedaleko obozu
dwóch cywilnych rozmawiających ze sobą niby to po
rosyjsku, niby po polsku.

Ponieważ w mieście było masa wysiedleńców po-
laków, nawet ze wschodniej Galicji, których moskale

podczas odwrotu uprowadzili ze sobą, przypuszczałem, że to uciekinierzy i zacząłem z nimi rozmowę.

— Skąd wy, pytam po rosyjsku?

— My uciekinierzy — brzmi odpowiedź. A dokąd idziecie? Do domu. Polacy? Tak. No ja także Polak.

— A pan dokąd? — pytają znowu. Ja do kasarni. Oficer jestem — jeniec, wracam do obozu.

Na to oni zaczynają się śmiać i mówią: „my także jeńcy, medycy, pracujemy w tym oto szpitalu i wracamy teraz do domu“.

Medycy bowiem mogli swobodnie chodzić po mieście.

Odzywam się więc dalej: dobrze żeśmy się spotkali, bo ja wykradłem się przed trzema godzinami z obozu, żołnierz mnie na tem przychwycił, dostał wprawdzie łapówkę, ale boję się, czy nie nastawił kogo drugiego, aby znowu co otrzymać. A ja prawie tylko kilka kopiejek mam przy sobie. Popatrzcie więc przez mur czy tam nie stoi jaki posterunek.

Przeszli tam i z powrotem, nie było nikogo, więc szybko przeskoczyłem przez mur, zdjąłem marynarkę i czapkę i niby to wracając ze spaceru po ogrodzie, idę do mieszkania. Naraz wychodzi z poza węgła kasarni szyldwach pełniący służbę w ogrodzie.

Popatrzył się tylko na mnie podejrzliwie, zapytał, skąd idę — ale przepuścił spokojnie.



ROZDZIAŁ III.

Chytry strażnik.

Wróciwszy do swego mieszkania opowiedziałem kolegom o tem, co mnie tego wieczoru spotkało, nadmienając, że jutro mam otrzymać z powrotem pięć rubli. Pękali ze śmiechu, słuchając mego opowiadania, a najwięcej podobało się im to, że strażnik obiecał mi zwrócić pięć rubli, w co zupełnie wierzyć nie chcieli. Ja to samo przypuszczałem, ale dla powagi nadrabiałem miną.

Na drugi dzień czekałem cierpliwie na „swojego żołnierza“, ale ten zupełnie się nie pokazał. Poszedł do miasta i przepadł. Na trzeci dzień czekam znowu do południa, lecz nikt do mnie nie przychodzi, aż dopiero popołudniu zauważyłem swego dłużnika na posterunku przed obozem.

Ponieważ jednak stał on na rogu koszar i mógł spokojnie chodzić po dwóch ulicach tak, że czy go zobaczyłem przez okno, czy też przez bramę zawsze

mógł mi uciec i iść w przeciwnym kierunku, przeto na razie nie było sposobu go przyłapać.

Biedna jest dola jeńca wojennego, któremu nie wolno wyjść za bramę, a czasem nawet i wyglądnać przez nią, zwłaszcza, jeżeli za tą bramą po ulicy przechadza się spokojnie jego dłużnik z pięcioma rublami, na którego musi się spoglądać zupełnie bezradnie.

W końcu jednak na czwarty dzień udało mi się go spotkać w obozie.

Zauważyłem, że strażnik ma na sobie zupełnie nową bluzkę, pasek i czapkę. Domyślałem się już, co to znaczy. Za otrzymane odemnie dziesięć rubli sprawił sobie zaraz nowe ubranie i naturalnie teraz o zwrocie pieniędzy nie ma mowy.

Odzywam się jednak do niego spokojnie: cztery dni temu dałem wam dziesięć rubli, gdy wychodziłem wieczorem do miasta. Mielście mi zaraz na drugi dzień wrócić z tego pięć rubli i do dziś dnia nie uczyniliście tego.

— Kto, ja od was otrzymał dziesięć rubli? — pyta moskal bezczelnie — Wy się napewno pomylili, wy pewnie komu innemu daliście pieniądze.

— Nie — odzywam się na to, to wam dałem — dlaczego nie oddajecie reszty.

— Ja od was nie otrzymał ani kopiejki, to z pewnością kto inny — mówi żołnierz.

Rozzłoszczony tą bezczelnością chytrego moskala, mówię wprost — „jeżeli mi nie oddasz pieniędzy zaraz, to cię doniosę do komendy“. Naturalnie ani mi to w głowie nie było, gdyż sam najgorzej wyszedłbym na tem; chciałem go tylko nastraszyć.

Zdębiałem jednak, kiedy usłyszałem następującą odpowiedź:

— Co wy mnie grozicie doniesieniem? No, no! Już ja wiem dobrze, kto to was co wieczór wypuszcza do miasta, wiem, który to żołnierz robi, ja go wyłapałem. Dobrze, dobrze, że wy się przedemną przyznali, że wy chodzicie wieczorem do miasta bez pozwolenia. Teraz ja na was zrobię doniesienie do komendy.

Zgłupiałem poprostu na takie dictum acerbum. Chytry ja byłem, ale on był jeszcze przebieglejszy.

Nie wiele więc myśląc odzywam się na to:

— Ty się nie zapieraj, ale pieniądze oddaj. Ja byłem w mieście, ale tyś mnie przez mur przepuścił i wziął łapówkę. Mnie komendant ukarze aresztem, ale ty za to, że dałeś się przekupić w służbie pójdiesz na front.

Trzeba zaś wiedzieć, że żołnierze w Rosji niczego się tak nie bali jak frontu i wszystko robili, żeby tylko na front czyli, jak oni powiadają „na pozycję“ nie odejść.

Na tem się rozstaliśmy. Byłem pewny, że pieniądze moje już przepadły. Tymczasem za jakie pół godziny zjawia się u mnie mój służący, przynosi mi cztery ruble od strażnika. Na resztę muszę poczekać do jutra.

Myślę sobie, czekać do jutra to to samo co dzisiaj, nie oddał dziś nie odda i jutro, a lepiej mieć go za rękę, niż z nim zadzierać, gdyż mogę go jeszcze potrzebować.

Darowałem mu więc tego rubla.





ROZDZIAŁ IV.

Rytownik i jego pomoc.

Jak już wspomniałem, miałem paszport, ale ten nie był zgłoszony w policji, a jak długo tam nie byłem meldowany, tak długo moja ucieczka była niepewna.

Los przyszedł mi jednak z pomocą.

W międzyczasie bowiem udało mi się wy dostać wzory dwóch meldunkowych pieczęci rosyjskiej policji w Taszkencie.

W obozie zaś mieliśmy zdolnego rytownika, który przepiękne rzeczy grawiował dla naszych oficerów jak również i rosyjskich. Robota jego była niekiedy wprost miniaturowa, a tak wyraźna, że budziła podziw i zdumienie. Jego to postanowiłem użyć do sporządzenia potrzebnych mi pieczęci.

Wezwałem go przeto do siebie będąc przekonanym o tem, że jako Niemiec mnie nie zdradzi. Powiedziałem mu o zamiarze ucieczki i poprosiłem o pomoc przez zrobienie pieczęci, prosząc równocześnie o dochowanie ścisłej tajemnicy.

Łzy miał w oczach ten człowiek, gdy to posłyszał;— przyrzekł możliwie jaknajprędzej zrobić pieczętki. Rozchodziło się tylko na razie o to, gdzie może bezpiecznie pracować.

Za naszym pokojem była malutka sionka z oknami. Tam postanowiłem go ukryć jako w miejscu zupełnie bezpiecznym, aby pracował spokojnie. Spokoju zaś potrzebował bezwzględnie, gdyż jako Niemiec nie znając języka rosyjskiego, mógł tylko skopjować narysowaną mu pieczętkę, do czego potrzeba było kolosalnej uwagi. — Przytem brak materiału wymagał powolnej i ostrożnej pracy, by nie popsuć szczupłego kawałka metalu. Za materiał zaś miało posłużyć jakieś pudełko nikłowe, które przyniósł ze sobą jeszcze z pola z Karpat do Taszkentu.

Przeszło tydzień pracował ten człowiek w pocie czoła w ciasnej sionce, w najwyższym napięciu nerwów swoich i moich, gdyż jakkolwiek zwykle prawie nikt do nas nie przychodził, to wtenczas, jakby na złość co chwila ktoś się zapędzał. To który z oficerów, to z żołnierzy rosyjskich, a nawet ze dwa razy był u nas starszy komendant obozu.

Jak zaś takie odwiedziny w danym momencie oddziałują na ludzi nie potrzebuję tego opisywać.

Wychodzić z mieszkania wtenczas nie mogłem, gdyż musiałem siedzieć w pokoju nibyto czytając książkę, aby w razie wejścia kogoś niepowołanego lub nawet rewizji dać umówiony znak grawerowi.

Byłem rzeczywiście nad wyraz zadowolony, kiedy dziewiątego, czy dziesiątego dnia gotowe pieczętki otrzymałem do ręki.

Rozchodziło się teraz tylko o farbę, a gdy ją otrzymałem i opieczętowałem paszport, byłem odbitką pieczęci poprostu zdumiony. — Nie było najmniejszej różnicy pomiędzy rzeczywistymi pieczęciami policji tatarskiej a mojami! Tak wiernie były naśladowane. Teraz tylko zniknąć z obozu i to jak najprędzej.





ROZDZIAŁ V.

Wyjście z obozu.

Wszystkie moje kombinacje i próby zniknięcia z obozu okazały się jednak bezcelowemi. — Nie było innej rady, tylko zgłosić się chorym, iść do szpitala, tam pomiędzy naszymi oficerami wyszukać jakiego współnika, któryby zdecydował się skrywać moją ucieczkę przez kilka dni i stamtąd próbować szczęścia.

Tak też zrobiłem.

Przemysłiwając po całych dniach robiłem jednocześnie przygotowania do ucieczki.

Zacząłem powoli ekspedjować przy każdej sposobności bieliznę do miasta. Nabyłem walizkę, w której mógłbym zabrać nieco rzeczy potrzebnych na drogę.

Tak przeszedł marzec, zaczął się kwiecień. Nadchodziły święta wielkanocne.

Widząc, że nie ma innej rady — a czas nagli — w Wielką Sobotę rano posyłam swego służącego do lekarza obozowego, z zawiadomieniem, że jestem chory.

Niedługo potem zjawia się doktor w naszym pokoju, z którym również trzeba się było bardzo liczyć, gdyż różnie o nim mówiono. Bada mnie i daje pozwolenie na pójście do szpitala, utrzymując, że mam zapalenie ucha.

Nie upłynęło nawet pół godziny, a już zjawił się u mnie oficer łącznikowy naszego obozu czech, którego nawiasem wspomniawszy, obawiałem się najwięcej. Ten biorąc całą sprawę na serjo wystawia mi bilet lekarski na przyjęcie do szpitala wojskowego, z tem, że muszę zaraz odejść.

Udawałem wprawdzie, że chciałbym pozostać jeszcze do jutra, ale w rzeczywistości każda chwila była dla mnie droga.

Przygotowałem więc rzeczy, które miałem jeszcze przy sobie, potrzebne mi na drogę, jak kozuch, reszta bielizny, czajnik, cukier, herbatę, spakowałem to wszystko do plecaka, nakrywszy z wierzchu bielizną; ubrałem się w mundur wojskowy, naciągnąwszy poprzednio na siebie cywilne ubranie, wdziałem płaszcz, i z bijącym sercem czekałem na fiakra, który zaraz po obiedzie miał mnie odwieść do szpitala.

Koledzy moi z tego samego pokoju, oficerowie Pusz i Nuc, tylko z pod oka spoglądali na mnie i uśmiechali się pod wąsem. Obaj bowiem wtajemniczeni przezemnie, wiedzieli na co się zanosi.

Natomiast trzeci węgier, popularnie przez nas zwany „Bruder Owo“ nie wiedząc o niczem spoglądał na mnie z pewnem współczuciem, jako na człowieka cierpiącego. — On też, kiedy się z nimi żegnał życzył mi zupełnie na serjo „zupełnego powrotu do zdrowia“.

Zdenerwowany pożegnałem się z kolegami swymi Puszem i Nucem, służącym, grawerem i wyszedłem przed bramę obozu.

Czekałem tam jednak jeszcze długą chwilę zanim nadjechał powóz. Strażnik pełniący wtenczas służbę przy bramie, podszedł i zapytał dokąd odjeżdżam. Do szpitala, odpowiadam. A co wam brakuje — pyta znowu?

— Ucho mnie boli, odpowiadam smutnie, tam w środku; będzie, jak się zdaje operacja.

— O to źle, — odzywa się przestraszony moskal — który jak każdy z żołnierzy miał wielkie uprzedzenie do lekarzy. Operacja — mówi dalej — to bardzo źle, oby Bóg dał, żeby to przeszło szczęśliwie.

— Jak Bóg da, — odpowiadam już wesoło, — może wszystko będzie szczęśliwie.

Prawie w tej chwili zajechał powóz, do którego wsiałem z konwojem i odjechałem do szpitala wojskowego.





ROZDZIAŁ VI.

Kłopoty w szpitalu.

W szpitalu zgłosiłem się do lekarza dyżurnego, a ten nie oglądając mnie wcale odstawił na oddział oficerski. Na razie było wszystko w porządku, gdyż znajdowałem się w szpitalu, do którego dostęp był dla nas bardzo utrudniony.

Już od kolegi swego Pusza dowiedziałem się, że w szpitalu znajduje się pewien oficer czech wprawdzie, nazwiskiem Howaniec, ale człowiek bardzo uczynny, na którym można polegać. Zależało mi więc przede wszystkim na tem, aby dostać się do jego pokoju. To też ordynansom, którzy równocześnie z przyjściem mojem do pawilonu oficerskiego przynieśli tam dla mnie łóżko, kazałem je wstawić do pokoju, w którym przebywał właśnie Howaniec. Ten jednak nie znając mnie jeszcze zupełnie i nie wiedząc o niczem, a będąc przytem najstarszym oficerem w tym pokoju, nie chcąc nowych przybyszów, poprostu wyrzucił i ordynansów i łóżko moje za drzwi.

Co było robić? Odrazu w tej samej chwili powiedzieć, o co mi chodzi, było niebezpiecznie, nie tyle ze względu na niego, ile ze względu na innych oficerów będących w tym samym pokoju. Kazałem więc łóżko swoje odnieść do innego pokoju, do którego się sprowadziłem, a sam tymczasem wieczorem szukałem sposobności aby się z Howańcem porozumieć.

Rzeczywiście po kolacji widząc go w ogrodzie szpitalnym, podszedłem ku niemu, opowiedziałem krótko cel mego przybycia do szpitala. Zaznaczyłem równocześnie, że cała pomoc, jaką od niego żądam będzie polegać na tem, aby służących, sprzętających w naszym pokoju trzymał przez kilka dni po mojej ucieczce na wodzy i wpływał na nich swą powagą, aby o tem nikomu nie rozgłaszali. — W końcu nadmienilem, że chcę uciekać za trzy dni.

Zgodził się chętnie na wszystko i na drugi dzień już byłem w jego pokoju.

Pawilon oficerski w tym szpitalu, w którym byli sami oficerowie austriacy miał pod sobą nasz lekarz sztabowy Dr. G. z Przemyśla, którego żadną miarą nie chciałem mieszać w tę awanturę.

Trzeba więc sobie było wybrać taką jakąś specjalną chorobę, na którą mógłby mnie leczyć tylko jeden ze specjalistów rosyjskich ordynujących w tym szpitalu. — W ten sposób Dr. Grabscheid — jako komendant pawilonu oficerskiego — miałby mnie wprowadzić w swej ewidencji na papierze, ale w razie mojej ucieczki mógł się każdej chwili zasłonić tem, że ja się u niego nie leczyłem i że nic o mnie nie wie.

Na drugi dzień starałem się przede wszystkim po-

rozumieć na osobności z Dr. G., o którym wiedziałem, że mnie nie wyda, ale znając jego bojaźliwe usposobienie bałem się, czy będzie chciał mi pójść na rękę. Przedstawiłem mu w krótkich słowach plan mej ucieczki ze szpitala.

Dr. G. jednak do mojej ucieczki nie wiele miał zaufania, a co najgorsze, że jakkolwiek przyrzekł mi, że w całej tej sprawie zajmie „neutralne“ stanowisko, to jednak, zaraz na drugi dzień po rozmowie ze mną, polecił felczerowi z naszego pawilonu, odesłać mnie do lekarza usznego do zbadania.

Byłem poprostu zaskoczony, kiedy się dowiedziałem o tem, że muszę iść do rosyjskiego specjalisty. Wykombinowałem bowiem sobie w ten sposób, że u niego zupełnie się nie pokażę, tak, że mnie nawet znać nie będzie i nie będzie nawet wiedział, czy ja wogóle w tym czasie byłem w szpitalu. W ten tylko sposób ani on (lekarz rosyjski) ani jego felczer o mnie zupełnie troszczyć się nie będą i moje zniknięcie nikomu nie wpadnie w oczy.

Tymczasem Dr. G. za wszelką cenę nastaje, abym się udał do wizyty. Nie było jednak innej rady i na trzeci dzień z pewnego rodzaju niechęcią udałem się na oddział uszny.

Przed miesiącem jednak będąc rzeczywiście chorym na zapalenie wewnętrznego ucha leczyłem się już w tym samym szpitalu ambulatoryjnie u lekarza, do którego teraz miałem się udać. Idąc do szpitala zasymulowałem tę samą chorobę tylko dlatego, że dla lekarza zwłaszcza, jeżeli nie ma odpowiednich instrumentów skonstowanie tej choroby przedstawia pewne trudności i chcąc

nie chcąc musi choremu uwierzyć. Tymczasem ten właśnie lekarz mając wszystkie te przyrządy pod ręką a w dodatku będąc specjalistą mógł się na mojej symulacji bardzo łatwo połapać.

Z bijącym sercem zgłaszam się do doktora, który nawiasem powiedziawszy był dosyć szorstki w obejściu i żalę się na ból w uchu. — Jak przewidywałem wziąłem się zaraz skrupulatnie do badania przy pomocy wziernika i innych instrumentów; badał dosyć długo i w końcu powiada, że w uchu nic nie ma, że ucho jest zupełnie zdrowe.

Ładna historia — myślę sobie, a to mnie „neutralny“, wyspał, nie ma co mówić.

Nie tracę jednak fantazji i twierdzę stanowczo, że ucho mnie boli, a zwłaszcza bolą mnie żyły w szyji, tak, że i źle słyszę i przełknąć nic nie mogę. Szyję zaś skrócić na lewo ani na prawo nie jestem zupełnie w stanie.

Lekarz bada mnie po raz drugi i na dobitkę zagląda mi do gardła; w końcu jednak po długim badaniu orzeka, że ból ucha pochodzi od gardła i że trzeba gardło leczyć, a ból ucha potem sam ze siebie ustąpi.

Djagnoza ta widać bardzo go zachwyciła, gdyż zwrócił się do stojącego obok drugiego lekarza rosyjskiego, pokazał moje gardło i ucho i jeszcze raz z zadowolaniem swoją djagnozę powtórzył, poczem zapisał proszki, płukanie i jakieś krople do ucha, polecając przyjść znowu za dwa dni.

Wyszedłem stamtąd rad niezmiernie, gdyż gdyby mi się to było nie udało, byłbym przepadł z kretesem, — tem więcej, że już dwa dni siedziałem w szpitalu nie

zgłaszając się zupełnie do lekarza, o co ten najwięcej się oburzył.

Po upływie dwóch dni Grabscheid zaczął znowu nastawać, abym poszedł do wizyty lekarskiej. Wiedziałem dobrze, że tym razem wszystko może się skończyć dla mnie katastrofą, gdyż lekarz rosyjski widząc, że mnie nie brakuje gotów mnie wypisać jako zdrowego ze szpitala i popołudniu tego samego dnia mogę być znowu z powrotem w obozie, skąd poraz wtóry wyrwać się nie byłoby już tak łatwo. W każdym razie nie wcześniej, jak dopiero po upływie kilku tygodni.

Nie pomogły jednak moje przedstawienia i musiałem iść poraz drugi na oddział uszny.

Muszę nadmienić, że w tym czasie wyszedł rozkaz komendanta jeńców, aby tych wszystkich, którzy są zdrowi nie przetrzymywać w szpitalu, lecz natychmiast odsyłać do obozu.

Przychodzę więc do lekarza usznego z miną — jak się to mówi dosyć „rzadką“. Na zapytanie jak się mię-wam, odpowiadam bardzo grzecznie: „dziękuję, już o wiele lepiej“. Lekarz bada mnie, oświadcza, że jestem już całkiem zdrów i że mogę jutro wracać nazad do obozu.

Struchlałem! Co się dzieje. Wszystko przepadło, niech to licho weźmie!

Widząc, że nie ma innej rady mówię, że zgadzam się zupełnie na to aby wrócić do obozu, ale zważywszy, że ja na to ucho zapadam dosyć często, więc boję się i teraz recydywy. Dlatego proszę go, aby mi pozwolił jeszcze kilka dni pozostać w szpitalu pod obserwacją,

a jak mi po kilku dniach będzie dobrze, to sam się zgłoszę i poproszę o wypisanie mnie ze szpitala.

Z początku nie chciał się na to zgodzić, ale ostatecznie przystał.

Wracam więc do swego pawilonu; ale nie wszystko jeszcze było zrobionem. W oddziale bowiem był felczer, którego także trzeba było odpowiednio przygotować i obrobić.

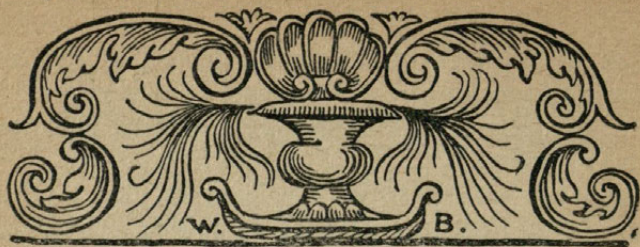
Spotkałem go prawie na korytarzu.

— „Zdrowstwujięte gospodin felczer! — odzywam się do niego. — Byłem właśnie u doktora i bardzo gniewał się na mnie, że znowu do niego przyszedłem. Mówił, że jak on każe przyjść za kilka dni to trzeba przyjść dopiero za kilka dni, a nie codziennie do niego chodzić, bo on ma także innych chorych. — Tak się na mnie rozżłościł, że poprostu mnie wyrzucił i kazał nie pokazywać się nawet na oczy, aż dopiero za tydzień. I na was panie felczer coś tam mówił i gniewał się bardzo, ale już nie mogłem zrozumieć, o co mu chodziło. Tymczasem zaś kazał zażywać lekarstwa, które zapisał i bolsze niczewo“.

Felczer na to wszystko tylko się uśmiechnął i powiedział: „On już taki — dobry lekarz, ale zły człowiek! lepiej mu się na oczy nie pokazywać, bo jeszcze może ubliżyć“.

Tak więc ostatecznie przygotowałem sobie tak dawno upragnioną kilkudniową „zwłokę czasu“ a obecnie trzeba było tylko zniknąć z Taszkentu i to jak najprędzej.





ROZDZIAŁ VII.

Ucieczka.

Do ucieczki było już prawie wszystko przygotowane; potrzebne mi na drogę rzeczy miałem w mieście, prowianty zakupione, chleb tylko w ostatniej chwili miało się nabyć.

Sztuka cała polegała obecnie na tem, jak zniknąć ze szpitala a następnie wydostać się przez kordon policji, żandarmerji i wojska z Taszkentu.

Nad tem łamałem sobie głowę i to nie na żarty!

Tymczasem na dworze robiło się coraz ładniej. Śliczna pogoda, cudne, jasne, ciepłe dnie i to piękne szafirowe niebo zawsze czyste, zawsze pogodne, żadną nawet najmniejszą chmurką nie skażone.

Był to już koniec kwietnia, czas kiedy w Taszkencie bywa już gorąco.

Wiosna w całej pełni była widoczną na każdym kroku i nie dziwnego, że pod wpływem tej budzącej się przyrody i mnie jakaś nieprzeparta siła ciągnęła w dzikie niezbadane rozległe stepy turkestańskie.

A tu tymczasem jak na złość wydostać się ze szpitala nie było można!

O zajęciu się najmniejszą pracą umysłową nie było nawet mowy. Zdenerwowanie i podniecenie nie pozwalały na to.

Cheąc skrócić te nadzwyczaj denerwujące chwile brałem codziennie całymi godzinami kąpiele słoneczne prażąc się formalnie na słońcu, nie przestając ani na chwilę kombinować, jak tu wydostać się na wolność. Warty bowiem, zwłaszcza przy wyjściu ze szpitala były bardzo ostre.

Popołudniu brałem wprawdzie książkę do ręki i wychodziłem z nią do ogrodu, ale wszystkie próby zajęcia się czytaniem nie odnosiły skutku. Dopiero wieczorem, kiedy żar słoneczny i upał dzienny nieco ustał, a nad Taszkentem zaczynał się zwolna, powoli rozciągać chłodny przyjemny wieczór, wychodziłem wraz z innymi oficerami na podworec szpitalny.

Cichy, spokojny, chłodnawy wieczór, dziwnie przyjemnie oddziaływał na nas po szalonej spiekocie.

Obok pawilonu oficerskiego, w którym mieszkaliśmy była ławeczka. Na niej zwykle siadywaliśmy razem o tej porze dnia. Obszerny ogród, rodzaj dużego parku rozciągał się przed nami.

W półmroku wieczornym, który już panował nad całym Taszkentem smukłe, młode topole przedstawiały się jakby cyprysy, a płaczące wierzby smutnie opuściwszy swoje długie warkocze, robiły wrażenie kobiet w ciężkiej żałobie.

Jakaś dziwna dzikość i powaga unosiły się w powietrzu. Długie szeregi baraków z chorymi stały jakby

martwe bez życia, jakby zaklęte, nie wydając najmniejszego szmeru. Na podwórzu i w ogrodzie nie było już prawie nikogo.

Naraz gdzieś około 8-mej wieczorem, w tej głuchej ciszy dawał się słyszeć z daleka codziennie silny głos komendy rosyjskiej: „Rota, strój się“ i niezadługo potem na plac wolny przed naszym pawilonem wchodził równym miarowym krokiem cały oddział sanitarny, który był w szpitalu.

Zaczynał się zwykły obrzęd codzienny, wieczorna modlitwa żołnierska. Stojąc w dwóch szeregach z odkrytymi głowami zaczynali żołnierze długi, smętny, przeciągły śpiew: „Boże caria chrani“ — a smętna melodia tej pieśni zwolna powoli, jakby ciężkie duszące kadzidło rozchodziła się w powietrzu.

Nie wiem dlaczego, a jednak śpiew ten wywierał zawsze strasznie deprymujące wrażenie na nas wszystkich tak, że z pewną ulgą, z pewnem zadowoleniem patrzyliśmy na koniec tego smętnego przytłaczającego obrzędu.

Po odśpiewaniu modlitwy zaczynała się kontrola żołnierzy, poczem komenda „w lewo zwrot“ i cały oddział wracał nazad do koszar. — Po kontroli nie było już wolno wogóle nikomu wyjść ze szpitala.

Po odejściu żołnierzy i my zwykle wracaliśmy do swoich pokoji.

Nadszedł czwartek. W dniu tym zdecydowałem się dłużej już nie czekać tylko spróbować szczęścia, kiedy niespodzianie wieczorem otrzymałem z miasta list z krótką wiadomością „dzisiaj nie można, wstrzymać się, jutro na pewno“.

Nie wiedziałem w pierwszej chwili co to ma znaczyć i jak sobie ostrzeżenie wytłumaczyć; dopiero na drugi dzień dowiedziałem się o wszystkim.

Dnia tego to jest w piątek popołudniu przyszedł do szpitala jak zwykle mój pomocnik, który przechowywał rzeczy moje w mieście. On też wytłumaczył mi, dlaczego wczoraj było niebezpiecznie uciekać. Przeszkoda polegała na tem, że pewien kupiec z Taszkentu, który miał nabyć dla mnie bilet na stacji, wprowadzić na peron i ułatwić wejście do pociągu, wyjechał i nie powrócił jeszcze do domu. Dzisiaj jest już z powrotem. Ponieważ zaś mieszkał w Taszkencie od lat kilkunastu, znał całe miasto i wszystkich na wylot, więc mógł mi rzeczywiście oddać wielką przysługę, podczas gdy ucieczka bez jego pomocy, wobec ścisłej kontroli żandarmskiej na stacji, była nadzwyczaj ryzykowną, jeżeli już nie niebezpieczną i niepewną.

Stanoło więc na tem, że dziś, to jest w piątek na pewno uciekam, i wieczorem, zbiegnę ze szpitala.

Pamiętam całe popołudnie dnia tego chodziłem jak w gorączce. Myśl, że za kilka godzin ma nastąpić decydująca chwila w mojem życiu, że po tylu miesiącach przygotowań, zachodów i rozczarowań ma ostatecznie nastąpić, ma się spełnić tak długo wymarzona moja ucieczka paliła mnie w głowie, w sercu, pod nogami. Miejsca nie mogłem sobie znaleźć chodząc z jednego kąta pokoju, podwórca, ogrodu do drugiego. — Przy niesionej wieczorem kolacji prawie że nie tknąłem. Niedługo potem wypłaciłem pierwszą łapówkę dając koledze Howańcowi dziewięć rubli dla trzech służących, którzy usługiwali w naszym pokoju, aby cicho siedzieli.

Oni bowiem przyszedłszy nazajutrz sprzątać mogli pierwsi moją nieobecność zauważyć.

Jak powolne uderzenie wahadła zegarowego, tak powoli upływały minuta za minutą. W końcu nadeszła godzina 7-ma wieczorem.

Za godzinę mniej więcej miałem zniknąć ze szpitala. Ta godzina wydawała mi się wiekiem, doczekać się jej końca nie mogłem.

Tymczasem do naszego pokoju jak każdego wieczoru zaczęli się schodzić oficerowie na papierosa, pogawędkę i karty. — Było mi to bardzo nie na rękę.

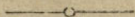
Grupkami posiadali to na łózkach, to przy stole, to przy oknie, jedni rozmawiając, drudzy grając w karty, inni paląc papierosy. — Jeden z oficerów przygrywając na gitarze wyśpiewywał wesoło wiedeńskie kuplety. Żadnemu z nich nawet przez myśl nie przeszło, co się dzieje równocześnie w mojej duszy, jaką walkę wewnętrzną przechodzę w tej chwili i na co się wogóle zanosi.

Powoli, nie zwracając na siebie uwagi wdziałem ubranie cywilne, co ostatecznie nikogo z pewnością nie zdziwiło, — następnie naciągnąłem na siebie szeroki chałat szpitalny i tak wyszedłem do przedsionka, gdzie dokończyłem swojej garderoby, ubierając kołnierzyk, krawatkę i t.d. Za chwilę byłem gotów. Wracam do pokoju i widzę, jak Howaniec chodzi zmieniony i zdenerwowany nie do poznania i czułem, że chciałby, abym już zniknął jak najprędzej.

Wziąwszy kapelusz pod pachę wyszedłem na podwórze, za mną w oddaleniu kilku kroków postępuje Howaniec. Spacerujemy chwilę po ogrodzie, skradając

się powoli poza pawilony i baraki. Jesteśmy już prawie przy samym wysokim murze, w cichym ciemnym zakątku, dokąd prawie nikt nigdy nie zachodził. — Jeden ruch, chałat leży na ziemi, serdeczny uścisk dłoni, krótkie słowo pożegnania z Howańcem i życzenia na drogę.

Za chwilę byłem już poza murem mojego więzienia.





ROZDZIAŁ VIII.

▼▼▼

W ukryciu.

Wydostawszy się ze szpitala i zrobiwszy zaledwie kilka kroków na ulicy, widzę z przeciwka nadchodzący silny patrol wojskowy. — Na szerokiej ulicy prawie pusto. Serce zabiło mi żywiej, lecz równocześnie myślę sobie, skąd oni mogą wiedzieć, kto ja jestem? A zresztą dokument mam przy sobie. Przeszedłem więc obok nich spokojnie.

Skrećwszy następnie w jedną, a potem w drugą ulicę, kołując nieco dostałem się do mieszkania mego pomocnika. Ten czekał już na mnie oddawna. Był w najlepszym humorze, swobodny, rozgadany, jakby się na nic nadzwyczajnego nie zanosilo, poprosił usiąść — obiecując niezadługo podać herbatę.

Zacząłem się powoli przebierać w ubranie rosyjskiego muzyka. Za chwilę wszedł sarta niosąc na tacy herbatę, co mnie trochę speszyło. — Ale mój pomocnik

uspokoił mnie, że nie mam się czego obawiać, bo sarta nic nie wie, nic nie rozumie i niczego się nie domyśla.

W jakiś czas potem nadszedł i kupiec. Człowiek ten polak, od pierwszego wejrzenia zrobił na mnie jak-najlepsze wrażenie, pomimo, że przedtem obawiałem się go jak ognia i długo wahałem się, czy wtajemniczyć go w moją ucieczkę.

Wziął on mnie — jak to mówią — z miejsca za serce. Uspokoiwszy i dodawszy otuchy, że wszystko pójdzie dobrze, zniknął za chwilę idąc na stację po bilet.

Myśmy zaś tymczasem z pomocnikiem uzupełniali prowianty, posłali zmienić ruble na drobne, aby podczas drogi nie brakło i by się nie zdradzić z większą sumą (miałem bowiem przy sobie 400 rubli ukrytych), popijaliśmy czaj, pakowali rzeczy, próbując czapki, furazki i papachy, w czym będzie lepiej i bardziej podobniej do moskala, gawędząc przy tem wszystkim dosyć wesoło.

Okolo 10-tej powrócił kupiec ze stacji oświadczając krótko, że wszystko załatwione i jak nadejdzie godzina 11-ta pójdziemy spokojnie na dworzec.

Tymczasem zaś gawędziliśmy dalej.

Cudne chwile rozkosznego wyczekiwania, niecierpliwości i niepewności, lęk i obawa, czy się uda, czy wszystko nie na darmo, ta niepewność i ta nadzieja, że przecież może się uda, — nie da się niczem opisać.

Tak oczekuje młodzieniec na swą ukochaną, o której wie, że niedługo napewno się zjawi.

Dochodzi godzina wpół do 11-tej w nocy, i powoli zbieram się do wyjścia, do drogi naokoło świata, której długości i końca, przeciągu i czasu nie byłem w stanie przewidzieć.

Nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu byłem tak przejęty ważnością chwili, tak jakoś uroczyście nastrojony jak wówczas. — Byłem już gotów, waliza i tłumoczki potrzebne na drogę leżały na ziemi; ja trzymając czapkę w rękę wstałem wraz z innymi, aby się pożegnać. Porwany podniosłością chwili, jakimś wzniosłym uczuciem pomodliłem się krótko, gorąco i żarliwie.

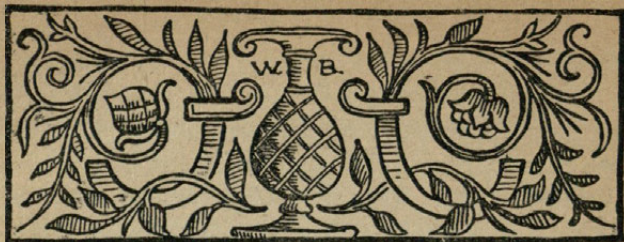
„Boże, miałem tyle zawodów w życiu, tyle rozczarowań i niepowodzeń, tyle zmartwień. Spraw, aby teraz to moje przedsięwzięcie powiodło mi się szczęśliwie, weź mnie podczas tej ciężkiej drogi w swoją opiekę i wspomagaj na każdym kroku“.

Zaczynamy się żegnać. Pomocnik mój jednoroczny armji austryjackiej, który z początku również ze mną chciał uciekać, — lecz niestety idąc za popędem swego serca, zdecydował się zostać w Taszkencie przy swej ukochanej, — ma lzy w oczach; na jego twarzy maluje się straszny żal, który mu ścisną głos w gardle. Panuje jednak nad sobą. Chce coś przemówić, coś powiedzieć, lecz słowa płaczą mu się w ustach, — wybełkotał tylko: „ja wierzę w to święcie, że ucieczka się uda“. — Westchnął głęboko i rozplakał się jak dziecko.

Obaj straciliśmy głowę, tylko nasz kupiec nie traci humoru i werwy i komenderuje krótko: „Już czas, musimy iść powoli. Ja wezmę jeden kuferek, to będzie się

wydawało, że jedziemy razem. Pan weźmie resztę rzeczy i tak pójdziemy wygodnie. — Na ulicach i na peronie proszę rozmawiać swobodnie, nie pokazywać żadnego zdenerwowania lub zmieszania, bo z ubioru nikt nie pozna, kto pan jesteś. — A teraz rzeczy w rękę i dalej z Bogiem w drogę, bo już czas najwyższy“!

Jeszcze uściski i ucałowania na pożegnanie, jeszcze krótkie życzenia i za chwilę objuczeni pakunkami wyszliśmy na ulicę.



ROZDZIAŁ IX.

Opuszczenie Taszkentu.

Szliśmy jeden obok drugiego, rozmawiając głośno i zupełnie swobodnie. Pustka wokoło, gdyż była to już godzina 11-ta w nocy. Odgłos naszych kroków rozchodzi się daleko po kamiennym bruku. Ponieważ szliśmy główną ulicą, byłem pewny, że przy najbliższym skrucie zejdziemy w boczną przecznicę i nią dojdziemy do stacji. Ale kupiec ani słyszeć o tem nie chciał. — „I poco tam właściwie chodzić, czy nam źle jest tutaj? Tam zejdziemy na ulicę, prowadzącą wprost z miasta na stację. — Tamtędy ruch większy i wszyscy nią jadą do pociągu, możemy łatwo jeszcze kogo spotkać, a tedy pójdziemy sami i nikt nas nie będzie widział“.

— No dobrze — odzywam się na to, — ale idąc tą drogą musimy przejść koło szpitala wojskowego, z którego dopiero przed paru godzinami uciekłem, a tam przed bramą stoi posterunek.

— No to co z tego, że tam stoi moskal — mówi

znowu mój towarzysz — czy pan ma na głowie, nosie, lub plecach wypisane, że pan uciekł z obozu. Chodźmy, chodźmy prosto, bo nie ma czasu!

Ja z walizą w jednej, a z czajnikiem na wodę, — na sposób rosyjski—w drugiej ręce, on z kuferkiem, idziemy dalej. Już z daleka widzę szpital, a następnie i „posta“ stojącego na warcie z karabinem.

Wiedziałem dobrze, że w tej chwili nic mi nie grozi, że przecież ten posterunek nie wie, kto ja jestem, dokąd idę i że mogę zupełnie spokojnie przejść obok niego. A jednak serce biło mi jak młotem w chwili, gdyśmy się z nim zrównali.

Kupiec rozmawiał głośno, a ja mu coś odpowiadałem.

Wysoki smukły żołnierz rosyjski Turkestańczyk, stał tymczasem przed bramą szpitala, trzymając karabin zawsze gotowy do strzału. Rozglądał się na lewo, na prawo, zmierzył nas ostro, gdyśmy go mijali, poczem znowu zapadł w zadumę, pewny będąc, że wszystko w porządku, na swoim miejscu zamknięte.

Gdyby jednak był przeczuwał...

Tak doszliśmy pod stację kolejową i tutaj odpoczęliśmy trochę, aby nie wejść na peron zgrzani i zaspiani. Po chwili jakąś boczną ścieżką przeszliśmy przez tory kolejowe, gdzieś między szynami, magazynami, wagonami i naraz znaleźliśmy się na peronie wprost przed pociągiem.

Ponieważ do wagonu wsiadać jeszcze nie było wolno, aż dopiero po pierwszym dzwonku, przeto rzucawszy bagaże na ziemię siedliśmy na nich wygodnie, mieszając się w ten sposób z resztą odjeżdżających. —

Koło nas kręcili się ludzie, tragarze, kolejarze, nikt jednak na nas nie zwracał uwagi

Niezadługo potem odezwał się pierwszy dzwonek. W jednej chwili zrobił się ruch, ścisk i zamieszanie, z czego korzystając weszliśmy prędko do wagonu. Tymczasem jednak biletu jeszcze nie miałem.

Zaniepokojony tem proszę kupca, by poszukał „tragarza“, któremu polecił zakupienie biletu, tembardziej, że w tej chwili dzwonek odezwał się po raz drugi. — Mój towarzysz wychodzi szybko do kasy biletowej, ja zaś niepewny czekam w wagonie. Po chwili wraca kupiec, oddaje bilet do Samary oraz cały plik gazet do czytania. Pogawędziliśmy jeszcze chwilę; on mi opowiedział swoje przejścia w życiu, jak go moskale gwałtem przesiedlili z Królestwa Polskiego, poczem pożegnali, uścisnęli się, ucałowali serdecznie i rozstali wzruszeni.

Pomoc bezinteresowną tego człowieka mam do dziś dnia w pamięci. — To co robił dla mnie pochodziło tylko z dobrego serca, jako dla rodaka polaka. Może nigdy w życiu już go nie zobaczę więcej, a jednak wspomnienie chwil razem z nim spędzonych i tej nieocenionej przysługi, jaką mi zupełnie bezinteresownie wyświadczył, pozostanie na całe życie w mej pamięci.

On wysiadł. Jeszcze z peronu skinął ręką na pożegnanie i za chwilę trzeci dzwonek oznajmił odjazd pociągu.

Ciężko zaczęła dyszeć maszyna wprawiając w ruch wagony. Pociąg przejeżdża zwolna koło peronu, mijając służbę kolejową, żandarmów i dziesiątki wart woj-

skowych rozstawionych przy wszystkich wejściach. — Powoli wydostajemy się poza stację. Widzę już tylko małe światelka błyszczące z dala nad Taszkentem i wierzyć mi się nie chce, że to wszystko prawda, że jadę, że uciekam.

Siadam na ławce i zaczynam dumać; lecz wkrótce idę za przykładem innych pasażerów, którzy przyjętym w Rosji zwyczajem, przygotowują sobie leża na noc, rozścielając na ławkach całe materace, koce i poduszki, nie chcąc swem odmiennem zachowaniem, zwrócić na siebie, uwagi czynię to samo. Rozścielam koc na ławce, rzucam jeszcze jedno spojrzenie na Taszkent, żegnam go i zadowolony, że konduktor odbył już kontrolę kładę się na swoim pośłaniu.

Marzę i myślę. Lecz powolny i monotony ruch pociągu, który już nabrał zwykłego rozpędu, zaczyna mnie powoli usypiać i niedługo potem zasnąłem snem twardym, snem człowieka spracowanego, który wyteżywszy wszystkie swoje siły, by czegoś dopiąć ostatecznie, kiedy już dojdzie do tego, co postanowił, mimowoli mówi: dosyć — teraz trzeba odpocząć!

Zasnąłem twardo nie troszcząc się na razie o to co dalej będzie.

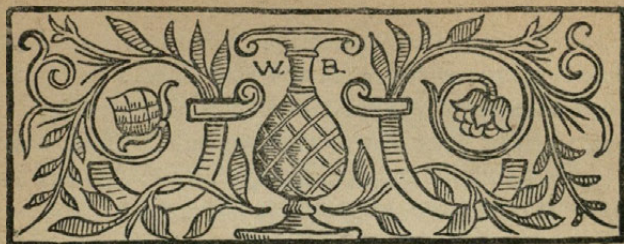
Kiedy na drugi dzień przebudziłem się była już godzina siódma rano. W wagonie prawie wszyscy spali jeszcze smacznie; na każdej ławce rozciągnięty był tylko jeden podróżny, gdyż po drodze w nocy wielu sartów kupców wysiadło.

Dojechaliśmy właśnie do jakiegoś przystanku, czyli tak zwanego „rozjezdu“. Wiedziałem już z poprzedniej

podróży do Taszkentu, że tu można dostać chleb, rybę i kipiátku to znaczy wody przegotowanej na herbatę.

Kiedy więc pociąg stanął na miejscu wraz z innymi zaszedłem do kramu, nabrałem wody gorącej poczem wróciłem do wagonu. — I podczas kiedy wielu w wagonie chrapało jeszcze smacznie, ja już popijałem swój czaj i zagryzałem go chlebem.





ROZDZIAŁ X.

Przez stepy turkestańskie.

Dzień robił się coraz ładniejszy. Słońce podnosiło się coraz wyżej zaczynając zwolna przypiekać. W wagonie stawało się coraz duszniej i goręcej.

Cudne szafirowe niebo rozciągało się nad nami, a jak okiem daleko sięgnąć widać tylko rozległy step turkestański, którego do końca gołym okiem przejrzeć nie można. Nigdzie śladu roślinności, nigdzie krzaczka, trawy. — Chwilami pociąg wpada w rozległe piaski, z których pod wpływem pędu powietrza podnoszą się tumany kurzu, zasłaniające nieraz cały widok.

Patrząc przez okno, widzę to wszystko i nie chce mi się wierzyć, że już jestem wolny, że ten Taszkent tak piękny i oryginalny, to miasto ogrodów — a jednak dla mnie nistety tylko ciężkie więzienie, jest już daleko za mną. Mimowoli przychodzi mi na myśl co się teraz dzieje w szpitalu, — czy ucieczka moja jest ukryta.

Tak rozmyślałem, obserwując mimowoli to step, to niebo, to podnoszące się coraz wyżej słońce.

Wzmagający się upał i tworząca się wskutek tego coraz większa duszność w wagonie, jak również widok śpiących dookoła mnie podróżnych (w Rosji bowiem długie czteroosiowe wagony nie mają po największej części przedziałów) podziały na mnie tak, że usnąłem na ławce na nowo.

W tym śnie przejechałem duży kawał drogi, a kiedy się powtórnie obudziłem z przestachem zauważyłem brak czajnika.

W Rosji czajnik, to druga połowa człowieka, a w podróży prawa ręka każdego z jadących. — Każdy rosjanin bez względu na to, czy Pan czy Iwan, czy arystokratka czy chłopka, wszystko podróżuje z czajnikiem. Na każdej stacji w całej Rosji europejskiej i azjatyckiej znajduje się osobny piec, a w nim wmurowany jest kocioł, w którym stale gotuje się woda na herbatę. — Kiedy pociąg zajedzie na stację wszystko wysiada gromadnie z czajnikami po „kipiatok“. Następnie wróciwszy do wagonu zaparzają czaj, wrzucając szczyptę herbaty wprost do czajnika. Wielu z nich nie czekając nawet aż herbata naciągnie, nalewa zaraz ukrop do szklanki tak, że zwłaszcza lud prosty pierwszą szklankę herbaty wypija bardzo słabą, drugą już silniejszą, a trzecią i następną prawie samą esencją, utrzymując, że ta ostatnia szklanka najlepiej smakuje. — Najmniejsza podróż w Rosji trwa trzy do czterech dni drogi. Przestrzenie bowiem ogromne, a oddalenie miast od siebie wielkie. — To też na drogę zabierają podróżni ze sobą masę bagaży, pościel, prowianty i nieodstępny czajnik

na herbatę, która w zimie rozgrzewa, a w lecie gasi pragnienie. Zauważywszy więc brak swego czajnika byłem nieprzyjemnie zaalterowany, przypuszczając na pewno, że ktoś go poprostu, w czasie snu mojego ukradł.

Tymczasem jak się później pokazało, jeden z moskali jadący w tym samym wagonie wypożyczył go sobie a następnie puścił kolejką przyjętym zwyczajem dalej pomiędzy innych podróżnych.

Oddalamy się od Taszkentu coraz bardziej. Pociąg mknie jak szalony, całymi godzinami jedziemy, nie widząc żadnej stacji, nie zatrzymując się nigdzie. — Po upływie jednej do dwóch godzin wpadamy na jakiś mały przystanek, zatrzymujemy się na chwilę, aby przepuścić pociąg idący z przeciwnej strony, poczem znowu jedziemy dalej, zapuszczając się coraz głębiej w step, którego długość od Taszkentu do Orenburga wynosi około 2000 wiorst.

Tak przeszło południe. Krajobraz się zmienia. Zaczynają się moczary i jeziora porośnięte sitowiem, na których żyją całe stada błotnego ptactwa, szczególnie dzikich kaczek, cyranek i krzyżówek. — Pływają one swobodnie po rozległych wodach nie płosząc się zupełnie łoskotem pociągu.

Minąwszy jeziora i moczary wjeżdżamy na równy step pokryty burzanami. Jak daleko okiem sięgnąć niktogo nie widać na stepie; naraz jakieś sylwetki pokazują się na horyzoncie a zbliżywszy się do nich widzimy kraawane Kirgizów, na wielbłądach, zmieniających zapewne swą siedzibę w poszukiwaniu nowej paszy dla bydła.

Karawana taka składa się zwykle z jednej rodziny, kilku lub kilkunastu wielbłądów, kilku krów i owiec.

Obładowane wielbłądy dźwigają na grzbietach, jurty kirgiskie, toboły, różne graty i sprzęty gospodarskie. Na pierwszym wielbłądzie siedzi zwykle kobieta, żona z dziećmi, na drugim i dalszych jadą albo starzy rodzice lub też dzieci. Sam zaś pan domu silny, rosły kirgiz jedzie albo przed pierwszym wielbłądem na małym osiołku, albo też idzie piechotą prowadząc pierwszego wielbłąda na powrozie. Dalej z tyłu postępują krowy, barany, owce, oraz uwijające się na wszystkie strony dzikie psy kirgiskie.

Karawany takie spotyka się na stepie dosyć często. Posuwają się one drogami, lub szlakami stepowymi, sobie tylko znanymi. Nieraz zdarzało mi się widzieć samotnego kirgiza na koniu; obojętny na wszystko, nie zwracając nawet uwagi na przejeżdżający pociąg, kiwając się w kulbace jechał krok za krokiem — puściwszy wolno cugle koniowi — prosto przed siebie. Dokąd jechał, Bóg tylko raczy wiedzieć. Step bowiem, jak daleko okiem sięgnąć, był pusty; żadnej osady, żadnej lepianki, żadnej jurty nawet, nigdzie widać nie było.

Ubiór takiego podróżującego kirgiza jest dosyć ciekawy. Ma on na sobie długi hałas, niegdyś koloru czerwonego, obecnie wskutek wielkich upałów zupełnie wypłowiały, szerokie szarawary zapuszczone w obszerne wysokie buty ze skóry baraniej. Prócz tego ma jeszcze nogi zawinięte w grube ze sierści wielbłądziej onuce. Pierś stale szeroko odkryta i zupełnie spalona koloru prawie węgla. Na głowie nosi zimą i latem wysoki koł-

pak ze skóry lisiej, z którego zwieszają mu się na uszy i kark szerokie klapy, chroniące przed zadymkami paszczystymi, jakie w tych okolicach często panują.

W lecie ubierają się kirgizi na stepach bardzo ciepło. Pomimo szalonych upałów, które wtenczas dochodzą do 50 stopni C. noszą na sobie grubo watowane hałaty, nadziewając na nie nierzadko szuby baranie, nogi zaś okręcają grubemi onucami ze sierści wielbłądziej, na które naciągają buty. Buty zwyczajem mahometańskim są w skórzanych kaloszach. Na głowę zaś wdziewają kołpak, lub grubą wysoką baranią czapę, twierdząc, że przy upale 50 stopni C. to wszystko ich chłodzi.

Spoglądając przez okno wagonu, przypominam sobie drogę, którą przebyłem przed sześciu miesiącami jadąc do Taszkontu. Pamiętam wszystko dokładnie: te same stacje, te same osady kirgizkie, stepy, moczary, jeziora, stada kaczek i wielbłądów, nawet nietyle ta sama, ile taka sama czapla — bąk, szybuje poważnie w powietrzu.

Z jakim różnem uczuciem jechałem wtenczas w te strony, a z jakim obecnie z nich uciekam. Dowiedziałwszy się wówczas w drodze o strasznych epidemjach grasujących w całym Turkestanie, a w szczególności w Taszkencie, żałowałem bardzo, że się tam wybrałem. Dziś szczęśliwy i zadowolony uciekam z tych stron, i pragnę tylko jak najprędzej wydostać się z tych strasznych okolic śmierci.



ROZDZIAŁ XI.

Już żandarm na drodze.

Minął skwar a z nim spiekota dzienna i powoli począł się zbliżać cichy chłodny wieczór stepowy. Przyznam się otwarcie, że taki byłem zadowolony i kontent z siebie i jakiś upojony tą całodzienną szaloną jazdą, że nie zdawało mi się na razie zupełnie, jakoby uciekał z niewoli. Po części nawet czułem pewien żal, że wszystko idzie tak gładko, że nie mam w drodze żadnych trudności, na które byłem przygotowany.

Jakże jednak bardzo pożałowałem tego niedługo.

Sciemniało się coraz bardziej, a niedługo chłodna cicha noc pokryła step cały.

Ta cichość, monotonność i bezdenne głuchota stepowa, zaczęła się również odbijać na wewnętrznym usposobieniu w wagonie, zwłaszcza, że masę podróżnych wysiadło po drodze i pozostało zaledwie kilka osób.

Była już może ósma wieczorem, kiedy dojechaliśmy do jakiejś małej stacyjki i zatrzymaliśmy się trochę

dłużej. Spoglądając przez okno, ujrzałem grupę ludzi, stojących przed stacją, gestykujących dosyć żywo i zwracających uwagę stacyjnego żandarma w stronę mego wagonu.

Wkrótce posłyszałem wchodzenie po stopniach wagonu, a równocześnie dźwięk ostróg żandarmskich rozległ się w korytarzu mego wozu. Struchlałem!

Dziesiątki myśli przeszło mi błyskawicznie przez głowę, serce zaczęło bić jak młotem.

Czyż zaraz pierwszego dnia, pierwszego wieczora, kiedy jeszcze nie przepędziłem nawet jednej doby na wolności, w odległości jakich trzystu lub czterystu wiorst od Taszkentu miałem znowu wpaść w ręce brutalnej przemocy rosyjskiej? I znowu wracać do obozu?

Serce biło coraz silniej, oddech zamierał, a tymczasem żandarm rosyjski zbliżał się powoli ku mnie.

Na wpół zrozpaczony, na wpół już zdeterminowany i zdecydowany na wszystko, czekałem co dalej będzie.

I tak wszystko stracone! Była ostatnia myśl moja.

Tymczasem żandarm podszedł już do mnie i podniósłszy rękę do czapki, zapytał zwykłym głosem służbowej indagacji:

— Wy dokąd?

— Do Samary.

— A po co?

— Mam sprawę, muszę jechać do Samary.

— A wy kto taki? Ruski? Skąd? brzmiało dalsze pytanie.

— Nie, ja polak, uciekinier, rosyjski poddany, a jadę z Taszkentu.

— Co wy robili w Taszkencie? pyta dalej żandarm.

— Pracowałem przy budowie kościoła polskiego. Do Taszkentu zaś przyjechałem z Polski, jeszcze zeszłego roku, kiedy to „Germaniec“ zaczął następować i zabierać gubernję po gubernji, a nas wszystkich pozabawiać ziemi rodzinnej. Wtedy to wyszedł rozkaz od głównodowodzącego wojskami, aby wszystkich z naszych miejsc rodzinnych ewakuować.

I zacząłem mu opowiadać, jak zjechały sotnie kozaków, do wszystkich pogranicznych wsi, miast i miasteczek Królestwa Polskiego, a kiedy jedni wypędzali nas z naszych domów i chałup, drudzy już czekali z pochodniami na rogach wsi, aby ją podpalić i puścić z dymem, jak tylko odejdziemy.

Nie pomogły prośby, płacze i lamenty, a nawet opór. Nic tu nie zostanie, nic nie wpadnie w ręce wroga! krzyczeli kozacy, i nahajami pędzili nas dalej.

Tak idąc i jadąc, dostaliśmy się w końcu do Taszkentu, myśląc, że tu nam będzie lepiej, że będzie tak, jak nam obiecywano w drodze!

Tymczasem w Taszkencie ani mieszkania, ani jedzenia ani zajęcia dla nas nie było! Po dziesięć kopiejek wypłacano nam dziennie na głowę.

Wskutek głodu i nieczystości, choroby zaczęły się mnożyć coraz bardziej, dziesiątkując naszych. Tyfus plamisty i brzuszny, dezenterja, cholera i ospa, zabierały dziennie dwadzieścia do trzydzieści osób! Były wypadki, że całe rodziny wymarły; szczęśliwy, kto został przy życiu!

Ponadto klimat i straszny upał tamtejszy nie sprzyjał naszym ludziom z Polski. Wszystko to było powodem, że tego roku na wiosnę, minister spraw wewnętrznych

trzných wydał rozkaz ewakuowania wszystkich uciekinierów z Turkestanu i polecił aby nas wszystkich, zanim jeszcze zaczną się wielkie upały, przewieść z powrotem do Centralnej Rosji i osiedlić w gubernjach: Samarskiej, Saratowskiej, Wiatekiej i Permskiej. O tem już wszyscy wiedzą!

Ponieważ znałem dokładnie stosunki w Taszkencie, które niestety zgadzały się w zupełności z mojem opowiadaniem, przeto mówiąc biegle po rosyjsku, opowiedziałem to wszystko płynnie i gładko.

Słuchał tego wszystkiego ciekawie żandarm, ale w końcu zapytał się swoim stereotypowym:

— Nu ładno, a dokument u was jest?

— Naturalnie że jest! odpowiadam na to.

Podąłem mu poświadczenie, on przeglądnął, zapytał o nazwisko, religję, lata i inne formalności, stawiając tu i tam pytania, na które dawałem mu odpowiedzi; w końcu przewrócił dokument na drugą stronę, gdzie były pieczęcie policyjne i to jak się zdaje rozstrzygnęło o moim losie.

Paszport mój bowiem był dwa razy meldowany w policji taszkenckiej, naturalnie nie przez zanieśenie go tamże, lecz przez przyłożenie poprostu na nim pieczęci, które sobie sam przez grawera sporządziłem. — Treść tych pieczęci była jednaka: „zameldowany w tej a w tej dzielnicy miasta Taszkentu i zarejestrowany w poczet mieszkańców pod Nr. tym a tym, data, przystaw dzielnicy i sążnisty podpis tegoż“.

Kiedy żandarm zobaczył to wszystko, nabrał widać przekonania o mojej niewinności, pogadał coś z otaczającym go gronem gapiów, zapytał mnie jeszcze

o jakieś drobnostki, poczem oddał paszport i wyszedł z wagonu.

Odetchnąłem na razie. Atoli nie byłem jeszcze pewny wyniku badań żandarmskich, tem więcej, że pociąg stał ciągle na stacji, a trwało to dosyć długo, i jak mnie się przynajmniej wydawało, na razie na odjazd zupełnie się nie zanosilo. Dzwonków bowiem dających zawsze znak odjazdu zupełnie nie słyszałem.

Ponieważ zaś, jeszcze z czasów przedwojennych wiedziałem o tem, że w Rosji żandarmerja ma prawo zatrzymywania pociągów, jeżeli prowadzi jakieś rewizje lub dochodzenia i może pociąg nawet całemi godzinami na stacji przytrzymać — więc byłem pewny że i teraz również żandarm zatrzymał pociąg, a sam poszedł do telefonu aby się porozumieć z Taszkentem.

Jeżeli kiedy mówi się, że „miałem w życiu takie chwile, które mi się wiekiem wydawały“, to ja właśnie takie chwile przeżywałem wtenczas. — Chciałbym aby pociąg już ruszył, żeby odjechał, żeby już raz opuścił tę stację — a tymczasem on stał na miejscu spokojnie, obojętnie, wytrwale, nie troszcząc się o nic, ani o nikogo!

Wiele dałbym był za to, abyśmy już byli odjechali, ale mowy o tem nawet nie było. — Cała służba pociągowa i stacyjna gwarzyła w najlepsze przed peronem, śmiejąc się i dowcipkując, a we mnie nerwy targały się jeden za drugim. W końcu zdenerwowany i wyczerpany, obojętny na to co się stanie, a nie chcąc przytem pokazać obecnym mego zdenerwowania, rzuciłem się jak długi na ławkę.

Leżałem tak z pół godziny, obecnie już zupełnie nie widząc, ani nie wiedząc co się na peronie dzieje.

Nagle usłyszałem głos dzwonka stacyjnego po raz pierwszy, drugi i trzeci, potem gruby głos syreny lokomotywy, wybuch pary i równocześnie silne szarpnięcie wagonami wprawiło w ruch cały pociąg.

Odetchnąłem głęboko, westchnąłem z wdzięcznością, dziękując Temu, który mnie wybawił z obecnej opresji, a pogrążony w swoich myślach, dałem się swobodnie unosić rozpędzonemu już na nowo pociągowi.



ROZDZIAŁ XII.

Konduktor polak i jego powiastka.

Kiedy następnego dnia zbudziłem się ze snu, byłem już bardzo daleko od Taszkentu. Była to niedziela, której jednak w wagonie zupełnie się nie odczuwało. — Dzień jak zwykle piękny, jasny, pogodny, niebo czyste, niebieskie, niczem nie skażone, żadnej chmurki, żadnego cienia na nim nie było.

Jedziemy stepami. Tu i tam na rozjazdach, gdzie się dłużej zatrzymujemy wychodzę z wagonu i ginę we fali ludzi. Jedziemy dalej.

Powoli oswajam się z życiem w wagonie, jadąc już drugi dzień z tymi samymi ludźmi, którzy jak to w Rosji resztą jest przyjętem, już dawno zapoznali się ze sobą i pobratali serdecznie.

Tymczasem krajobraz się zmienia. Płaski równy step zaczyna nieco falować, małe pagóreczki tu i ówdzie się podnosić. — Również i roślinność staje się bujniejsza,

porosty i trawy większe, krzaki silniejsze. Z okien wagonu widać stada wielbłądów pasących się wzdłuż toru kolejowego. Gromadami chodzą spokojnie, swobodnie po stepie, bez żadnej opieki lub dozoru, a kiedy pociąg zbliży się ku nim, spoglądają nań obojętnie swemi smutnymi oczyma, jak na codzienne znane im zjawisko, nie płosząc się zupełnie. — Młode tylko wielbłądki wielkości żróbków za zbliżeniem się pociągu uciekają spłoszone. Widząc jednak, że ich rodzice stoją na miejscu i nie zwracają uwagi na rozpędzonego, dyszącego smoka kolejowego, zatrzymują się również i tylko przejęte strachem oglądają się trwożliwie za ginącym już w oddali pociągiem.

Patrząc na to wszystko i przechodząc w myśli cały szereg wspomnień, prawie nie zauważyłem, jak dojechaliśmy około godziny 11-tej arno do stacji kolejowej Turkestan.

Miasto jest duże, ale wygląd jego jest bardzo nędzny. Parterowe szerokie, domy, budowane są z ziemi lub z cegły suszonej na słońcu. Obok ciągną się jeziora.

Ponieważ wiedziałem, że tutaj jest większy posterunek żandarmerji, wyglądałem przez okno chcąc się przekonać, czy żandarmi nie robią poszukiwań. Zauważyłem jednak ich miny spokojne, a tem samem przyszedłem do przekonania, że na razie nikt się jeszcze o mnie nie troszczy.

Z okien wagonu oglądałem z daleka miasto. Szeregi niskich, płaskich domków i zabudowań ciągną się wzdłuż toru kolejowego. W tej chwili pociąg rusza ze stacji i widać baraki wojskowe z dużemi obszernymi

podwórzami, a na nich tysiące rosyjskich rekrutów musztruje i uczy się rzemiosła wojennego. — Kilku młodych praporszczyków przechadza się gawędząc i paląc papierosy.

Poza miastem budują się na gwałt szeregi długich baraków. Pracują przy budowie jeńcy austriaccy, którzy wskutek wielkiego upału, są prawie zupełnie rozebrani.

Minąwszy miasto wjechaliśmy znowu w stepy.

Było już dobrze popołudniu, kiedy na jednej ze stacji zmienili się konduktorzy i do pociągu weszła nowa brygada tychże.

Nowy konduktor, który wszedł do naszego wagonu skontrolował bilety jadących, poczem zniknął w następnym wozie. — Po upływie jednak kwadransa, skończywszy widać służbę wrócił z powrotem i podszedłszy do mnie, zajął miejsce obok mnie na ławce.

Zapaliwszy papierosa począł gawędzić ze mną po rosyjsku.

— Wy skąd jesteście? — zapytał uprzejmie.

— Z Taszkentu!

— A dokąd jedziecie? do Samary! do Generałgubernatora!

— A co za jeden? — Polak — uciekinier z Królestwa Polskiego.

— Polak? Odzywa się na to konduktor. Jako dobrze! Wszak ja także jestem polakiem!

— A pan co tu robi i skąd się pan wziął tutaj tak daleko? pytam ja znowu.

— Ot jak zwykle w Rosji, nas polaków rozrzucają

po całym świecie, a do Królestwa Polskiego pchają moskali. Taka to już nasza dola!

— A cóż — pytam się dalej — czy panu tu dobrze, czy nie tęskno za krajem rodzinnym?

— Owszem — odpowiada smutnie — tęskno i to bardzo! Lecz cóż robić? Dla chleba niejedno człowiek znieść musi!

— Ale jakto dobrze żeśmy się zmówili — odzywa się po chwili — bo właśnie ten konduktor, który jechał z panem od Taszkentu, opowiadał mi, że w tym wagonie jedzie ktoś podejrzany, zapewne jakiś „germaniec“, który uciekł z niewoli, że go już żandarm badał i kazał mieć na oku, obserwować, podsłuchiwać co mówi, a gdybym zauważył coś podejrzanego, abym zaraz doniósł żandarmowi stacyjnemu.

Muszę bowiem panu powiedzieć, że u nas często się zdarza, że w pociągu jedzie ktoś podejrzany, a nie można na razie nic mu zrobić. Więc konduktorzy oddają go sobie potajemnie przy zmianie brygady z ręki do ręki — tak, że podróżny nic o tem nie wie, a cały czas jest pod obserwacją i dozorem policyjnym.

Struchlałem słysząc te słowa, konduktor zaś gawędził dalej: to samo miało spotkać pana, a tymczasem pokazuje się, że pan jest polak i to z Warszawy! Jak to dobrze, żeśmy się zgadali, bo teraz sprawa się wyjaśniła. Ja zaraz mówiłem, że to tak będzie, że to nie jest żaden „germaniec“, tylko pewnie jaki polak uciekinier.

Roześmiałem się na to wszystko serdecznie — choć skóra cierpnęła na mnie porządnie.

— Gdzie tam ja podobny do germańca? niechże pan sam powie, czy nie tak? — Mówię śmiejąc się.

No widzi pan, nie ma się co dziwić, ostrożność nie zawadzi! — ciągnął konduktor dalej. Wszak niedawno temu, bo przed tygodniem przyłapano jakiegoś oficera austriackiego, który uciekł z obozu z Turkestanu i przebrany za sarta, czy jakiegoś robotnika jechał w wagonie, w którym było załadowane drzewo. Przejechał już kawał drogi, gdy na jednej ze stacji, służba kolejowa odkryła go, przyłapała i wydała żandarmowi. Jakich to sposobów oni się już nie chwytają?

Śmiałem się głośno i serdecznie, niby to zachwycony opowiadaniem konduktora, a ciarki przechodziły mi po skórze. Opowiadanie to było jakby dla mnie przeznaczone, nie wiedziałem tylko, czy z rozmysłem, czy też zupełnie przypadkowo konduktor mi je opowiedział.

— Tak samo i o panu myślano, że pan jest astrjaccim oficerem jeńcem, który uciekł z jakiegoś obozu. No — ale czy paszport ma pan w porządku? — zapytał jeszcze niedowierzając.

— Naturalnie że mam, wszystko w porządku! I paszport jest i pieczęć i podpis prystawa. Cóż więcej potrzeba?

— No to dobrze! to już się niczego bać pan nie potrzebuje! Mnie to tam nic nie obchodzi, nie moja to rzecz za jakim kto jedzie paszportem. To jest rzecz żandarma. Ja tylko mam uważać, aby każdy miał bilet, a zresztą nic mnie nie obchodzi!

To powiedziawszy pożegnał się uprzejmie i wyszedł z wagonu.

Wdzięczny byłem temu człowiekowi za tę chwilę rozmowy, przez którą umyślnie, czy też zupełnie przypadkowo, otworzył mi oczy, i zwrócił uwagę aby być ostrożnym. Z drugiej zaś strony stropiłem się bardzo, dowiedziawszy się, że już od samego początku zaczynają się tworzyć trudności, które z biegiem czasu i w miarę dalszej drogi mogą urósć w taką przeszkodę, której nie będzie można pokonać.

Tak rozmyślałem, a tymczasem pociąg umykał z dawną szybkością i minawszy stację Kazalińsk, począł się powoli zbliżać do jeziora aralskiego.

Opuściwszy stację Kazalińsk wjeżdżamy w okolice jakby pokryte śniegiem. Dziwne uczucie! — słońce świeci jasno i pali formalnie, a tu naokoło nas bieli się cudowny całun śniegu. — Pokazuje się w końcu, że to są wyschnięte słone jeziora, pokryte warstwą soli.

Gdzie rzucić okiem, w każdym kierunku wszędzie widać tylko tafle białej, srebrzystej szklącej się w blasku słońca soli. Mijamy te pola solne i powoli dojeżdżamy do jeziora aralskiego. Już zdala widnieją wysokie maszty i rozpięte żagle statków stojących przy wybrzeżu, za chwilę można już je dokładnie odróżnić i policzyć nawet. Parę chwil mkniemy wzdłuż wybrzeża, naraz pociąg odbija się od jeziora, robimy zakręt i niedługo potem wjeżdżamy na stację „Aralskoje More“.

Po dłuższym postoju ruszamy dalej, kierując się w stronę Orenburga.

Już wieczór zaczął zapadać na stepie. Wjechaliśmy znowu w jakieś jeziora i moczary. Tu i ówdzie widać było szuwar i niskie zarośla. Nagle spostrzegłem w nich postać dzikiego kirgiza, który przekradając się pomię-

dzy krzakami z chytrością lisa, a zwinnością pantery coś szukał, coś wypatrywał trzymając strzelbę w ręce. Naraz złożył się, lecz spłoszona nadejściem pociągu zwierzyzna umkła mu z przed nosa. — Rozwścieczony odwrócił się w stronę pociągu i ze złością pogroził mu kulem.

Niedługo potem zapadła noc, a ja kołysany monotonym ruchem pociągu zapadłem w sen głęboki.





ROZDZIAŁ XIII.

„Prowodnik“ i jego czujne oko.

Kiedy na trzeci dzień się obudziłem, miałem już dwie trzecie drogi za sobą. Było to bardzo korzystnym dla mnie, gdyż najbliższą stacją większą do której mieliśmy obecnie pod wieczór dojechać było miasto Orenburg. — Tam dopiero mogła mnie spotkać znowu jaka niespodzianka.

Na razie zaś jechałem sobie spokojnie. Z rolą swoją i przebraniem chłopca rosyjskiego tak się już pogodziłem, iż wydawało mi się naprawdę, że jestem urodzonym „muzykiem rosyjskim“, stworzonym tylko na to, aby chodzić w ciemnej rubaszce, szerokich szarawarach i wychodzić od czasu do czasu z wagonu z czajnikiem po kąpiatok, a następnie całymi godzinami popijać czaj i zagryzać go cukrem.

Czułem się w wagonie jak u siebie w domu. Jechałiśmy bowiem wciąż w tym samym pociągu bez przesiadania od Taszkentu, a w moim wagonie z początkowych podróży pozostało już tylko kilka osób, reszta

zaś wszystko byli to nowi przybysze. Potworzyły się grupy, kółka i towarzystwa, które trzymały się razem ze sobą, gawędząc i popijając herbatę.

Mnie to było bardzo na rękę, ponieważ nikt się o mnie więcej nie troszczył, nikt się mną nie zajmował. Konduktorzy zmienili się już kilka razy, tak, że z dawnych, którzy jechali od Taszkentu nie pozostało ani śladu.

Byłem już tak pewny siebie i swojej ucieczki, że gdyśmy dnia następnego gdzieś około 9-tej rano zajęchali na jeden z większych przystanków, spokojnie wysiadłem z wagonu i poszedłem do kramu po prowianty i wodę. — Wróciwszy zaparzyłem herbatę, a równocześnie zabrałem się do śniadania. Byłem zadowolony i przekonany, że wszystko już jest jak najlepiej.

Niestety, zapomniałem o tem, że od Taszkentu jechał ze mną w tym samym wagonie tak zwany „prowodnik“, którego czujne oko strzegło mnie widać całą drogę.

Prowodnik czyli posługacz jedzie w każdym wagonie w Rosji. Robi on porządek, zamiata, zapala światło na noc a w zimie pali w piecu wagonowym, starając się, aby było ciepło. — Zna on więc wszystkich podróżnych swoich na wyłot i o każdym może dać wyjaśnienie.

Właśnie nalewałem sobie świeżą szklanę herbaty i już miałem ją przytknąć do ust, gdy nagle z przestraczem zobaczyłem wchodzącego do wagonu żandarma. — Wysoki, silny, z rumieńcami na twarzy i szumiastym wąsem szedł powoli przez wagon, zatrzymując się przy niektórych podróżnych, poczem wprost zaczął się zbliżać do mnie. — Za nim jak cień szedł „prowodnik“.

Podszedłszy ku mojej ławce podniósł rękę do czapki i zapytał spokojnym pewnym głosem: wy dokąd?

— Do Samary — odpowiadam, nie mogąc nawet przełknąć trzymanego w ustach kawałka chleba.

— A po co? pyta żandarm.

— Mam sprawę do Generał-gubernatora. Jestem stolarzem i jadę tam szukać pracy.

— A dokument u was jest? pyta znowu żandarm.

— Tak jest — mówię — mam paszport — i wyjąwszy go z kieszeni, pokazuję żandarmowi.

Ten odebrał go, oglądając dokładnie przyjrzał się pieczęciom, podpisom, poczem zwrócił się do stojącego obok „prowodnika“ i wskazując ręką na pieczęcie policyjne, odezwał się z zadowoleniem: wot, wszystko w porządku. Paszport jest i meldowany w policji, kaniecznie (naturalnie) wszystko w porządku!

Zauważyłem tylko wielkie niezadowolenie na twarzy przewodnika — który z pewnością mnie zadenuncjował — kiedy żandarm równocześnie odwrócił się do mnie i kłaniając się tym razem już bardzo grzecznie powiedział: „przepraszam, dziękuję“ i oddał mi paszport z powrotem.

Na razie więc po raz drugi wymknąłem się z rąk żandarmerji rosyjskiej.



ROZDZIAŁ XIV.

Przez Orenburg do Samary.

Pociąg ruszył dalej. Jedziemy znowu równymi stepami, stada wielbłądów pokazują się coraz częściej. Upał, w miarę zbliżania się do Orenburga ustał zupełnie. W wagonie obecnie nabitym podróżnymi po brzegi, wskutek tego, że okien nie wolno było otwierać i że prawie wszyscy mężczyźni palili śmierdzącą machorkę, smród i zaduch nie do wytrzymania. Około 6-tej wieczorem zbliżamy się do Orenburga. Z daleka już widać miasto zbudowane na górze. W blaskach zachodzącego słońca odbijały się dachy domów i świeciły połączane kopuły prawosławnych cerkwi i monastyrów. Widok piękny i poważny.

Pociąg robi kolosalny zakręt, wpada pod same prawie miasto i przejeżdża obok starożytnego bazaru tatarskiego.

Bazar ten miał być zbudowany w bardzo dawnych czasach, kiedy to istniał jeszcze handel wymienny, —

a na jarmarki odbywające się tutaj, zjeżdżali się: kirgizi, tatarzy, turkmeni, rosjanie, persowie, jak również kupecy z najdalszych stron i okolic, nęceni nadzieją nabycia najpiękniejszych skór baranich, które tutaj właśnie wyprawiano i gromadzono na handel. Jeszcze dziś w Orenburgu przemysł skórnicy jest wysoko rozwinięty.

Zdaleka bazar ten przedstawia się jak jakiś pawilon otoczony wielkim podwórzem, dookoła którego biegnie wysoki mur zbudowany rzekomo przez niewolników tatarskich. Szerokie wielkie bramy, prowadzą z czterech stron świata do środka bazaru. — Wojna światowa i na tem spokojnem miejscu handlowem wycisnęła swoje piętno. Dawny bazar zamieniono obecnie na obóz jeńców austriackich, w którym skoncentrowano setki naszych żołnierzy, a silne i gęste warty z naładowanymi karabinami pełnią straż dookoła muru.

Pomieszczenie dla jeńców w tym bazarze i w ogóle stosunki tam panujące były tak straszne, że nie było dnia, aby żołnierze nie próbowali w ucieczce szukać ratunku; a wielu z nich śmiercią na miejscu przyplaciło swe ryzykowne przedsięwzięcie.

Tymczasem pociąg zajechał na stację w Orenburgu. Chłodno już było po drodze, ale gdyśmy tam przybyli było całkiem zimno. Muszę bowiem nadmienić, że Orenburg uważają w Rosji za bramę przez którą zimne wiatry ze Syberji dostają się do Europy, a wszystkie miasta w Rosji położone na tym pasie odczuwają skutki tego dotkliwie.

Czułem potrzebę wypicia ciepłej herbaty, aby się cokolwiek rozgrzać, nie byłem jednak pewny, czy przez

te kilka dni drogi telegram gończy nie nadszedł już do Orenburga. Wyglądnałem więc przedewszystkiem przez okno, śledząc niepewnie miny żandarmów.—Kiedy jednak spostrzegłem, że zupełnie obojętnie rozglądają się po peronie, a przechodzący właśnie oficer żandarmerji zabawiał się w najlepsze z jakąś panią, nabrałem przekonania, że nic mi nie grozi. — Wskoczyłem szybko, nabrałem prowiantów i powróciłem do wagonu. Jakież jednak było moje wielkie zdziwienie i rozczarowanie, kiedy zamiast czystej herbaty zobaczyłem w swojej szklance mętłą wodę, robiącą wrażenie rozpuszczonej gliny. Taki „czaj“ piją ludzie w tych stronach z powodu niedobrej wody.

Po półgodzinnym postoju pociąg ruszył w dalszą drogę. Niezadługo opuszczam Azję, wjeżdżając z uczuciem pewnej ulgi na nowo do Europy. Byłem szczęśliwy, że ostatecznie udało mi się wydostać z Turkestanu i z Azji, choć wiedziałem, że to nie będzie na długo.

Wjeżdżamy na most, przejeżdżamy rzekę Ural. Na południe i na północ od toru kolejowego, rozciągają się rozległe pastwiska. Ze zdziwieniem widzę masę ludzi cywilnych, stojących lub kręcących się około długich dachów spoczywających na ziemi. Z początku nie mogłem zrozumieć, co te dachy, zaopatrzone w szklane okna oznaczają?

Dopiero z rozmowy z podróżnymi, dowiedziałem się, że są to mieszkania w ziemi, dla uciekinierów rosyjskich i polskich, z miejscowości zajętych przez nieprzyjaciela, a ewakuowanych przez Rosjan. Były to poprostu jamy w ziemi pokryte deskami, głębokie na 2—3 metrów.

W jamach tych mieszkali uciekinierzy całemi rodzinami, w wyznaczonym im kąci.

Naturalnie ścisk tam był wielki, gnieciono się po prostu. Jeden drugiemu zawadzał, jeden drugiemu wchodził w drogę. Powietrze miało tam być straszne!

Około każdego takiego dachu, stały grupami dziesiątki mężczyzn, kobiet i dzieci, spoglądając z pewnego rodzaju obojętnością i apatią, na to, co się w okolicy nich działo. Nawet przejeżdżający pociąg niewiele ich zainteresował.

Wjeżdżamy w pola, zasiane oziminą, mijamy je szybko i naraz, zdaje mi się, jakoby usłyszał echo, pędzącego pociągu, odbijające się gdzieś w pobliskim lesie.

Rzeczywiście za chwilę wpadamy w piękny, stary, poważny las szpilkowy. Grube, smukłe świerki i jodły, rozłożyste sosny, widać po obu stronach toru. Nie chce mi się wierzyć, żeby to było prawdą, żeby tak było istotnie.

Sześć miesięcy nie widziałem tej zieleni, tej świeżości, jaką tylko lasy szpilkowe mają w sobie.

Tam gdzie byłem dotychczas, widziałem tylko strasznie spaloną, popękaną ziemię, rozległe piaski i tuman kurzu, unoszące się stale w powietrzu, zalegające ulice, ciężące na wszystkich domach i drzewach, na wszystkich liściach, jednym słowem na wszystkim. Ponadto masę ulic w Taszkencie, a zwłaszcza w tej dzielnicy, gdzieśmy mieszkali, tworzą grube, wysokie, mury budowane z błota, zastępujące parkany i płoty, przypominające bardzo nasze mury cmentarne i budzące tylko wstręt i obrzydzenie. To też radość moja na widok

tych zielonych okolic, przepojonych świeżem balsamicznem powietrzem była wielka. Wszak te drzewa, te lasy szpilkowe przypominały mi, moją drogą ukochaną Ojczyznę.

Stałem ciągle przy oknie, zapatrzony przed siebie, nie zauważywszy nawet, że coraz ciemniej robi się na dworze. Zapadł mrok, nadeszła noc, a z nią sen mrużący zwolna wszystkim powieki w wagonie.



ROZDZIAŁ XV.

W Samarze.

Kiedy czwartego dnia obudziłem się rano, o Turkestanie na razie zapomniałem zupełnie. Był to koniec kwietnia, czas wiosny, kiedy to robota w polu wre w całej pełni. W tym roku 1916 jednak, nie było tak może zupełnie, gdyż brak sił męskich, nawet i w Rosji dawał się odczuwać dotkliwie. Mimo to orka i siewba, prowadzona kobiecemi siłami, szła naprzód rażno. Całe szmaty czarnej ziemi były już zorane, a obecnie albo je bronowano, albo obsiewano przy pomocy dużych siewników.

Byłem wtenczas gdzieś koło Buzułuku, w obcych stronach, między ludźmi zupełnie mi obcymi, a jednak widok tych polnych robót, tej gorączkowej pracy wiosennej, przypomniał mi moje strony rodzinne.

Okolo 9-tej rano byłem już w Samarze. Wraz z falangą ludzi, potoczyłem się niespostrzeżony przez nikogo ku bramie wychodowej, a kiedy minąłem ją szczęśliwie

i znalazłem się na obszernym placu poza dworcem kolejowym, odetchnąłem pełną piersią, czując się narazie jakby wolnym. Tutaj też wstąpił w moje serce pierwszy promień nadziei i otuchy.

Pierwszy etap mojej ucieczki został osiągnięty. Ta część drogi Taszkent-Samara, była dla mnie najniebezpieczniejszą i najtrudniejszą do przebycia, gdyż wszystkie moje osobiste wysiłki, nawet największe, nie byłyby mi się na nic przydały, gdyby sam los nie był mi sprzyjał.

Na razie o niczem innem nie myślałem, jak tylko, aby się jak najprędzej oddalić od stacji — dostać do środka miasta, przepaść w niem, zagubić się między ludźmi tak, aby wszelki śluch, ślad i cień za mną zaginął.

Złożywszy więc bagaże w przechowalni, podążyłem do miasta.





ROZDZIAŁ XVI.

Jak się spisał p. „Juljan“ od Hawetki?

Był to cudny dzień majowy. Słońce świeciło jasno i obejmowało swymi promieniami całą postać przechodnia, darząc go szczerze swem ciepłem.

Uciekając z Taszkentu i nie znając klimatu ani temperatury, jaka tu w tym czasie może panować, a licząc się również z tem, że będę uciekał przez Syberję, gdzie jeszcze w maju jest zimno, ubrałem się ciepło na drogę. Miałem na sobie kurtkę podbitą baranami, szerokie, ciepłe szarawary rosyjskie i wysokie buty z cholewami, które to ubranie, byłoby bardzo dobre podczas zimy i mrozu, ale nie przy upale 20 stopni C.

Nie więc dziwnego, że kiedy doszedłem do centrum miasta, byłem zupełnie spocony i pot lał się ze mnie obficie. — Lecz nie sobie z tego nie robiłem, tylko pewnie i śmiało szedłem przez ulicę.

Doszedłszy do miasta chciałem przedewszystkiem zasięgnąć języka, co do wyjazdu na Syberję i stosun-

ków panujących tamże, następnie czyby nie można było dostać jakiego paszportu lub wogóle papierów już z Samary, a ewentualnie nawet i wolnego przejazdu koleją aż do Charbina. Nie wiedząc narazie czy będę mógł wyruszyć w dalszą drogę, chciałem również zawczasu wyszukać sobie jakieś mieszkanie.

Idąc tak ulicą rozglądając się na lewo i prawo, spostrzegłem naraz nad jednym ze sklepów polski napis „Wędliny warszawskie“.

Jakiś promień radości wstąpił w moje serce; przecież ci, którzy taki napis wywiesili nie mogą być Rosjanami. Wszedłem więc bez namysłu do sklepu, który jak się dowiedziałem, przeniesiono wskutek ewakuacji z Warszawy do Samary.

Tutaj dowiedziałem się tylko, że w Samarze jest kościół polski, jest kolonja polska, która jednak mnie, jako ewakuowanemu z Królestwa Polskiego (gdyż tak się przedstawiłem) mało może dopomódz. Że niedaleko stąd, kilka ulic dalej, jest nawet restauracja polska pod napisem „Warszawa“.

Wszedłem też zaraz, skierowałem się pod wskazany mi adres i niezadługo potem znalazłem się w czystej, ładnie i schludnie urządzonej jadłodajni polskiej—gdzie służba, jak również wszyscy goście rozmawiali tylko po polsku.

Czułem się nad wyraz zadowolonym, kiedy zająłem miejsce przy jednym ze stolików i mogłem swobodnie przemówić po polsku.

Za chwilę popijałem już smaczną kawę.

Pokój, w którym siedziałem był obszerny, jasny i widoczny; w rogu po lewej stronie obok drzwi wcho-

dowych stał duży bufet, a na nim różne przekąski. Na ladzie bufetu umieszczone były dwie duże imitacje palm, a za jedną z nich jakiś mężczyzna, nieco pochyłony robił świeże kanapki.

Naraz podniósł głowę do góry, przerwał robotę, i wyszedł na środek pokoju. Coś wzrok mój jakby przykuło do twarzy tego człowieka. — Zdawało mi się, że go już gdzieś widział, że twarz tę znam dobrze, że ruchy tego człowieka nie są mi obce — a jednak w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć, kto on jest, jak się nazywa i skąd pochodzi?

Skąd ja go znam — powtarzałem ciągle w myśli?

Dopiero kiedy przemówił parę słów do jednego z gości nabrałem przekonania, że nie jest to nikt inny, jak tylko popularny „Pan Juljan“ subjekt od Hawelki z Krakowa...

Równocześnie jednak przyszła mi wątpliwość przez myśl, coby on tutaj mógł robić, w jaki sposób mógłby się tutaj znaleźć tak daleko w Rosji, on subjekt od Hawelki z Krakowa?

Siedziałem dłuższy czas w tej restauracji, gdyż było mi tutaj tak przyjemnie, miło i swobodnie, że nie mogłem w żaden sposób powstać od stołu. Od czasu zaś do czasu obserwowałem wspomnianego subjekta upewnijając się coraz bardziej, że to jest właśnie, on — Juljan.

Mimowoli zacząłem kombinować: Jeżeli on jest tutaj w Rosji i tak wolno chodzi po świecie, bez względu na to, jakim jest poddanym, austriackim czy rosyjskim musi mieć wszystkie papiery w porządku. Jeżeli to był zatem rzeczywiście „Juljan“ to w takim razie, gdy-

bym się mu dał poznać, człowiek ten mógłby mnie w niejednym objaśnić, niejedno ułatwić i dopomódz. Wszak na razie nie wiedziałem jeszcze nic pewnego, jak długo tu zabawię i czy nie będę musiał w Samarze dłużej się zatrzymać a nawet i zamieszkać.

Z drugiej jednak strony przychodziło mi równocześnie na myśl: co się stanie, jeżeli ja się mylę, jeżeli to jest kto inny i ja zdradzę się przed obcym człowiekiem? Co będzie wtenczas?

Tak białem się z myślami, nie wiedząc co począć, w końcu jednak zdecydowałem się nie zbliżać się na razie do niego. Zapłaciłem więc za śniadanie, powstałem i umyślnie przeszedłem powoli obok stojącego przed bufetem Juljana w nadziei, że może on sam mnie pozna.

Ale wzrok jego przeszedł obojętnie po mnie — ja zaś podrażniony tym brakiem sprytu krakowskiego subjekta, nasunawszy siarczyście czapkę rosyjską na głowę wyszedłem szybko na ulicę.

Była godzina jedenasta. — Upał zaczynał dokucać i stawał się wprost nieznośnym. Wszyscy chodzili już ubrani po letniemu, bez płaszczy, bez zarzutek. Idę szerokimi ulicami. Ruch w mieście wielki. Tramwaje, samochody, dorożki mijają mnie co chwilę. Tak doszedłem do kościoła polskiego. Piękny, duży, zbudowany jest na wysokiem podmurowaniu do którego prowadzą obszerne schody. Wszedłem do środka i w chłodzie jego zimnych murów odpocząłem dłuższą chwilę.

Po wyjściu z kościoła, nie wiedząc na razie co dalej począć, usiadłem obok innych na stopniach. Obok mnie

siedział jakiś cieśla. Z rozmowy z nim dowiedziałem się, że można wyjeżdżać do Syberji na robotę, że trzeba się jednak zgłosić do Jenerał-gubernatora gdzie można dostać papiery na wyjazd, a nawet bilet wolnej jazdy, aż do Irkucka.

Nadzieja uzyskania nowych dokumentów podróży, a może i wolnego biletu jazdy uśmiechała mi się bardzo. Zatrę ślad za sobą zupełnie i wtenczas dopiero będę pewny.

Dowiedziawszy się jeszcze, czy można tam iść bezpiecznie, nie namyślając się długo idę wprost do generał-gubernatorstwa.

Thumy ludzi, w tem moc polaków czeka na korytarzu na uzyskanie pozwolenia na wyjazd i bilety. Z bijącym sercem i — przyznam się — ze strachem wchodzę za innymi do kancelarji sekretarza. Przedstawiam sprawę i dowiaduję się, że papiery i bilet uzyskam, o ile się zgodzę jechać na roboty polne. — Trzeba jednak wnieść podanie, które po kilku dniach będzie załatwionem. Potem z eszelonem mogę jechać zaraz. Tymczasem, „do widzenia“, zakończył urzędnik, zwyczajem rosyjskim.

Wyszedłszy z pokoju na korytarz, informuję się między czekającymi, jak długo trwa załatwienie podania i co to znaczy, że mam jechać z eszelonem? Dowiaduję się, że bilet dostanę w przeciągu pięciu dni, ale wtenczas, nie można już jechać samemu, tylko w eszelonie to zn. w partji, którą odprowadza aż na miejsce przeznaczenia policjant i tam oddaje ją, jednej z władz rosyjskich!

Nie bardzo nęciło mnie to wszystko, zwłaszcza

opieka rosyjskiego policjanta! Jechać pod kontrolą — na co? Czy sam bez opieki, podróżować nie potrafię? Może nawet i lepiej! Powtóre czekać w Samarze kilka dni, po to, aby doczekać się telegramu gończego! W dodatku, będę musiał tu zamieszkać, zameldować się w policji, wyszukać mieszkania i td. Wszystko to nie bardzo mi przemawiało do przekonania.

Toteż upewniwszy się tylko, że i na własny koszt można jechać na Syberję, o ile się ma dokument, zdecydowałem się o 3-ciej popoł. ruszyć w dalszą drogę.

Odszedłem więc z niczem, wróciłem z powrotem do restauracji „Warszawa“ i zajmąwszy miejsce przy stoliku, kazałem sobie podać obiad.

Rozglądałem się nieznacznie po sali. Prawie wszystkie miejsca były zajęte przez samych Polaków. Dźwięk ojczystej, niczem niekrępowanej mowy polskiej, dziwnie nęcił i mile lechtał moje uszy. Jak chętnie byłbym się do nich przysiadł! Czulem się, jak u siebie w domu.

Kuchnia była czysto polska, smaczna. Rosół, sztuka mięsa, legumina i filiżanka czarnej kawy, stanowiły mój obiad.

Tymczasem postać kręcącego się po pokoju i usługującego „Juljana“ nie dawała mi ani na chwilę spokoju. Ciągle mi się zdawało, że ten człowiek może mi być pomocnym, a jednak nie miałem odwagi, ani sposobności, by z nim zamienić choćby jedno słowo, i powiedzieć kto jestem. Usługiwał on bowiem w drugiej połowie pokoju, znikając tylko co kilka minut w sąsiednim pokoju, z którego przynosił świeże potrawy.

Upatrzawszy jednak stosowną chwilę, wyszedłem za nim, przeprosiłem i zapytałem od razu.

— Panie czy pan nie jest przypadkiem z Krakowa?

Zaskoczony i zaalterowany Julian, — tem niespodziewanem jak widać pytaniem — odpowiedział z wahaniem: Nie! nie! proszę pana, ja nie jestem z Krakowa, ja jestem z Warszawy.

— Jakże pan może być z Warszawy, kiedy ja pana widziałem w Krakowie.

— Nie! nie! panie — mówi Julian — ja w Krakowie nigdy nie byłem! Ot tak tylko, w przejeździe, przelotnie się tam zatrzymywałem — mówi dalej, patrząc przytem na mnie zdziwionym, zaniepokojonym wzrokiem.

Widząc to jego zmieszanie, nie chcąc jednak przerwować z nim rozmowy, a chcąc go równocześnie doprowadzić na to, aby mnie rozpoznał mówię dalej:

— Ależ panie, co pan mówi — że pan nigdy stale nie był w Krakowie. Przecież ja pana widywałem tam w jakimś sklepie galanteryjnym, czy jakiejs księgarni; — nie chciałem bowiem jeszcze więcej go przestraszać oświadczeniem, że go znam od Hawelki, gdzie mi przez szereg miesięcy usługiwał przy kolacji.

Można więc sobie wyobrazić, jak musiałem wyglądać, że nawet po tych słowach Julian mnie nie poznał. Swoją drogą prawdziwy typ „kacapa rosyjskiego“ był wtenczas ze mnie w tej czarnej rubaszce, szerokich szarawarach, nieoczyszczonych butach, z długą rosyjską brodą i wąsami, mając przytem na głowie rozwichrzone, rozczochrane i prawie od trzech miesięcy

zupełnie niestrzyżone włosy. Że elegancki nie byłem, sam to sobie przyznać muszę — nie więc dziwnego, że i Julian mnie nie poznał.

Tymczasem Julian posłyszawszy, że go widziałem w jakimś tam sklepie w Krakowie, zmieszał się jeszcze bardziej. Zbladł, począł się jąkać i z przestrachem dopytywać: A pan co za jeden? Skąd pan jest? Czy pan rosjanin, czy polak? Pan może z policji? — Ja pana nie znam zupełnie — proszę mi powiedzieć kto pan za jeden!

Widząc przestrach tego człowieka i to, że bierze mnie z pewnością za jakiegoś agenta z tajnej ochrony, widząc, że nic mi nie pomoże, a jeszcze może zaszkodzić, przeprosiłem go, że go zaczepiłem, dodając, że to tylko nieporozumienie i że go wziąłem, za kogoś innego, poczem wróciłem do swego stolika.

Nie chcąc zaś dłużej pozostać na jego oczach, a nadto spiesząc się do pociągu, gdyż już było po drugiej, a ja miałem po trzeciej popołudniu odjeżdżać, wyszedłem z lokalu i udałem się wprost na stację.

Przyszedszy jednak na dworzec, dowiedziałem się, że pociąg już dawno odszedł. Zapomniałem bowiem o tem, że na swoim zegarku miałem ciągle jeszcze czas taszkencki, który różnił się o godzinę od zegarów w Samarze.

Ponieważ zaś najbliższy pociąg odchodził dopiero o godz. 12-tej w nocy — nie pozostawało mi nic innego, jak tylko wrócić z powrotem do miasta i nie kręcić się dłużej po stacji. Zły byłem bardzo, że się spóźniłem, że nie pojechałem dalej. Poco czekać — poco zwlekać? Każda minuta była dla mnie drogą, tem bardziej,

że każdej chwili mógł nadejść telegram z Taszkentu, a wtenczas dozór i kontrola policyjna i żandarmska na stacji, będą zdwojone i zaostrzone.

Zły więc byłem niemożliwie, że nie pojechałem popołudniu. Lecz jak się później, dopiero za dwa tygodnie pokazało, stało się dobrze a nawet bardzo dobrze.

Tak nigdy naprzód, nie trzeba niczego żałować.





ROZDZIAŁ XVII

Dumka o kniaziównie.

Wróciłem więc z powrotem do miasta. Zaszedłem na „Woskreseński Bazar“, gdzie zakupiłem niektóre drobiazgi, potrzebne mi na dalszą drogę. Następnie wstąpiłem do jednej z bud jarmarcznych i kupiłem nowe spodnie, płacąc za nie 10 Rs. które pewnie i 5 Rs. nie wartyły.

Przebrawszy się zaraz na miejscu, poszedłem następnie do fryzjera, aby rozczochrane moje włosy i długą „dziką“ brodę, przyprowadzić nieco doporządku, a tem samem zmienić wygląd mej twarzy.

Golarze jak u nas, tak samo i na całym świecie, są rozmowni i ciekawi. Dając swemu gościowi garść wiadomości, które zawsze mają w zapasie, chcą za to dwie, trzy, nowych otrzymać. Tak samo było i z tym, do którego zaszedłem.

Z początku sam zaczął mi opowiadać, różne rzeczy, dotyczące miejscowych stosunków, poczem nagle zapytał:

— A wy skąd? Zdaje się, że nietutejszy.

— Tak — odpowiadam na to — jestem w przejeździe z Irkucka, i jadę dalej do Syzrania, gdzie z dwoma innymi moimi znajomymi mamy założyć fabrykę gwoździ. Moi wspólnicy już się tam znajdują, już wybrali budynek odpowiedni i czekają tylko na mnie, aby kontrakt podpisać. Wstąpiłem tutaj do krewnych po pieniądze i jutro wieczór odjeżdżam. Naopowiadałem jeszcze wiele innych rzeczy, poczem podstrzyżony i przyprowadzony nieco do porządku, wyszedłem na ulicę.

Było już dobrze popołudniu. Chodząc bezcelowo po mieście i wyczekując na godzinę 12-tą w nocy znudziłem się strasznie. W końcu zaszedłem na ulicę ciągnącą się wzdłuż lewego brzegu Wołgi, zasianego całym szeregiem will ozdobnych. Brzeg w tym miejscu dosyć wysoki, pozwalał wolnym okiem objąć całą okolicę, przez którą ciągnęła się cudna wstęga Wołgi.

Wskutek ciągłego jeszcze tajania śniegów na północy i wzmożonych przez to przyływów, stan wody na Woldze jak zwykle w tym czasie był bardzo podniesiony i zalewał wielki, kilkukilometrowy obszar ziemi poza korytem. Białe duże statki, częścią śrubowce, częścią skrzydlące, płynęły w dół rzeki lub z powrotem. Majestatycznie i cudownie wyglądała ta rzeka. Już sama ogromna ilość wody, jaką w sobie zawiera, jak również jej cichość, spokój i jakaś dziwna powaga robią wielkie wrażenie na każdym, kto ją ogląda.

Pierwszy raz w życiu widziałem Wołgę w roku 1915, gdy mnie sprowadzono do obozu jeńców w Syzraniu. Już wtenczas, było to bowiem w maju, szalony

ogrom jej wód rozlanych, ciągnących się na kilka kilometrów od jednego brzegu do drugiego, robiły na mnie dziwne wrażenie. Niestety wtenczas widzieć ją mogłem tylko z okna mojego mieszkania z odległości kilku kilometrów. Obecnie zaś stałem przy niej blisko, tak, że prawie ręką mogłem się jej dotknąć. Zeszedłem z pagórka i zbliżyłem się do samej wody. Po kładce, która łączyła brzeg z galarem, na którym zbudowany był budynek stanowiący tak zwaną „przystań“ jednego z towarzystw żeglugowych, wstąpiłem na galar i znalazłem się nad wodą. Małe, spokojne fale uderzały lekko o brzegi „prystani“.

Na lewo odemnie kilku rybaków na łodziach zarzucało sieci. Na prawo duży statek pasażerski zbliżał się do „prystani“ trąbiąc co chwila przeraźliwie. W dali widać było kilka innych parowców płynących z biegiem lub pod prąd wody. — Wróciłem na brzeg. Wieczór już prawie że zapadł — cicho, spokojnie dookoła i tylko plusk wody przerywa ciszę i milczenie.

Mając do odjazdu jeszcze dużo czasu, a nie chcąc wałęsać się po mieście, by nie natknąć się na policję, żandarmów lub patrol wojskowy, postanowiłem pozostać tutaj i przeczekać kilka kwadransów. — Usiadłem więc na stosie długich belek, złożonych nad brzegiem rzeki i pograżyłem się w zadumie.

Już w Rosji podczas mego pobytu w niewoli, nasłuchiwałem się dużo ciekawych opowiadań o tej rzece. Nieraz żołnierz stojący na warcie przed naszym obozem śpiewał długo smętne dumki o tak zwanej popularnie „Matuszce Wołdze“.

Tymczasem rybacy którzy wrócili z połowu sku-

piwszy się około ogniska, zasiedli do kolacji gwarząc między sobą. Następnie puściwszy w kółko duży okopcony czajnik nalali sobie czaju, popijając smacznie. Naraz rozległa się w powietrzu smętna melodia rosyjskiej pieśni o „Matuszce Wóldze“, a treść jej była nadzwyczaj ciekawa:

W dawnych czasach roiła się Wołga od tak zwanych band rozbójniczych, które na swoich galarach urządzały wyprawy na północ i południe. Dowódca jednej z takich band podczas swojej wyprawy w okolice, poznał z daleka cudną kniaziównę, w której zakochał się na zabój. Jakkolwiek w okolice jej ojca zajeżdżał bardzo często, to jednak nigdy ich nie rabował ani nie niszczył. Piękna kniaziówna, która wiele słyszała o dzikości i srogości rozbójnika zainteresowała się tem, dlaczego ich okolice nie doznawały żadnej krzywdy od rozbójników, dlaczego ich oszczędzano?

Wyraziła nawet życzenie, że chciałaby kiedy poznać tego dzikiego człowieka, o którym tyle złego wszyscy opowiadają, a który przecież nie może być tak złym, jeżeli im żadnej krzywdy dotychczas nie wyrządził. — Ona sama — mówiąc otwarcie — nawet się go nie boi!

Doszło to do wiadomości herszta bandy rozbójników, który niedługo znalazł sposobność dostania się potajemnie do zamku ojca kniaziówny. — Uprzedzona o tem kniaziówna, wyszła wieczorem do ogrodu, gdzie na nią czekał gość tajemniczy.

Kiedy nastąpiło ich spotkanie, rozbójnik wyznał szczerze i otwarcie, że kocha piękną kniaziównę, że tylko dla niej to robi, że nigdy nie niszczy, nie rabuje

i nie pali posiadłości jej ojca, gdyż kocha ją nad życie. Że żyć bez niej nie może i błaga ją na wszystko w świecie, by razem z nim uciekła, a on wszystkie skarby zrabowane, wszystko złoto i drogie kamienie, jednym słowem cały swój majątek, który ma ukryty i zakopany nad Wołgą rzuci jej pod stopy. Sam zaś on, herszt bandy, stanie się jej wiecznym niewolnikiem.

Dumna kniaziówna nie chce się na to zgodzić, atoli choć widok dzikiego, to jednak przystojnego młodzieńca, mającego w dodatku tak romantyczną przeszłość za sobą, poczyna oczarowywać młodą i niedoświadczoną córkę kniazia. Wierzy słowom klęczącego u jej stóp bandyty, przysięgającego jej dozgonną miłość, wierzy, że zostanie jej posłusznym niewolnikiem, że życie jego będzie w jej ręku, że każde skinienie jej będzie dla niego rozkazem, a szczęście jej, jego ostatnim życzeniem. Daje się uprowadzić i odpływa z nim porzucając dom rodzinny na zawsze.

I zaczynają się cudne chwile dla obojga kochanków. On wyjeżdża na dalekie wyprawy, podczas, gdy ona z tęsknotą, obawą i bijącym sercem wyczekuje jego powrotu. A kiedy wraca szczęśliwie, całe stopy łupów, najpiękniejszych materji, najcudniejszych drogich kamieni, — z nierzadką krzywdą swoich współników — rzuca jej pod stopy.

Te chwile po powrocie zdalekich wypraw były prawdziwym rajem dla nich obojga. Gdzieś w cudnym ustroniu na jednym z brzegów Wołgi rozbijają obóz i na łonie przyrody spędzają błogie chwile, spijając rozkoszny nektar miłości.

Tak schodził im dzień za dniem, tydzień za tygo-

dniem, a tymczasem wyprawy rozbójnicze mimowoli idą zupełnie w zapomnienie.

Niezadowolona jest z tego wszystkiego drużyna herszta, żadna ciągle nowych łupów, nowych wypraw, świeżej krwi i pożogi. To też po naradzie odbytej w tajemnicy, wysłała delegację do herszta i żąda od niego, aby albo pozbył się kochanki i nadal jako ich wódz chodził z nimi na wyprawy, albo żeby złożył komendę i godność herszta, gdyż inaczej oni sami zrzucą go z dowództwa i wybiorą sobie nowego herszta. Wszak przecie w ich bandzie, wyraźnie jest zastrzeżonem, że nikomu z nich nie wolno się żenić, nie wolno mieć kochanki. A on — wódz ich — pierwszy złamał to ślubowanie.

Więc niech wybiera: albo ich wiernych swoich towarzyszy, albo kniaziównę.

Usłyszawszy słowa delegacji, wódz posmutniał, zamyslił się głęboko i przyrzekł za kilka dni dać odpowiedź.

Tymczasem jednak już na drugi dzień organizuje świeżą wyprawę na którą pod wieczór wyjeżdżając zabiera poraz pierwszy swoją drogą ukochaną kniaziównę. Kiedy wypłynęli na środek Wołgi, wódz zatrzymuje galary i stanawszy na podwyższeniu, mając przy swym boku kniaziównę, rozpoczyna przemowę do swoich towarzyszy:

Bracia rozbójnicy... Tyle lat przeżyliśmy razem, tyle wypraw odbyliśmy, tyle krajów zniszczyliśmy i zawsze wy mnie, a ja wam byłem wierny. Dziś chcecie mnie porzucić, dlatego tylko, że zakochałem się w tej oto cudnej kobiecie i rzekomo przez to wam się sprze-

niewierzyłem. Aby was przekonać, jak bardzo was cenię i jestem do was przywiązany, oraz, że chcę nadal pozostać waszym wiernym towarzyszem — tę oto kniaziównę, którą ukochałem nad życie odtrącam od siebie, a wam podaję obie ręce na znak dalszej zgody. Niech ginie marnie! krzyknął przytem — i pochwyciwszy w silne ramiona struchlałą bladą kniaziównę, rzucił ją w zimne i głębokie nurty Wołgi.

Plusnęła fala zataczając coraz szersze koła i za chwilę cicha woda skryła w sobie młode ciało pięknej kniaziówny.

Pieśń urwała się — przebrzmiała i skonowała gdzieś na środku Wołgi. Ognisko zaczęło powoli przygasać, zmrok ciemny przypadł nad brzegiem i znowu tylko lekki plusk fali słyszać było w ciemnościach.



ROZDZIAŁ XVIII.

Noś drobne zawsze przy sobie.

Zerwałem się patrząc na zegarek. Dziesiąta już dochodziła. Miałem jeszcze wrócić do miasta, a następnie udać się na dworzec

Około 11-tej znalazłem się przed dworcem kolejowym. Wykupiwszy bagaże wszedłem do obszernego, jasno oświetlonego westibulu, w którym znajdowała się kasa osobowa. Rzuciłem okiem po dużym przedsiionku i ze zdziwieniem zobaczyłem już długi ogon podróżnych czekających na bilety. Wzdłuż zaś tego kilkakrotnie skręconego węża stało w pewnych odstępach trzech wysokich jak słupy graniczne żandarmów rosyjskich, pilnując porządku. Ponadto przy okienku kasy osobowej stało dwóch innych żandarmów, uważających również na porządek i kontrolujących od czasu do czasu paszporty.

Nie było czasu do stracenia, ani do namysłu — trzeba było stawać w szeregu i zająć miejsce coprędeż, gdyż gości ciągle przybywało, a każdy namysł, każde opóźnienie powodowało tylko dalsze miejsce w ogonku. — Stałem więc za innymi i powoli zacząłem się posuwać naprzód.

Byłem silnie zdenerwowany i czułem po sobie to zmieszanie, a jednak musiałem panować nad sobą, aby się z czemkolwiek najmniejszym nie zdradzić.

Długi szereg osób stojących przedemną topnieje powoli. Z piętnastu poprzedników mam jeszcze przed sobą dziesięciu, potem pięciu i nareszcie stoję przed okienkiem. W środku w kasie dwie panienki — jedna sprzedaje bilety, druga zajęta pisaniem czy rachowaniem. Obok mnie o dwa kroki wysoki żandarm rosyjski.

— Proszę o bilet do Charbina, — mówię jaknajgrzeczniej z udanym spokojem do okienka.

— Czy wy chcecie bilet wprost do Charbina czy też wystarczy wam bilet do Omska lub Irkucka? — pyta się kasjerka.

Nie — odzywam się na to — proszę mi dać bilet wprost do Charbina.

W takim razie wy chcecie książeczkę — nieprawda, na całą drogę — mówi znowu kasjerka.

Mnie aż ciarki przechodzą, że nabycie biletu tak się przeciąga. — Wszak zależało mi na tem, aby jaknajprędzej zniknąć z przed kasy.

Odzywam się więc uprzejmie: tak, tak — proszę mi dać książeczkę (nie wiedząc nawet jaka to książeczką i do czego ma służyć), chcąc tylko jaknajprędzej zniknąć z tego miejsca.

Tymczasem kasjerka zaczęła „wystawiać“ bilet, to znaczy zieloną książeczkę z odpowiednimi kuponami biletowymi, zaopatrzyła numerem, ostemplowała, podpisała i jeszcze raz coś sprawdziła, następnie wręczając mi ją powiedziała grzecznie: 54 ruble 20 kopiejek.

Dobrze — odzywam się na to i nie mając drobnych

składałam na okienku całe 55 rubli. Kasjerka miała mi wydać resztę. Ponieważ jednak również drobnych nie miała, przeto bardzo grzecznie — w najlepszej może nawet myśli, odezwała się, że pójdzie zmienić ruble na drobne.

Tego mi jeszcze właśnie potrzeba — pomyślałem sobie — aby przez czas jej nieobecności przyszło żandarmowi na myśl przeglądnąć moje dokumenty.

Widząc więc na okienku skarbonkę z napisem na czerwony krzyż momentalnie* prawie odzywam się: dziękuję, proszę nigdzie nie chodzić, te kilka drobnych kopiejek, które mi pani ma wydać, daję na czerwony krzyż „na naszych dzielnych żołnierzy“.

Kasjerka podziękowała, a ja wzięwszy co prędzej książeczkę szybko odszedłem od kasy. Stojący obok żandarm, który widział to wszystko, ustąpił mi się grzecznie z drogi i zasalutował po wojskowemu. — Widać, że i jemu podobała się moja ofiarność.

Ucieszony przeszedłem na peron i wsiadłem do pociągu dążącego na Syberję.

Wagony były tak przepelnione, że trudno było się do nich dostać. Nie zważając jednak na to, wsiadłem do pierwszego z brzegu, aby tylko nie zostać przypadkiem na stacji. Było to bowiem po Świętach Wielkonočných i setki żołnierzy wracało z urlopu.

Niedługo potem pociąg ruszył powoli z miejsca, potoczył się ociężale po szynach, zmierzając w stronę Uralu — i za chwilę przepadł w ciemnościach.

A ja zadowolony byłem, że ucieczka moja nadal mi się udaje.



ROZDZIAŁ XIX.

Przez Ural na Syberję.

Ścisk i tłok w pociągu był nie do opisania. O miejscu do siedzenia nie było nawet mowy. Oparty bądź to o ścianę wozu, bądź też o najbliższego sąsiada, przestałem tak noc całą. Toteż na drugi dzień byłem jak z krzyża zdjęty.

Tymczasem pociąg szybko pędził dalej, zatrzymując się tylko krótko na większych stacjach. Po dwódniowej bez przerwy podróży, dojechaliśmy już pod Ural. Chodziło obecnie o to, aby ten wielki grzebień gór, tę naturalną granicę, dzielącą Azję od Europy, przebyć szczęśliwie i to jak najprędzej. Zdawało mi się bowiem, że będąc już raz poza Uralem, będę jakby za murem, jakiegoś bezpiecznego schronienia w rozległej Syberji.

Coś mnie ciągnęło, coś pchało tam daleko na wschód, a zarazem przestraszało przed tym dzikim strasznym krajem, o którym prawie każdy z nas naczytał się i nasłuchał tak wiele, — niestety tylko złego!

Chciałem poznać tę rozległą Syberję, chciałem ją zobaczyć, chciałem tam być — a z drugiej znowu strony, strach mnie przejmował na samą myśl, że mogę tam przepaść bez śladu, bez wieści na zawsze. Któż bowiem będzie się troszczył o mnie, jeżeli gdzieś daleko na Syberji noga mi się powinie i nie tylko naprzód, ale nawet nazad cofnąć się nie będzie można?!

Wszystkie jednak te myśli, minęły prędko, na widok pięknych okolic, w których się obecnie znalazłem. Szerokie, zazielenione już płaszczyzny ciągnęły się dookoła; gdzieś na zielonem tle, rysowały się, mniejsze lub większe osady, a nawet miasteczka. A tam dalej przed nami na horyzoncie widniał już wielki, groźny, poważny Ural.

W końcu dotarliśmy do niego i niedługo potem, przepadliśmy między dzikimi jego wąwozami.

Pociąg począł się wspinać coraz bardziej w góry — dysząc przytem ciężko, a przed moimi oczyma zaczęły się rozciągać i przesuwać, coraz to piękniejsze widoki, zmieniając się szybko, jak w kalejdoskopie.

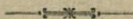
Dzikiе urwiste góry, czasem pokryte lasami, to znowu wysokie wiszące skały, otaczały nas zewsząd. Tak dojechaliśmy do miejscowości Złatoust, która według twierdzenia lekarzy rosyjskich ma być dla osób piersiowo chorych tem samem w Rosji, czem u nas w Polsce jest Zakopane.

Miejscowość ta licząc od Samary, leży w samym środku Uralu i w przejeździe pociągiem ma się ją prawie u stóp swoich, całkiem w dole. Zwróciłem na nią o tyle większą uwagę, iż swojego czasu miałem tam być początkowo przeniesionym ze Syzrania. Los jed-

nak rzucił mnie wtenczas do Taszkentu, i dobrze się stało, gdyż w ten sposób byłem i w Taszkencie i w Złatouście. A tak Taszkentu, może nigdy w życiu nie byłbym zobaczył, a ze Złatousta, kto wie, czy chciałoby mi się uciekać, jeżeli tam ma być rzeczywiście tak zdrowo, ładnie i cudownie, jak w naszym Zakopanem.

Przewijając się między wąwozami lub też zapadając i znikając zupełnie w starych lasach, pociąg powoli przedzierał się przez krańcowy grzebień gór, a niedługo potem zaczął coraz to szybciej opadać w kierunku Azji. Po kilku dniach nad ranem dojechaliśmy do Czelabińska, i wysiedli na tej pierwszej stacji kolei Syberyjskiej.

Napis Czelabińsk, widniał wysoko, nad budynkiem stacyjnym.





ROZDZIAŁ XX.

Na stacji Czelabińsk.

Zimny, ponury, dżdżysty dzień był wtenczas. Deszcz mrzył od samego rana, a zimno dojmowało dotkliwie. Tutaj trzeba było wysiąść i czekać do godz. dwunastej w południe, na nowe połączenie.

Razem z tłumem ludzi, który wysiadł z pociągu, podążyłem na peron, a następnie do poczekalni trzeciej klasy. Tutaj zgubiłem się zupełnie w tłumie. Cywilnych było masę; nie brakło także i żołnierzy. Uwagę moją zwrócili strzelcy syberyjscy, tak zwani popularnie „sybiracy“. Zdrowi, silni, barczyści, chłop w chłopa, odbijali z daleka od innych.

W poczekalni, do której wszedłem, był tak wielki ścisk, że trudno było się przepchać. Jedni stali przy bufecie i zagryzali przekąski, drudzy siedzieli grupami, obok swoich bagaży, na ziemi, inni pousiadali na ławkach, ustawionych rzędem, jedna za drugą na środku poczekalni.

Wybrawszy odpowiednie miejsce siadłem w kącie, za filarem na ławce i postanowiłem tak spokojnie — nie zwracając na siebie uwagi — przeczekać aż do nadejścia pociągu.

Nie mogąc jednak bezczynnie wysiedzieć, wstałem i podszedłszy do stacyjnej księgarni, kupiłem trzy pierwsze z brzegu książki rosyjskie, poczem wróciwszy na swoje miejsce, zacząłem jedną z nich czytać, kładąc dwie inne obok siebie na ławce.

Zauważył to, jakiś z długą brodą „kacap rosyjski“, który niedługo potem przysiadł się do mnie i nie pytając wcale o pozwolenie, zaczął czytać drugą moją książkę.

Byłem z tego zadowolony, gdyż każdy kto widział rzeczywistego „kacapa rosyjskiego“ z długą brodą, czytanego w jakiejś powieści, a obok niego mnie, nigdy by nie przypuścił, że siedzą obok siebie w takiej zgodzie oficer austriacki-uciekiniery, i wróg jego zażarty, „istинno ruski poddany“.

Tak zeszedł mi czas gdzieś do dziesiątej rano, a widząc, że nikt na mnie nie zwraca uwagi, wziąłem czajnik i poszedłem szukać „kapiatku“.

Czelabińsk to wielka, długa stacja kolejowa. Idziesz i mijasz budynek za budynkiem, barak za barakiem i gdzieś na końcu dopiero widnieje napis „kapiatok“. Wróciwszy z powrotem z gorącą wodą, zaparzyłem herbatę i poszedłem do bufetu po chleb. Stałem prawie oparty, o szklaną tafłę bufetu, gdy nagle zjawił się przy mnie, wysoki, rosły żandarm stacyjny. Stanął tak blisko przy mnie, że prawie łokciem trącił w moje ramię.

Nie przypuszczałem, aby przyszedł specjalnie szu-

kać mnie, gdyż miał zanadto zadowoloną minę — a jednak serce uderzyło mi silniej. „Winowat“, (przepraszam) — odzywam się grzecznie i usuwam na bok. „Niczewo“ odpowiada butnie żandarm, i nie zwracając na mnie zupełnie uwagi, — w przypuszczeniu, że jestem marnym w jego oczach „muzykiem rosyjskim“, zamawia najspokojniej przekąskę dla siebie.

Kiedym wrócił na swoje miejsce, zastałem już i drugiego gościa, zajętego czytaniem mojej książki. Widząc to ucieszyłem się bardzo, i byłem zadowolony, — że moja prywatna biblioteka znajduje szersze zainteresowanie i „przyczynia się do podniesienia oświaty w Rosji“.





ROZDZIAŁ XXI.

XXX

I rubel na coś przydać się może.

W końcu nadszedł i pociąg. Tłum podróżnych wysypał się na peron pędząc jeden przez drugiego, zmierzając do wagonów, przy których stali „prowodnicy“, kontrolujący bilety. Podeszedłem do pierwszego wagonu i chciałem wejść do środka, trzymając bilet w ręce. Atoli „prowodnik“ zatrzymał mnie i zapytał, czy mam „plac-kartę“, żądając jej okazania; a gdy mu odpowiedziałem, że nie mam, odesłał mnie na koniec pociągu, wyjaśniając, że tam jest miejsce dla mnie.

Okazało się jednak, że i z tyłu pociąg był cały przepełniony wojskowymi, dla których właśnie te wozy były przeznaczone. Pociąg ten, jechał wprost z Moskwy i przepełniony przybył do Czelabińska.

Nie więc dziwnego, że i tutaj konduktor oświadczył mi, że w jego wagonach również miejsca nie ma, a jeżeli chcę jechać, to muszę wsiąść do jednego z poprzednich wozów. Wracam więc z powrotem, ale znowu do-

wiaduję się, że bez plac-karty do wagonu się nie dostanę. „Trzeba iść do kasy, i kupić plac-kartę, a prędko, bo pociąg zaraz odchodzi“ — odzywa się przewodnik. „Inaczej nie pojedziecie. U mnie byłoby jedno miejsce, ale tylko za plac-kartą“.

Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że w Rosji kto chce jechać wygodnie, musi mieć oprócz biletu jazdy, jeszcze tak zwaną plac-kartę. Za to ma prawo zająć w nocy całą ławkę, spać na niej wygodnie i nikt mu tego miejsca odebrać nie może.

Widząc, że bez dodatkowego biletu do pociągu się nie dostanę, pędzę co prędzej do kasy kolejowej. Tu jednak, oświadczył mi kasjer, że plac-kart już więcej się nie sprzedaje, ponieważ pociąg jest przepelniony i wszystkie miejsca do spania są zajęte.

Pytam więc, kiedy odchodzi następny pociąg? O dwunastej w nocy — brzmi krótka odpowiedź.

Dwanaście godzin czekać na stacji, gdzie ciągle kręcą się żandarmi, było niebezpiecznem i ryzykownem. Wybiegam więc copędzej na peron i zrozpaczony, podchodzę jeszcze raz do przewodnika i mówię:

Przyjacielu! mam bardzo ważny interes handlowy i muszę tym pociągiem jechać do Irkucka! mam tam stawić się na termin. Pociąg ten jest ostatni, którym jeszcze na czas mogę przyjechać. Zabierz mnie, choć plac-karty nie mam — widzisz sam bowiem, że jej kupić niemogę — a dostaniesz za to odemnie na czaj.

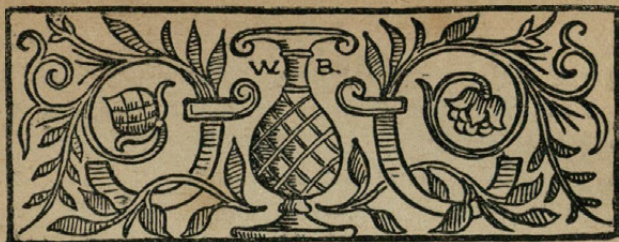
Nie chciał się początkowo na to zgodzić, lecz w końcu się odezwał: „No dobrze, daj dwa ruble, to pojedziesz. A plac-karta osobno“.

Zgadzam się! była krótka moja odpowiedź. Nie mia-

łem bowiem innego wyboru i po chwili siedziałem już w wagonie, gdzie przewodnik zadowolony z sutego napiwku, wskazał mi uprzejmie miejsce na ławce.

„Tu sobie siądźcie i poczekajcie. Za parę stacji ta ławka będzie wolna i będzie do was należeć“. To powiedziawszy odszedł.

Prawie równocześnie pociąg ruszył z miejsca i ja zadowolony spoglądałem przez okno na znikające z przed moich oczu budynki stacyjne.



ROZDZIAŁ XXII.



W drodze przez Omsk do Tajgi.

Jak ze Samary do Czelabińska jechałem kilka dni bardzo niewygodnie, tak obecnie znalazłem się w wagonie czystym, ogrzanym w towarzystwie wcale niezgorszem.

Towarzystwo to nie było wprawdzie pierwszej klasy, ale za to spokojne, ciche, nie interesujące się niczem i nikim. To też odrazu poczułem się w jakimś innem lepszym usposobieniu i zadowolony — nie ruszając się z miejsca, obserwowałem równocześnie jadących ze mną podróżnych.

W wagonie tym jechał jakiś obywatel z Moskwy, mężczyzna silny, barczysty, wysoki, około lat 40-tu, dobrej tuszy, czerstwy na twarzy, z długą brodą rosyjską. Od czasu do czasu wzmacniał on swoje siły różnymi przekąskami, a na jedno posiedzenie zjadał ni mniej ni więcej jak tylko: dwa duże kotlety, oprócz tego kawałek innego mięsa, całą kure, kaczkę lub koguta,

przyczem popijał „czaj“ bez przerwy. Z całą satysfakcją obgryzał kości zjedzonej kury, oblizując się i cmokając z zadowoleniem grubemi mięsistemi wargami. Pod brodą miał zawiązany długi biały ręcznik, którym od czasu do czasu ocierał spocone czoło.

Naprzeciwko niego siedział mały szczupły człowieczek, w czarnych okularach, z którym zaciekle dyskutował o polityce, ustroju państwowym, o wojnie i „Germańcach“ i td. Ciekawem było, że przez cały czas ich rozmowy nie posłyszałem ani razu słowa Austrija, albo „austryjec,,. Państwa tego nikt nie uznawał podczas wojny w Rosji.

Na lewo od nich na ławce poprzecznej pod oknem siedziało dwoje starszych ludzi, rolników — mąż i żona, którzy z pod Moskwy jechali odwiedzić syna swojego osiadłego pod Tomskiem. Spokojni, cisi gwarzyli tylko między sobą i na pierwszy rzut oka poznać można było, że jest to już starsze, ale nadzwyczaj zgodne i kochające się małżeństwo.

Inni podróżni nie utrwalili mi się w pamięci, być może dlatego, że wcześniej gdzieś wysiedli po drodze, podczas gdy wyżej opisani jechali ze mną całe dwa dni.

Tak przejechałem przestrzeń do Omska. Miałem jeszcze jeden dzień drogi do Tajgi — gdzie trzeba się było znowu przesiąść do innego pociągu.

Droga do Omska prowadzi przez same równiny, tu i ówdzie pokryte lasami, czasem piaskami. Pociągi całemi godzinami idą od stacji do stacji, bez zatrzymywania się.

Już za Omskiem zaczynają się moczary, bagniska i wielkie rozległe jeziora. Stada dzikiego błotnego

ptactwa pływają po wodzie; niektóre z nich przestraszone nadejściem pociągu zrywają się z krzykiem i wrzaskliwie unoszą się w powietrze. Szczególniej dzika kaczka w najrozmaitszych odmianach jest tu bardzo liczna. Droga pomiędzy tymi moczarami, tu i ówdzie pokrytymi sitowiem lub małymi kępkami szuwaru, jest bardzo przyjemna. — Okolica zaś cała, nabiera o wiele więcej uroku wieczorem, kiedy słońce zaczyna się chylić ku zachodowi, a jego złote promienie i czerwona tarcza odbijają się i mieniają cudownie na cichych spokojnych wodach rozległych jezior. Wtenczas to całemi godzinami można przestać przy oknie, obserwując ten dziki, a jednak dużo uroku mający w sobie krajobraz.

Tak przyjechaliśmy na stację kolejową Tajga.

Przesiadłszy się do następnego pociągu w niespełna godzinę potem ruszyliśmy dalej. — Miejsce w wagonie otrzymałem o wiele gorsze, aniżeli miałem dotychczas. Musiałem na nowo jechać z żołnierzami rosyjskimi wszelkich możliwych gatunków broni, którzy wracali z urlopów. Byli także kozacy, których sąsiedztwo nie bardzo jest przyjemne, a nawet bezpieczne. — Żołnierze skupiwszy się na ławkach rozprawiali głośno, giestykując żywo. Czasem śpiewali, a za to cały czas bez przerwy palili śmierdzącą obrzydliwą machorkę. — Zaduch w wagonie był straszny, że oddychać nie było można. I wtedy jakby na komendę, otwierały się wszystkie okna i drzwi we wagonie i powstawał szalony przeciąg, że zdawało się, że nam wszystkim głowy porurywa.

W takich warunkach przejechałem noc całą siedząc przy otwartem oknie znużony i wyczerpany szalenie

a jednak zadowolony, że przecież stale posuwam się naprzód.

Naraz gdzieś około północy poczułem, że zaczynam się bardzo pocić. Z początku przypuszczałem, że to jest wynikiem dusznego i zgniętego powietrza we wagonie, którem z trudnością przychodziło mi oddychać. — Kiedy jednak następnie otworzono już okno, a poty pomimo tego nie ustawały, przeraziłem się będąc pewny, że dostałem zapalenia płuc.

Całą noc przemęczyłem się podrażniony i zdenerwowany, a przytem przeпоcony do nitki w przekonaniu, że nabawiłem się zapalenia płuc i że przyjdzie mi — zamiast dalej uciekać, zgłosić się na którejś stacji do szpitala. Tego zaś bałem się jak ognia. Jak się później przekonałem pociłem się z powodu silnego zdenerwowania, podrażnienia i niewyspania, a może nawet więcej z powodu nagłej zmiany klimatu i temperatury. Z Taszkentu bowiem uciekłem w kwietniu, kiedy tam już było 25 i więcej stopni gorąca, tutaj zaś w Syberji znalazłem się nagle w klimacie zimnym, gdzie przeciętna temperatura wynosiła 5—6 stopni ciepła.

W międzyczasie moi towarzysze podróży, żołnierze rosyjscy, zbieranina z całego świata — zabawiali się w najlepsze, rozmawiając, śmiejąc się, grając w karty, śpiewając i stale popijając „czaj“. Temat ich rozmowy nie był zajmujący — był czysto zawodowy. — Opowiadali ciągle o wojnie, o swoich czynach walecznych, o swoim bohaterstwie i o zdobyczach na froncie, nie przypuszczając nawet, że obok nich siedzi ktoś, ktoby mógł to wszystko dokładnie sprostować. Opowiadali

również o braniu jeńców do niewoli, o srogim, bez najmniejszej litości obchodzeniu się z nimi.

Kozakom, którzy tym rozmowom się przysłuchiwali, świeciły się oczy jak wilkom. Równocześnie jeden z żołnierzy zaczął opowiadać, jak to czterech kozaków prowadziło 20 jeńców, a ponieważ w drodze sprzykrzyło się im konwojować ich dalej, przeto pozabijali wszystkich, co do jednego. — Kiedy przyjechali do komendy etapu i zameldowali się, komendant zapytał ich: a gdzie jeńcy?

— Wymordowali wszystkich! — brzmiała odpowiedź kozaków. — Jak to — pyta komendant — wszystkich 20? Tak jest — odpowiadają kozacy, co do jednego. „Ni adnowo nie ostałoś“!

Dobrze zrobili — bardzo dobrze! odzywa się komendant, poklepał kozaków po ramieniu i podał wszystkich czterech do odznaczenia.

Jadący w wagonie kozacy słysząc to wszystko, aż szaleli z radości, krzycząc przytem i wygrażając pięściami powtarzali jeden przez drugiego: „ach, gdyby nam się teraz dostał w ręce jaki germaniec, albo austryjec, zarazby my jemu pokazali!

Słyszając to wszystko i obserwując z boku ich groźne miny, błyszczące skośne oczy i dyszące zemstą nozdrza przełamanych nosów, oczekiwałem tylko chwili, kiedy kozacy wiedzeni uczuciem zapalczywości wyciągną szable i zaczną rąbać pierwszego lepszego z brzegu, aby tylko zaspokoić swoją żądzę krwi.

A niechby mnie tak rozpoznali!...

Chętnie byłbym zmienił miejsce, gdyby tylko to

było możliwem, a jednak zmuszony byłem jechać z tymi ludźmi całe cztery dni.

Któregoś popołudnia wsiadł na jednej ze stacji do naszego wagonu młody chłopiec rosjanin, lat około 18-tu i usiadł przy oknie naprzeciw mnie. Przeczuwałem, że mnie czeka nowy krzyż pański. Taki młody chłopak zwykle jest ciekawy, rozmowny, i po największej części tem się zawsze interesuje najbardziej, co go najmniej powinno obchodzić. — Tak samo było i z moim nowym sąsiadem.

Ponieważ do żołnierzy nie miał takiej śmiałości i nie mógł się do nich odrazu przyłączyć, więc do mnie jako do cywila zwrócił się z całym szeregiem zapytań: dokąd jadę, poco, czy daleko i tđ.

Ponieważ zaś w Rosji jest przyjęty zwyczaj, że jadący w pociągach nie robią przed sobą żadnych tajemnic i zwierzają się wzajemnie jedni przed drugimi ze wszystkiego, jakby się już znali od szeregu lat, więc i ja musiałem odpowiadać chłopcu na wszystkie jego pytania, aby przypadkiem nie wzbudzić w nim jakiegoś podejrzenia. — Każdego bowiem takiego brano zaraz za szpiega.

Głowę zawracał mi dosyć długo, swoim dopytywaniem się czy służyłem przy wojsku, czy nie — a jeżeli nie, to dlaczego? Czy w wojsku ostro się obchodzą, że teraz podobno dyscyplina podczas wojny nie jest w garnizonach taka ostra i tđ. Że ja jestem pewnie białobiletnik i że jego z pewnością na wiosnę zabiorą — lecz gdzie go dadzą, to sam jeszcze nie wie. On chciałby wprawdzie iść do szkoły wojskowej podpraporszczyków, — lecz tam nie jest bardzo dobrze. Tam sami

młodzi oficerowie i srogo obchodzą się z żołnierzami. Taki praporszczyk — opowiada bez przerwy mój sąsiad — to w szkole jeszcze jaki taki — ale — jak przyjdzie tylko do pułku zmienia się odrazu i robi się z niego „swołocz skończona“! i td., i td.

Odpowiadałem mu na to wszystko ni to, ni owo, aby nie przerywać z nim rozmowy i przypadkiem nie zrazić go sobie lub nie wpaść w podejrzenie. Z drugiej zaś strony ostrożny byłem w odpowiedziach i pragnąłem w duszy — aby ten rozmowny mój sąsiad wysiadł jak najprędzej.

W międzyczasie stanęliśmy na jednej z większych stacji. Ruch na peronie był dosyć wielki a pomiędzy tłumem przechadzali się młodzi oficerowie rosyjscy. — Jeden z nich młodziutki wysoki śliczny chłopczyzna lat najwyżej 17-tu, zwabiony dźwiękami bałabajki rozlegającymi się z naszego wagonu podszedł wraz z młodym studencikiem ku memu oknu i zapytał: kto tam gra w wagonie? Soldat — odpowiadam mu na to. Zawołaj go — mówi praporszczyk. — A kiedy żołnierz podszedł ku oknu zapytał się go czy może zagrać troszkę na bałabajce. Praporszczyk otrzymawszy potakującą odpowiedź wszedł szybko ze studentem do wagonu, stanął między nami i za chwilę dźwięczne tony bałabajki, wydobywane dobrze wyszkolonymi palcami rozeszły się w wagonie. Przegrał jedną zwrotkę, następnie drugą, a tymczasem żołnierze znęcani dźwięcznymi tonami znanych im pieśni żołnierskich zaczęli z początku cicho nucić, a potem coraz głośniej śpiewać znaną im dobrze dumkę.

I huknął z kilkunastu piersi silny głos i melodja —

znanej w całej Rosji pieśni: „Oficery póluczajut diengi— a żołdacy kipiatok“ (to znaczy, że oficerowie służą przy wojsku rosyjskiem za pieniądze, a żołnierze za gotowaną wodę).

Naraz zabrzmiał głos dzwonka kolejowego, dający sygnał do odjazdu. Praporszczyk oddał prędko bała-bajkę, wyskoczył zgrabnie z wagonu, i skinął jeszcze ręką na pożegnanie.

„Wot, jaki on tu w wagonie uprzejmy i grzeczny, dzieciątko — odezwał się po chwili mój sąsiad. A przy pułku to już pewnie niejednemu żołnierzowi rozbił mordę na kawałki“!

Tak filozofował mój sąsiad, a tymczasem pociąg mknął szybko całą siłą pary.





ROZDZIAŁ XXIII.

W głębi Syberji.

Jechaliśmy już oddawna przez rzeczywistość, znaną z powieści i opowiadań Syberję. Dziś dopiero mogę zrozumieć, dlaczego wszyscy zesłani na Sybir czują się tak nieszczęśliwi, odosobnieni, dlaczego tak szalenie tęsknią do kraju i nierzadko nawet z tęsknoty tej giną na obczyźnie. — Pojąć i wyobrazić to sobie można dopiero wtenczas, kiedy się samemu zobaczy te rozległe bez końca równiny — przez które jedzie się całymi godzinami, gdzie oko nie ma na czem spocząć.

Dla mnie, który jechałem pociągiem i tylko chwilowo znajdowałem się w tych stronach, był pobyt w tej monotonnej rozległej okolicy bardzo przykry. — A cóż dopiero mówić o tych, którzy zesłani na Sybir za jakieś drobne przewinienie — a czasem nawet zupełnie niewinnie muszą w tych okolicach dla nich zupełnie obcych osiedlić się i pędzić samotne życie zdala od świata, życia kultury i wszystkiego, co jest drogim ich sercu.

Sam jeden, mając w każdym kierunku kilkadziesiąt wiorst do najbliższej osady człowiek taki musi zdziżyć prędzej czy później.

To też zadowolony byłem niewymownie, kiedy minąwszy rzekę Tszulin (dopływ rzeki Ob) wydostaliśmy ostatecznie z tych rozległych nieprzejrzaných przestrzeni i wjechaliśmy w okolice bardziej urozmaicone. — Bowiem już od Krasnojarska zaczyna się teren coraz więcej pagórkowaty.

Gdzieniegdzie pofałdowany, gdzieniegdzie silniej wzdęty, czasem pokryty kępami drzew lub zrębami lasów sprawia miłe wrażenie.

Budzi się zainteresowanie i oczy mimowoli kierują się znowu w stronę okien wagonu.

Tak dojechaliśmy do rzeki Jenisiej zamarznętej jeszcze zupełnie, pomimo że był to już maj. — Wysoki długi żelazny most łączy oba brzegi ze sobą. Dość nisko pod mostem znajduje się koryto rzeki, a po obu jej brzegach silne stráže kozackie pilnują bezpieczeństwa mostu. Z okien wagonu widać dobrze, jak kozacy w długich płaszczach i wysokich futrzanych „papachach“, siedząc na małych chyżych konikach galopują jak opętani wzdłuż brzegu rzeki. Niektórzy z nich posiadawszy z koni poprawiają popręgi lub też trzymając w garści trochę siana, karmią swoje małe koniki.

Przed samym mostem pociąg się zatrzymuje. Do każdego wagonu wsiada po trzech, czterech żołnierzy z karabinami naładowanymi i najeżonymi bagnetami. Dwaj z nich stoją przy drzwiach wchodowych, dwaj inni wchodzą do środka wagonu, wszyscy z karabinami u nogi, i patrząc bystro, obserwują jadących.

Tymczasem pociąg rusza i zupełnie powoli posuwa się przez most. Przez cały ten czas, wszystkie okna i drzwi w pociągu były szczelnie pozamykane, każdy z podróżnych musiał siedzieć na swoim miejscu i nikomu pod groźbą kuli karabinowej nie wolno było ruszyć się z miejsca.

Władze bowiem rosyjskie bały się bardzo, aby ktoś z jadących nie rzucił bomby na most i nie wysadził go w powietrze. — Byłaby to klęska dla armji rosyjskiej, nie dająca się niczem powetować. Wszystkie bowiem transporty amunicji, broni, parków kolejowych i parowozów, jakie szły stale z Japonji i Ameryki stałyby odrazu, a armja rosyjska pozbawiona tych rzeczy stałaby się bezwartościową.

Zarządzenia te co do pilnowania mostów, były przez cały czas wojny ściśle przestrzegane.

Przejechawszy most, pociąg zatrzymuje się, warty wysiadają, a my za chwilę znowu już w normalnem tempie jedziemy dalej. — I widać z okna wagonu, jak droga żelazna wije się ponad wysoką szkarpą, na lewo do której spadał dość stromo zręb starego lasu. Szczątki tegoż — grupy wysokich drzew lub też samotne pojedyncze drzewa świadczyły tylko o tem, że kiedyś istniały tu stare odwieczne dziewicze lasy.

Czasem całemi godzinami jechaliśmy przez takie lasy.

Nieraz wieczorami siedząc przy otwartem oknie czuło się przynoszony gdzieś zdaleka przez wiatr, zapach spalenizny. — Niedługo potem dostrzegliśmy wielkie łuny pożarów stepowych, które spowodowane iskrami przejeżdżającej lokomotywy lub też może w inny

sposób płonęły wolno ogarniając powoli, coraz większe przestrzenie. — Widok był przepiękny. Pociąg wpadał formalnie w morze szalejących płomieni, idących albo po równym stepie, lub też wspinających się coraz wyżej po szarpie kolejowej w górę, lub też opadających coraz niżej w dół.

To też często do późnej nocy przesiadywałem przy oknie, patrząc z zaciekawieniem na to wszystko, nie chcąc opuścić najmniejszego szczegółu lub stracić cokolwiek z wrażeń tych nieznanych mi okolic. I nieraz zdarzało się, że wyczerpany podróżą ulegając zmęczeniu zasypiałem bezwiednie siedząc na ławce. — A jednak kiedy następnego dnia przebudziłem się rano, mimo zmęczenia czułem się zupełnie rzeźki i zadowolony. Przetarłszy bowiem oczy i zorjentowawszy się gdzie jestem, uświadamiałem sobie, że przecież uciekam i to szczęśliwie i zaraz dodawałem z zadowoleniem jeden dzień więcej do ogólnej sumy dni, mojej ucieczki.

Dziwnem jest, że liczbę tych dni pamiętałem długi czas dobrze, nie pomyliwszy się zupełnie nawet w dniach tygodniowych, jakkolwiek nie miałem przy sobie ani kalendarza, ani żadnego notatnika, ba nawet ołówka. Rzeczy tych bowiem z rozmysłu nie zabrałem z sobą na drogę w obawie, aby na wypadek przyaresztowania, nie być uważanym za szpiega.

Z drugiej jednak strony trzeba również przyznać, że zdrowe świeże powietrze syberyjskie robiło także swoje. Temu to powietrzu zawdzięczają sybiracy w głównej części swój zdrowy, czerstwy wygląd.

Tutaj muszę nadmienić, że dzikość i wygląd Sy-

berji tak, jak my to sobie zawsze przedstawiamy nie jest zgodny z rzeczywistością. Jest tam bowiem także i pewna kultura i oświata — życie fabryczne i przemysłowe, są uniwersytety (jak w Omsku), ale to wszystko jest tak bardzo oddalone od siebie, tak rozprzeszczerzone i rozprószone, że kolejną trzeba jechać z jednego takiego miejsca względnej kultury lub siedliska przemysłu do drugiej podobnej miejscowości kilka dni bez przerwy. Można sobie zatem wyobrazić, jak taka jazda musiała wyglądać w dawnych czasach wozem lub saniami. — Szeregi dni mijały, a wiorst nie ubywało i stało się prawie ciągle na miejscu, zmieniając tylko po stacjach konie. Tygodnie całe mijały zanim upragnioną miejscowość w końcu się osiągnęło. — Opowiadała mi pewna staruszka w Taszkencie, że kiedy mąż jej został zamianowany urzędnikiem słownym we Władywostoku, to oni w ten sposób końmi odbyli drogę z Moskwy przez Ural, Syberję i Mandzurję do Władywostoku. A podróż ta trwała kilka miesięcy.

Cóż dopiero mówić o tych, którzy po rozległych piaskach zachodniej Syberji i w zaspach śnieżnych musieli odbyć taką, a może nawet i dłuższą drogę piechotą, etapami z Centralnej Rosji lub Królestwa Polskiego?

Opowiadali nam w Taszkencie lekarze austriacy, przybyli z Omska do Turkestanu dla tłumienia chorób epidemicznych grasujących w całym Turkestanie, że jednego z naszych, to znaczy austriackich, sztabowych oficerów za jakieś tam drobne przewinienie transportowano etapami za karę od Samary coraz dalej na wschód. — Po dwu lub trzydniowej podróży pociągiem towarowym wysadzano go na jakiejś stacji, aby po

kilku dniach odpoczynku znowu powieźć go etapem dalej. — Etapy takie wypadaly zwykle co dwieście do trzystu wiorst. Nie powiedziano mu jednak nigdy dokąd jedzie, jak długo będzie w podróży i jakie jest ostateczne jego miejsce przeznaczenia. — Człowiek ten starszy wiekiem już po kilkutygodniowej podróży był zupełnie wyczerpany, przygnębiony i złamany na duchu.

A cóż dopiero mówić o tych, którzy tę samą drogę musieli odbywać piechotą w kurzu lub błocie, upale lub mrozie, deszczu lub śniegu?

Miano bohaterów dla tych ludzi cierpiących niewinnie, dla tych braci naszych polaków jest za małym. Cześć im!

Jadąc tak już czas dłuższy, a nie odżywiając się odpowiednio byłem czasem tak głodny, że kurcz ścisnął mi żołądek. Pamiętam na jednej stacji zatrzymaliśmy się około południa nieco dłużej, a kiedy zapytałem podróżnych, gdzie tak tłumnie wysiadają wszyscy i dokąd spieszą gorączkowo, — odpowiedziano mi: tutaj na stacji jest bufet, w którym można dostać bardzo dobrego obiad za 70 kop.

Chodźcie i wy! odezwał się któryś z podróżnych — pójdziemy razem.

Nie! — ja nie głodny, nie pójdę — mruknąłem chociaż równocześnie żołądek skręcał mi się kurczowo od tej ciągłej herbaty, chleba i zimnej kiepskiej rosyjskiej kielbasy, którą żywiłem się od dłuższego czasu.

Nie więc dziwnego, że sama natura domagała się czegoś cieplejszego — pożywniejszego. — Nie ufałem jednak sobie, i nie mogłem się zdecydować wysiąść z pociągu i zajść do restauracji, gdyż sam widok wy-

sokiego żandarma rosyjskiego odpychał mnie od budynku stacyjnego — jak od czegoś groźnego, niebezpiecznego i mogącego mieć smutne następstwa dla mnie.

Przemęczyłem się tak jeszcze dzień jeden, a takie myśli, jak gorąca zupa, sztuka mięsa, dymiąca pieczeń krążyły mi ciągle w myśli, jak błędne ogniki, nie dając chwili spokoju. — W końcu na drugi dzień, kiedyśmy znowu stanęli w południe na jakiejś większej stacji — nie mogłem już dłużej wytrzymać. I skoro tylko pociąg stanął przed peronem wraz z całą falangą ludzi potoczyłem się i zniknąłem w restauracji.

Tam długi, czysto nakryty stół dymił się już od świeżo nalanego na talerze barszczu i rosółu. Od bufetu, gdzie stał kucharz biało ubrany rozchodziła się po sali przyjemna woń i zapach świeżo gotowanych potraw. Goście siadali szybko do stołu jeden za drugim. I ja zająłem wolne krzesło, nie pomny już na to, czy kto na mnie zwraca uwagę, czy nie, czy mój strój i wygląd ordynarnego muzyka rosyjskiego nadaje się do czystego stołu — zadowolony tylko, narazie, że mogłem zjeść ciepły obiad. — Talerz barszczu, jak jedna łyżka zniknęła wkrótce. Podany mi sznycel z ziemniakami i kapustą był dla mnie czemś tak smacznym, że nie byłbym go odstąpił w tej chwili nawet za drogie pieniądze. Zdublowałem tylko podane mi jedzenie i szybko wzięwszy po drodze gorącej wody do czajnika wróciłem do wagonu.

I dziwna rzecz! Ta sama herbata, którą jeszcze dziś rano piłem bez najmniejszego smaku, teraz po dobrym obiedzie była dla mnie wykwintnym aromatycznym smacznym napojem!



ROZDZIAŁ XXIV.

Jak stałem się ojcem rosyjskiego dziecka.

Ruszyliśmy dalej. Pociąg zatrzymuje się jak zwykle przed jakimś mostem kolejowym, wsiadają żołnierze pełniący wartę, jedziemy przez most powoli, a minąwszy go pędzimy znowu z dawną szybkością.

Dnia tego położyłem się wcześniej spać na ławce ze względu na to, że znowu miejsce się opróżniło. Spałem już dłuższy czas smacznie, gdy nagle około północy obudziła mnie ze snu głośna krzykliwa awantura — taka prawdziwa krakowska z placu Szczepańskiego.

Otwieram jedno oko i zapuszczam spojrzenie w stronę krzyku, wymyślań i pieniającej się złości. Nadstawiam uszu i słyszę, jak jakaś rosjanka wymyśla konduktorowi za to, że jej nie chce puścić do wagonu. Słowa takie: ja biedna, opuszczona, mój mąż na wojnie — mam małe dzieci — jestem po ciężkim tyfusie, a wy taki bez serca, bez litości — poprostu grubjanin, — latają w powietrzu jak iskry.

Co wy sobie myślicie — słyse dalej — ja jadę do meża, który służy przy wojsku, a wy mnie puścić nie chcecie! Więc co mam zrobić — isć piechotą? Ja mam pieniądze na bilet, ale dla siebie i dla jednego dziecka, a tych dwoje małych czy nie może jechać za darmo? czy to ich ojciec nie służy przy wojsku, nie broni ojczyzny? Czy te cztery dni drogi to znowu tak daleko?

Zirytowany konduktor — zagroził jej widać żandarmem, gdyż za chwilę słyse już krzyk formalny dotkniętej tem do żywego rosjanki.

Co, wy mówicie, że sprowadzicie żandarma? dobrze, sprowadzajcie, ale z nim razem niech przyjdzie doktor, niech mnie zbada i niech powie, czy nie jestem chora, i czy nie potrzebuję meża? Słyse to wszystko — otwieram drugie oko i myślę sobie: ładna historia, awantura robi się coraz większa, jeszcze potrzeba tylko żeby przyszedł żandarm. A ja tak lubię rosyjskich żandarmów!

Nie chciałem wstać aby nie stracić miejsca do spania. Rosjanka jednak wsiadłszy już w międzyczasie do wagonu i zauważywszy, że nie śpię (miejsce miałem na pierwszej ławce od drzwi) — podeszła szybko ku mnie i nachylając się odzywa się prędko: słuchajcie, wy daleko jedziecie? Do Czyty — mruknąłem pod nosem, w tem przekonaniu, że ona zdąża do jednej z bliższych stacji. Tymczasem rosjanka cała rozpromieniona mówi odrazu: jakto dobrze, ja także właśnie jadę do Czyty do meża! Słuchajcie, a nie wzięlibyście jednego dziecka na swój bilet niby, że ono jedzie z wami? Wam to nic nie zaszkodzi, a mnie zrobicie wielką przysługę, bo nie mam pieniędzy na bilet“!

Jedna myśl przeszła mi momentalnie przez głowę.

Myślę sobie, — mogłem już jechać pod najrozmaitszemi postaciami — mogłem dla ludu rosyjskiego urządzać bibliotekę publiczną na stacji w Czelabińsku — dlaczego teraz nie mam jechać jako ojciec uczciwie nabytego dziecka?

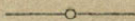
Siadam więc na ławce i odzywam się z miejsca: „haraszo“, proszę bardzo, a które będzie moje?

Wot, ta mała „barysznia“! odpowiedziała matka wskazując mi na czteroletnią córeczkę.

I od tego czasu jechałem już w towarzystwie tej starej chorowitej rosjanki i trojga jej małych dzieci, z których córeczka, tak się do mnie przywiązała, że na krok odemnie nie odchodziła.—Z dzieckiem tem też, nosząc je na ręce lub prowadząc za rączkę wychodziłem wszędzie na stacjach, wchodziłem śmiało do restauracji, gdyż chyba wszystko mógłby każdy przypuszczać — ale nie to, żeby oficer austriacki uciekał z niewoli z dzieckiem na ręce.

Dziecko zaś zwabione łakociami jakie mu po drodze kupowałem, nie chciało się odemnie za nic w świecie oddać, nazywając mnie stale „dziadzia“, tak, że nawet podróżni w pociągu, którzy później się przysiedli byli święcie przekonani o tem, że dziecko to jest mojem, a nie rosjanki.

Tak dojechaliśmy wreszcie do Irkucka.





ROZDZIAŁ XXV.

Irkuck. Na brzegach Bajkału.

Było to około 8-mej nad ranem gdzieś w początkach maja. Pomimo, że wiosna kalendarzowa dawno już była na papierze, to jednak tutaj znać jej jeszcze nie było. Wszystkie drzewa, dachy domów, jak również i ziemia pokryta była grubym szronem, a według oświadczenia konduktora pociągu 10 stopni mrozu było na dworze.

Dojeżdżając do stacji w Irkucku mijamy szereg baraków wojskowych strzeżonych przez warty rosyjskie. — Wszyscy żołnierze poubierani byli w długie wartownicze płaszcze zimowe, wysokie baranie czapki, grube rękawice i berlacze. — Dziwnego uczucia doznałem widząc to wszystko, tembardziej że znikając z Taszkentu przed niedawnym czasem zostawiłem tam upał ponad 20 stopni C.

Słyszając już poprzednio o srogości zimy na Syberji nie chciałem temu wierzyć. Obecnie zaś przekonałem się o tem naocznie.

Wysiadłszy na stacji z dobrze opalonego pociągu doznałem z powodu zimna nieprzyjemnego uczucia. Na dworze bowiem był mróz porządny.

Zmierzając jednak szybkim krokiem przez peron kolejowy, a nadto dźwigając swój tłumoczek, wnet się rozgrzałem.

Minąłem szybko peron obchodząc z daleka żandar-mów i razem z tłumem podróżnych dostałem się do wielkiego westibulu, gdzie złożywszy w kącie swoje rzeczy, pospieszyłem zaraz do kasy, aby kupić „plac-kartę“ na dalszą drogę. — Pociąg bowiem miał odcho-dzić za godzinę.

Nauczony zaś doświadczeniem w Czelabińsku do-znawałem dziwnego strachu na samo wspomnienie, że jeżeli nie dostanę biletu dodatkowego znowu nie będę miał przystępu do pociągu.

Tymczasem przy kasie biletowej był już ścisk nie-lada. Podróżni tłoczyli się i pchali jeden przez drugiego, krzyżąc i bijąc się formalnie o dostęp do okienka. Pełniący służbę i mający uważać na porządek przy ka-sie policjant nie mógł sobie dać rady i zupełnie na nic już nie zwracał uwagi.

Byłbym tak może przestał z tyłu za innymi godzinę, a może i dłużej, gdyby nie jakiś moskal jadący praw-dopodobnie w stronę Mandżurji, który widząc, że nor-malnie po porządku przed odjazdem pociągu, do okienka się nie dostanie, zrobił straszną awanturę — trochę nawet ordynarną, ale za to skuteczną.

Co to jest za porządek? — krzyczał na cały głos — aby najpierw kupowali bilety ci, którzy odjeżdżają pó-źniej, a ci, na których pociąg już czeka, aby zostali

bez biletu. Czy to jest słusznie? czy to taki ma być porządek? Policjant! wy od czego tu? czort z wami „naplewat“! Czy wy nie widzicie, co się dzieje? czy wy nie na to tu jesteście, aby pilnować porządku? Co — wy mówicie, że to nie wasza sprawa, żebym nie krzyczał?! Rób służbę dobrze, a wtedy nikt na ciebie nie będzie się oburzał. „Naplewat“!

Rzeczywiście policjant ujęty tą uprzejmą przemową, wmieszał się w tłum i zaczął robić porządek. Najpierw odepchnął wszystkich od okienka kasy, poczem trzymając nahajkę do góry i pozdrawiając co drugie słowo matkę — przemówił uroczyście:

— Panowie, proszę — (gospoda pożałujsta), kto ma zaraz odjeżdżać niech przystępuje do kasy i kupuje bilet, inni niech poczekają spokojnie i w porządku, a nie, to nahajem po mordzie! Wot, proszę (pożałujsta) idźcie naprzód, — dodał przytem z gracją.

Korzystając z tego przepchałem się przez tłum i już jako czwarty stanąłem przy okienku. Niedługo potem z biletem w ręku zmierzałem do pociągu, który przygotowany stał niedaleko peronu. — Był on krótszy aniżeli zwykle pociągi w Rosji, gdyż liczył zaledwie pięć wagonów.

Wszedłszy do wozu przyjemnie i ciepło ogrzanego, wyszukałem numer swojej ławki, lokując się zaraz na niej wygodnie. Wagony były zupełnie nowe, widne, przegrodzone tylko ławkami do siedzenia. Świeżo i czyściutko było wszędzie, przytem wschodzące słońce oświetlając wnętrze wagonu jasnym światłem nadawało mu wrażenie miłego, skromnego czystego mieszkania.

Sąsiadem moim z przeciwka był obecnie właśnie

moskał w czarnych okularach, z którym jechałem już poprzednio w jednym wagonie od Czelabińska do Tajgi. Poza tem, cały wagon napełniony był samemi kobietami, a pomiędzy nimi zauważyłem także rosjankę, której jedno z dzieci przyjąłem na swój rachunek.

W niedługim czasie pociąg ruszył ze stacji i miasto Irkuck zaczęło coraz więcej pozostawać za nami w tyle. Po godzinie dojechaliśmy do jeziora Bajkalskiego i zatrzymaliśmy się na stacji trochę dłużej. — Szereg straganów z rybami najrozmaitszego gatunku ciągnął się przed oknami wagonu. Podróżni wysiedli szybko i podszedłszy ku straganom rozkupili ryby w okamgnieniu. Były różne: gotowane, smażone, lub wędzone, wielkości mniej więcej dużych karpia. Były to przeważnie omule, którymi tak się sławi Bajkał; ryba nadzwyczaj delikatna o czem sam się przekonałem.

Dzień był mroźny, jasny, pogodny, niebo czyste, błękitne, słońce przygrzewało silnie. — Pociąg toczył się powoli wzdłuż południowego brzegu jeziora Bajkalskiego, zdążając coraz bardziej na południowy zachód.

Jezioro zupełnie zamarznęte i jak daleko okiem sięgnąć, widać tylko jasną, kryształową tafłę lodu. Wysokie, strome, skaliste góry częścią zalesione, otaczają jezioro dookoła. Patrząc z brzegu, którym w danej chwili się jedzie, widać jakby przez mgłę gdzieś daleko na widnokręgu przeciwny brzeg jeziora. Mówią w wagonie, że tam po drugiej stronie będziemy dopiero około godziny 3-ciej popołudniu i że z tamtej strony będzie jeszcze lepiej widać brzeg, po którym obecnie jedziemy.

Patrząc na to wszystko i nie chcąc oczom wierzyć. —

Ten Irkuck, to jezioro Bajkalskie, które do niedawna było dla mnie raczej fantazją lub snem, o którym tylko mogłem marzyć, dziś jest rzeczywistością i mam go obecnie przed sobą. Czy to sen, złudzenie, czy też rzeczywistość?

Przecieram oczy, spoglądam na nowo i widzę to samo cudne jasne niebo, przygrzewające słońce lśniąca się tafelę lodu i przeciwległy brzeg Bajkału.

Prawie cały czas przesiedziałem przy oknie, spoglądając na lewo i prawo i zachwycając się widokami, których piękność da się porównać tylko z krajobrazami Szwajcarii.

Kiedy około 2-giej popołudniu dotarliśmy już na drugi brzeg jeziora, widać było doskonale całą drogę, którą przejechaliśmy przedpołudniem. — Jedziemy jeszcze ze dwie godziny wzdłuż jeziora i dopiero gdzieś około 5-tej popołudniu skręciwszy się raz i drugi na wschód, zaczęliśmy się coraz bardziej oddalać od jego brzegów i zapadać znowu w puszcze. — Kiedy po niejakiś czasie spoglądałem przez okno zwykły krajobraz syberyjski otaczał nas wokoło. — Z Bajkału nie było już ani śladu.



ROZDZIAŁ XXVI.

Czyta. Mili towarzysze podróży.

Mrok zapadał coraz większy, kiedy wpadliśmy znowu w lasy, a pociąg szybkim pędem zdązał coraz dalej i dalej na wschód. Nadeszła wkrótce noc, która rozciągnęła mnie na ławce, tuląc do snu przyjemnem wspomnieniem przeżytych chwil, rzeczywistością obecnego mojego miejsca pobytu i trwożliwą niepewnością co będzie dalej.

Kiedy następnego dnia obudziłem się rano, góry i lasy otaczały nas zewsząd. Od czasu do czasu pociąg zatrzymuje się po małych stacyjkach. Wzdłuż toru kolejowego pracuje masa robotników, poprawiając płótno kolei żelaznej. Byli to już po większej części chińczycy w swoich niebieskich bluzach i szerokich spiętych u dołu spodniach, z czarnymi, silnymi, długimi warkoczami na głowie. — Ludzie ci robili na mnie dziwne wrażenie, a obecnością swoją przypominali mi coraz więcej, jak daleko jestem oddalony od swoich ukochanych miejsc rodzinnych, a równocześnie, jak blisko upragnionych Chin, tego miejsca mojego wybawienia.

Wzdłuż drogi oglądamy coraz częściej całe osady chińskie, budowane bądź to na kraju lasu na jakiejś polanie, bądź nad brzegiem rzeki. — Gromady chińczyków zwabionych hukiem przejeżdżającego pociągu stoją przed zagrodami.

Tymczasem mała rosjanka, która od Irkucka nie odstępowała mnie ani na krok, tak się przywiązała w końcu do mnie, że kiedyśmy wjeżdżali do Czyty i matka powiedziała jej, że trzeba wysiadać i czas się pożegnać — nie chciała o tem nawet słyszeć, powtarzając wciąż jedno i to samo: „że pojedzie z „diadcią dalej“.

Około 6-tej wieczorem zbliżamy się do Czyty. Miasto wielkie położone w kotlinie pomiędzy lesistemi górami. — Już z daleka widać wielkie budynki, piętrowe kamienice, kryte blachą koloru zielonego i czerwonego, co wszystko odbija się bardzo ładnie na tle zielonych stoków gór.

Pociąg zaczął zwalniać w biegu, — Za chwilę wjeżdżamy pomiędzy duże składy węgla, magazyny, parki wozów. Od chińskich robotników aż się roi na stacji. Podziwiałem pracę tych ludzi, którzy zajęci gorliwie swą robotą spoceni, spracowani i zakurzeni prochem węgla, wyglądali raczej na murzynów.

Między pociągiem a budynkiem stacyjnym obszerny, szeroki, otwarty plac. Coś w rodzaju peronu. Budynek stacyjny stoi na wysokiem podmurowaniu, do którego prowadzą szerokie półkolem budowane schody.

Za pół godziny ruszam w dalszą drogę, przez góry i lasy, zadowolony, że taki szmat drogi już ujechałem, że to ostatnie duże miasto syberyjskie minąłem szczę-

śliwie. — Obecnie miałem przed sobą tylko jedną większą stację, ale już na granicy Syberji i Mandżurji, gdzie miałem stanąć na drugi dzień w południe.

Wieczór powoli nadchodził, a mrok zrobił się prędko z powodu lasów, które tu biorąc początek, ciągną się prawie aż do Mandżurji.

W pociągu jeszcze nieoświetlonym było jakoś dziwnie cicho i spokojnie. Być może, że powodem tego było zmęczenie podróżnych, z których każdy już kilka dni był w drodze, lub też, że wysokie cieniste ciemne lasy, zasłaniały cały widok, oddziałując nieprzyjemnie na nas, lub wreszcie może i to, że zbliżamy się do granicy, gdzie czekała nas rewizja celna i kontrola żandarmska.

Było już dosyć późno wieczorem, kiedy do naszego wagonu wszedł jakiś wysoki w porządnie zniszczonym ubraniu mężczyzna, o szczupłej pociągłej twarzy. — Świecąca twarz i błyszczące małe oczy tego człowieka wskazywały, że jest przyjacielem alkoholu.

Podszedłszy do nas zaczął się formalnie wprost narzucać, że nam musi zrobić co na pamiątkę i jeżeli pozwolimy, to wygrawiruje nam czajnik, zegarek, lub przynajmniej szklanę, ot tak tylko „na pamiątkę“.

Ale siedzący naprzeciwko mnie moskał zaczął go z miejsca odpędzać, mówiąc, że nie ma tu nic dla niego do roboty i żeby sobie odszedł z Bogiem.

Nie tak jednak łatwo odpędzić bandytę na Syberji. Nie zważając zupełnie na to, co się mu mówiło, upierał się ciągle przy swoim, aby mu dać jakąś robotę do grawirowania, jeżeli już nie co innego, to przynajmniej czajnik albo szklanę.

— Wot, czemu wy taki srogi — powtarzał w kółko natrętnie — ja od was niczego za darmo nie chcę. Chcę wam tylko zrobić co na pamiątkę i przytem zarobić kilka kopiejek na czaj.

— Już ja wiem, jaka to jest robota! odzywa się na to moskal. Pod jakim bądź pozorem staracie się wy wszyscy przysiąść do gościa, a potem kiedy odejdziecie i gość przypadkiem spoglądnie na półkę w stronę swoich rzeczy, widzi z przestachem, że ich nie ma.

— Co wy mówicie? — tłumaczy się nibyto włóczęga. Wy myślicie, że ja złodziej, albo rozbójnik? Nigdy w życiu! „Ni kak niet“! Ja uczciwy, porządny człowiek! Ja uczciwie chcę zarobić na chleb!

— No, no, już dobrze, dobrze — mówi moskal — tylko idźcie, i to prędko. Już my znamy takich uczciwych i porządných, co to niby rozmawiają z podróżnym, a gdy odejdą, to walizki brak! (czemodana niet!).

I tak w końcu z trudem formalnie, zdołał tego natrętnego człowieka odpędzić.

Odszedł włóczęga do sąsiedniego wagonu i byliśmy pewni, że już tam zostanie. Ale gdzie tam! Nie upłynęło nawet kilka minut, kiedy znowu zjawił się powtórnie w naszym wagonie. Przeszedł przezeń, rozglądając się tu i tam i zniknął znowu w tylnym wagonie. — Tak kręcił się ciągle, tam i z powrotem co kilkanaście minut, raz szukając czegoś po podłodze, udając, że niby co zgubił, — to znowu przystępując do którego z podróżnych z prośbą o zapaliki lub o jakieś wyjaśnienie — słowem widać było z całego jego zachowania się, że chce pod jakimkolwiek bądź pozorem usadowić się

w naszym wagonie. Następnie za nim, zaczęły się snuć po pociągu tam i z powrotem inne jakieś podejrzone indywidua.

Dziwny jakiś strach i lęk padł na wszystkich i zaczęto półgłosem mówić w wagonie, że jest to pewnie szajka zorganizowanych bandytów, którzy chcą pociąg obrabować.

To też moskal przywoławszy konduktora zażądał stanowczo, aby ten na najbliższej stacji zawezwał żandarmów celem usunięcia z pociągu kręcących się włóczęgów. — Musiało to widać poskutkować, gdyż nie długo potem dowiedzieliśmy się z ulgą, że „podejrzani“ gdzieś po drodze przepadli bez śladu.

Tymczasem w wagonie toczyła się między podróżnymi ożywiona rozmowa. Jedni z nich jechali w stronę Mandżurji po raz pierwszy, inni zaś podróżowali w tych stronach już kilkakrotnie i mieli odnośnie do pogranicza jak najlepsze wiadomości.

Świeżo jadący zasięgali od starych podróżnych rozmaitych informacji, których im ci ostatni udzielali szczegółowo i wyczerpująco.

Nadstawiłem ciekawie uszu. — I tak dowiedziałem się, że kontrola paszportowa na stacji pogranicznej Mandżurja jest ścisłą, dokładną i szczegółową, że wszystkie papiery trzeba mieć w porządku, szczególnie zaś papiery wojskowe. — Że również i cłowa rewizja nie ustępuje w niczem pierwszej, że wszystkie kufry i bagaże przeglądane są skrupulatnie, albowiem urzędnicy celni szukają przedewszystkiem tytoniu i opjum.

Pochłaniałem ciekawie wszystkie te wiadomości, więcej słuchając, aniżeli się dopytując.

Późna już była godzina, kiedy zmęczony położyłem się na ławce, aby zasnąć i wypocząć, a tem samem przespać ostatnią noc w Syberji, gdyż na drugi dzień mieliśmy już stanąć w Mandżurji.

Lecz widać nie było mi przeznaczonem noc tę przepędzić spokojnie. Około 11-tej w nocy wsiadł na jednej ze stacji do naszego wagonu człowiek starszy, cały zaróżniony, w zupełnie zniszczonem, podartem ubraniu,— typ syberyjskiego „brodiagi“.

Skoro tylko pociąg ruszył, usiadł on na najwyższej ławce i wyjąwszy z kieszeni pęk nici, igieł i innych przyborów krawieckich, zaczął powoli naprawiać swoją podartą kurtkę.

Konduktor kontrolujący bilety, musiał go widać z początku nie zauważyć lub też przeoczyć, dość na tem, że przechodząc pierwszy raz przez wagon nie zwrócił na niego uwagi. Dopiero z powrotem spostrzegłszy nowego podróżnego w swoim wagonie podszedł ku niemu i zażądał biletu.

Co wy chcecie bilet? — odzywa się na to nowy podróżny. — A jakto, komu ja bilet przedtem oddałem? czy to nie wam? ile razy będę dawał, trzy albo dziesięć?

— Co wy mówicie? przemawia grzecznie i spokojnie konduktor. Gdybyście mi byli bilet już dali, jabym do was drugi raz już nie przychodził. Dawajcie prędzej, bo nie mam czasu!

— A ja wam powiadam — odzywa się na to podróżny, — żem raz już pokazał i drugi raz pokazywać nie będę!

—Wy proszę was nie kłóćcie się — mówi znowu grzecznie konduktor. To nie prawda co mówicie, za-

dnego biletu wy nie pokazali. Dajcie bilet, bo nie mam czasu.

— Co? ja bilet nie pokazywałem? — wrzeszczy już bandyta. — Patrzcie go, raz bilet wziął, a teraz chce drugi! Wy mówicie, że zawołacie nadkonduktora? Dobrze, dobrze! zawołajcie! Już ja wiem co to wszystko znaczy! obaj chcecie po rublu na czaj — obaj jesteście w znowie, obaj złodzieje i chcecie mnie okraść! Patrzcie ich, nawet uczciwy człowiek nie może kilka stacji spokojnie przejechać!

Mówiąc to krzyczał strasznie, wrzeszcząc poprostu, tak, że wszyscy przebudziwszy się byli przekonani, że biedakowi temu dzieje się krzywda, a konduktor, to jakiś zły człowiek, który chce tego człowieka wykorzystać.

Ale chytry i doświadczony konduktor nie dał się zbić z tropu. Poszedł po nadkonduktora, a kiedy z nim wrócił zaczęły się na nowo pertraktacje z bandytą o okazanie biletu. Ten jednak nie chciał ani o tem słyszeć, obu porządnie zwymyślał, posługując się dosadnym w tym względzie językiem rosyjskim. Skończyło się na tem, że na najbliższej większej stacji konduktorzy wezwali pomocy żandarmów, którzy z trudem usunęli bezczelnego bandytę z pociągu. — Jak się później okazało, przejechał on całą przestrzeń bez biletu i bez kopiejki w kieszeni.

Podobne intermezza zdarzały się niejednokrotnie w ciągu naszej drogi na szlaku syberyjskim. Ilustrują one dosadnie stosunki na tej kolei i niebezpieczeństwo na jakie podróżni na każdym kroku są tu narażeni.



ROZDZIAŁ XXVII.

Na stacji pogranicznej Mandżurja. Żandarmerja nie puszca dalej. Przypadkowe spotkanie na Dalekim Wschodzie.

Zaczęliśmy się zbliżać do stacji pogranicznej Mandżurja. Konduktorzy raz po raz przechodzili przez wagon zapowiadając, że kiedy pociąg zajedzie na stację, nikomu nie wolno wysiadać, dopóki nie przejdzie kontrola żandarmska, że papiery i dokumenty trzeba mieć przygotowane, gdyż później żandarmi się złoścą i szykanują podróżnych.

Około 1-ej w południe stanęliśmy przed peronem, a równocześnie z zatrzymaniem się pociągu, weszło do każdego wagonu trzech żandarmów. Dwóch z nich stanęło przy drzwiach wchodowych, trzeci zaś kontrolował papiery i dokumenty jadących.

Naraz zauważyłem, że żandarm zaczął indagować któregoś z podróżnych, poczem odstawił go na bok. To samo spotkało po chwili drugiego i trzeciego, na-

stępnie mego sąsiada moskala, aż w końcu żandarm zbliżył się do mnie.

— Wasze dokumenty? odezwał się głosem pewnym, spokojnym.

— Proszę, — odpowiedziałem podając paszport. Zaczęła się indagacja, podczas której, żandarm sprawdził moje nazwisko, lata, miejsce przybycia i t.d. poczem zapytał o dokument wojskowy, na podstawie którego jestem zwolniony od wojska.

Odpowiedziałem krótko, że nie mam!

— W takim razie wy musicie iść do oberpolicmajstra, aby wam wystawił poświadczenie, żeście nie służyli przy wojsku.

Zwróciłem mu uwagę, że jakże oberpolicmajster może wystawiać mi poświadczenie, czy służyłem przy wojsku lub nie, jeżeli on mnie przecież nigdy w życiu nie widział. Ponadto ja przyjechałem z Taszkentu, a tu jest Mandżurja.

Nie to nie znaczy, — odzywa się żandarm. Oberpolicmajster zatelegrafuje do wojeńskiego naczelnika do Taszkentu, i jeżeli przyjdzie odpowiedź, że wy nie należycie do wojska, to pojedziecie dalej, jeżeli zaś odpowiedzą, że do wojska należycie, to pójdziecie w sołdaty.

Ładna historia! — myślę sobie — byłem już wszystkim w Rosji, jeszcze tylko potrzeba, abym został sołdatem i bronił ojczyzny! Zaniepokojony pytam jeszcze, jak długo trzeba czekać na odpowiedź?

— Zawsze trzy do czterech dni, wcześniej telegram nie przyjdzie, — brzmi odpowiedź żandarma.

Za chwilę żandarm gotów był z kontrolą i otworzywszy drzwi wagonu, odezwał się głośno:

— Proszę wysiadać, a ci co nie mają dokumentów wojskowych, niech popołudniu idą do policji.

Nie było rady. Trzeba było wysiąść z pociągu i udać się za żandarmem, inni zaś którzy mogli dalej jechać, wsiedli zaraz do pociągu, odchodzącego do Charbina.

Wprowadzono nas najpierw do dużej hali, gdzie odbywała się rewizja cłowa.

Stała tam już zbita masa podróżnych ciskających się obok niskiego długiego stołu zgiętego w podkowę, trzymających przed sobą swoje bagaże, kufry, walizy, tłumoki i t.d. Bez tej rewizji i poświadczenia, że się ją przeszło, nie można było wogóle wyjść z budynku stacyjnego. Stanąłem razem z innymi przy stole rewizyjnym trzymając przed sobą swoją walizkę. — Ale kiedy do mnie podszedł urzędnik cłowy, zapytał tylko z uśmiechem, czy nie mam więcej czego? Może macie opium dodał. Nie — odpowiedziałem krótko.

Nie zrozumiałem w pierwszej chwili jego pytania, aż dopiero później dowiedziałem się, co ono miało znaczyć. Otóż wyjaśniono mi, że tutaj na granicy urzędnicy chińskiej komory celnej szukają przedewszystkiem u podróżnych za tytoniem i opium, zaś rosyjscy celnicy, którzy na tej samej stacji pełnią służbę cłową uważają, aby naodwrot z Chin do Rosji nie przemycano jedwabiu i herbaty.

Po odbytej rewizji i oddaniu rzeczy w przechowanie zaszedłem więcej przypadkowo aniżeli rozmyślnie do restauracji kolejowej. Była to duża, czysta, ładnie

urządzona, sala jadalna. Usiadłszy przy stoliku zamówiłem obiad.

Tymczasem na salę wszedł wysoki smukły żandarm rosyjski z zielonymi pagonami (w Mandżurji bowiem żandarmerja rosyjska nie miała czerwonych wyłogów tylko zielone i dla niezwracania na siebie uwagi nazywała się strażą pograniczną) i zaczął się bacznie rozglądać po sali. — Jak zawsze w takich przypadkach, gdzie na złodzieju czapka gore, byłem pewny, że szuka mnie, że nadszedł telegram gończy.

Ale żandarm zlustrowawszy po kolei z osobna wszystkie stoły, odwrócił się spokojnie i wyszedł ze sali. Ja zaś niedługo potem opuściłem bufet i wyszedłem poza budynek stacyjny, nie wiedząc na razie co dalej począć.

Zwróciłem się w stronę miasteczka; lecz zaledwie uszedłem kilkanaście kroków musiałem nagle przystanąć i podnosząc szybko obie ręce do oczu zasłonić sobie twarz co prędzej. Powodem tego był szalony wiatr, wicher formalnie, który unosił tumany grubego piasku w powietrzu. Mając oczy zasypane piaskiem i trzymając je zamknięte, nie mogłem krokiem ruszyć się naprzód, a gdy tylko próbowałem odjąć ręce od oczu i otworzyć je choćby na sekundę już tuman świeżej kurzawy zasypywał mi je na nowo. — Musiałem więc przeczekać aż się wicher nieco uspokoi.

Równocześnie jednak patrząc choć tylko momentalnie przez otwarte na sekundę powieki widziałem ze zdziwieniem, że wszyscy chińczycy chodzą zupełnie spokojnie po ulicy wśród największej zawieji piaskowej. — I później dopiero zauważyłem, że noszą oni

wszyscy duże automobilowe okulary szczelnie przylegające do twarzy, co ich chroni przed kurzawą.

Kiedy wichura się nieco uspokoiła ruszyłem dalej. — Miasteczko Mandżurja składa się z kilkudziesięciu, może kilkuset niskich parterowych domków. — Prawie w każdym z nich jest sklep, w którym sprzedają ubrania, bieliznę, rzeczy kuchenne i wogóle rzeczy codziennego użytku.

Kupcami są przeważnie chińczycy. Jest to pierwsza kategoria sklepów, które u nas nazywają powszechnie kramami.

Drugą kategorię tworzą duże sklepy chińskie z towarami galanteryjnymi, po największej części jedwabnymi. Sześciu, ośmiu, a czasem i więcej chińczyków obsługuje tutaj gości. Wszyscy ci chińczycy są spółnikami sklepu — jak wogóle w całych Chinach zwyczaj ten jest rozpowszechniony — pracują razem i razem dzielą się zyskiem.

Trzecią kategorię stanowią tu tak zwane sklepy kolonialne, których jest zaledwie kilka, a można w nich dostać wszystko, tak samo, jak i u nas. Właścicielami tychże są Rosjanie.

Dziwiłem się z początku skąd tutaj w tem tak małym miasteczku handel się tak bardzo rozwinął. Wyjaśniono mi później, że sklepy te obsługują całą okolicę, która tu zjeżdża po sprawunki.

Ponadto na ulicach co krok spotyka się chińczyków przekupniów, którzy mając jeden lub dwa kosze napełnione bielizną wszelkiego rodzaju i gatunku sprzedają te rzeczy po bardzo przystępnych cenach.

Idąc tak wolno przeszedłem w przeciagu niespełna

pół godziny całe miasto wzdłuż i wszerz załatwiwszy przytem kilka drobnych sprawunków. — Korzystając z bardzo niskich cen zaopatrzyłem się w niektóre rzeczy z bielizny — oraz w okulary automobilowe, bez których tutaj nie można chodzić.

Chodząc po ulicach i przyglądając się wszystkiemu, zauważyłem na wystawie jednego ze sklepów kolonialnych cały szereg flaszek, a na nich napisy: wino, wódka, koniak, rum i td. Nie wiedziałem czy to prawda, czy żart, czy alkohol prawdziwy, czy też imitacja. Wszak wiedziałem, że w Rosji podczas wojny obowiązywał surowo zakaz sprzedaży alkoholu. Później mi wyjaśniono, że w Mandżurji która nie jest krajem rosyjskim lecz tylko pozostaje pod protektoratem Rosji, zakaz ten nie obowiązuje.

Gdybym był w innym usposobieniu, to po dwuletnim poście alkoholowym, byłbym z pewnością w tej chwili wstąpił do sklepu i kupił flaszkę koniaku. Lecz obecnie przygnębiony niepewnością mego losu i rozgoryczony ani o tem nie pomyślałem.

Dochodziła prawie godzina czwarta popołudniu. W tym mniej więcej czasie mieliśmy się spotkać z moskalem w czarnych okularach którego również zandarmerja przytrzymała w Mandżurji, aby udać się do policji. Rzeczywiście niezadługo nadszedł i podążyliśmy razem do oberpolicmajstra, który urzędował w przeciwnej stronie miasta daleko poza stacją.

Po półgodzinnej drodze, podczas której wichura piaskowa szalała formalnie poza miastem, doszliśmy do budynku policyjnego. — Trzymałem się zaś moskala

z tego prostego względu, że jego jako rosjanina chciałem puścić na pierwszy ogień i przepatrzeć, jakim też może być dla mnie wynik konferencji z oberpolicmajstrem. — Moskał bowiem mając zupełnie formalny dokument z fotografią i wszelkimi możliwymi poświadczzeniami wystawionemi przez władze rosyjskie w Moskwie, nie nie ryzykował. Ja zaś ze swoim świstkiem papieru mogłem się łatwo zdradzić.

Oberpolicmajstra nie zastaliśmy w kancelarji, był tylko jego sekretarz. Moskał mój towarzysz na sposób rosyjski wszczął z nim awanturę dlaczego porządnego i uczciwego człowieka, który ma wszystkie dokumenta w porządku zatrzymują w drodze. Sekretarz nie pozostał mu dłużnym i na swój sposób odpowiedział mu, że nie ma innej rady, tylko musi pozostać w Mandżurji, a tymczasem będzie się telegrafować do Moskwy, czy nie należy do wojska. — Zrobiła się straszna awantura, która skończyła się wyrzuceniem petenta za drzwi.

Wykorzystałem tę chwilę momentalnie i kiedy tylko sekretarz wrócił do biurka podszedłem ku niemu i przedstawiłem swoją sprawę.

Jestem z Królestwa polakiem uciekinierem, mówię. Przyjechałem tutaj z Taszkentu i jadę na trzy dni do Charbina w interesach handlowych. Żandarmerja nie chce mnie dalej przepuścić z powodu braku dokumentów wojskowych, a skąd mam je wziąć, kiedy przy wojsku nigdy nie służyłem. Jestem bowiem białobiletnik.

To grzeczne moje przemówienie usposobiło widać

odrazu przychylnie dla mnie sekretarza, bo odezwał się w te słowa:

— Tak was przepuścić nie możemy, ale zatelegrafujemy do Taszkentu do wojeńskiego naczelnika, czy tam nie jesteście w księgach zapisani, a po nadejściu odpowiedzi wystawimy wam przepustkę.

— Cóż może jednak naczelnik odpowiedzieć — odzywam się na to, — jeżeli on mnie w życiu nigdy nie widział. Jako nie należący do wojska nie miałem z nim nic do czynienia. — Szkoda więc wydatków i czasu.

— To w takim razie będziemy telegrafować do miejsca waszej przynależności w Polsce. Wy skąd jesteście, z jakiego miasta?

— Z Warszawy, odpowiadam i mówię dalej: tam możecie telegrafować spokojnie, lecz czy wam Niemcy dadzą odpowiedź, to bardzo wątpię, wszak wiecie że Warszawa zajęta przez „Germańca“.

Przemówiło to widać do rozumu sekretarzowi, gdyż po chwili namysłu odezwał się: dobrze wy powiedzieli, tam telegrafować nie można i dlatego przyjdźcie jutro o godzinie jedenastej rano, to policmajster wystawi wam przepustkę.

Odszedłem więc na razie z niczem i powróciłem jeszcze więcej zniechęcony do miasta.

Ponieważ przeziębnięty byłem porządnie wstąpiłem do pierwszej z brzegu herbaciarni. Nie było tam prawie nikogo. Gospodarz podał mi szklanekę herbaty, poczem zapaliwszy fajkę rozpoczął ze mną pogawędkę. Skąd, dokąd jadę, poco tu przyjechałem i td. dopytywał się pykając swoją fajeczkę. Odpowiedziałem mu,

że w interesach handlowych jadę na kilka dni do Charbina i żandarmerja nie chce mnie przepuścić, że byłem w policji i nic nie wskórałem.

Jechać będzie można, mówi po chwili — ale to będzie kosztować.

Rosjanie naprzykład jak jadą tędy i chcą się przedostać pokryjomu na wschód, płacą żandarmerji dwieście do trzystu rubli. Żydzi zaś, którzy uciekają z Rosji przed wojskiem do Ameryki płacą więcej, bo pięćset i sześćset od osoby. Podczas wojny rosyjsko-japońskiej przejechało ich tędy masę. Żandarmerja zarobiła wtedy tysiące. Żydzi tak zawsze; jak tylko wojna w Rosji wybuchnie zaraz wszyscy uciekają na wschód, płacą ile się od nich zażąda, potem gdzieś giną, przepadają bez śladu, a jak wojna się skończy, znowu wracają z powrotem.

Jechali tędy także i oficerowie austriaccy, którzy uciekli z niewoli. Ci płacili po czterysta rubli od osoby. Wszystko się robi, jak się tylko ma pieniądze i nie skompromituje żandarmerji, bo wtenczas może być bardzo źle.

— A pan kto?

— Ja polak z Warszawy.

— A może wy oficer austriacki, może uciekacie z niewoli, powiedzcie tylko otwarcie. Jak zapłacicie, to z pewnością przejedziecie. Żandarmerja tam w to nie wchodzi czem kto jest, byle tylko dobrą wzięć łapówkę.

Nie wiedziałem jak sobie to wszystko tłumaczyć. Czy ten gość jest nastawiony, czy też z nieba zesłany?

Na razie więc odpowiedziałem tylko, że jestem po-

lakiem, a nie żadnym oficerem, że nie tylko w armji austriackiej ale nawet i w rosyjskiej nie służyłem nigdy.

Zapłaciwszy po chwili wyszedłem na ulicę. Kroczę powoli zapadając w piasku po kostki. Zamyślony ciągnąc nogi za sobą posuwam się powoli naprzód. W tem z daleka widzę nadchodzących dwóch kolejarzy w krótkich kurtkach kolejowych z torebkami skórzanymi w ręku. Jeden z nich rosty, wysoki, silny mężczyzna, drugi niższy szczuplejszy i sylwetka tego ostatniego z daleka już przykuła mój wzrok do siebie. Oni się zbliżają powoli, przestrzeń pomiędzy nami się zmniejsza. Dzieli nas jeszcze piętnaście, dziesięć kroków i poprostu oczom własnym nie chcę wierzyć.

Tu daleko na wschodzie, na granicy Mandżurji, czy to możliwe? Czy on by tu był, on, z nad granicy rosyjskiej pod Krakowem? Stefan to, czy nie Stefan. Uciecha na widok pierwszej znajomej twarzy podczas całej niewoli rosyjskiej, widok człowieka, z którym przeżyłem przed wojną tyle chwil miłych, budzi we mnie naraz i radość i równocześnie strach, co może z tego nastąpić.

Niezdecydowany przepuszczam obu kolejarzy obok siebie. On mnie nie poznał lub może nie zwrócił na „kacapa rosyjskiego“ uwagi. Oglądam się i nie mogąc już dłużej wytrzymać pędzę szybko ku niemu chwytam za rękę, rzucam się mu na szyję z okrzykiem: Stefan, bój się Boga co Ty tu robisz?

On jakby zaalterowany mojem nagłem zjawieniem się chwilę patrzył badawczo na mnie, jakby mnie nie mógł rozpoznać. W końcu odzywa się cicho: a ty co

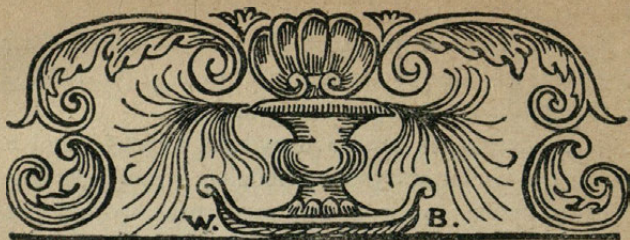
tu robisz? Lecz równocześnie widać bojąc się świadków odzywa się do swego towarzysza po rosyjsku: Idźcie dalej spokojnie, ja zaraz nadejdę.

I rozpoczęła się krótka dorywcza między nami rozmowa. On chciał wszystko wiedzieć o mnie, ja znowu ciekawy byłem co się z nim przez czas wojny działo. Dowiedziałem się, że są zdrowi, że razem z całą falangą polaków kolejarzy zaraz z początku wojny zostali wyrzuceni przez rząd rosyjski z Królestwa Polskiego na wschód, następnie na Syberję, a obecnie mieszkają w Mandżurji.

Teraz — myślę sobie, — bieda nie mi już nie zrobi! I odezwałem się głośno: nie wiem jak mam Bogu dziękować, że cię tu spotkałem.

Co tam o tem mówić — odzywa się Stefan, chodźmy lepiej na herbatę. I za chwilę siedzieliśmy już przy stole przy kolacji, gawędząc ze sobą zupełnie swobodnie, jakbym ja nie był uciekinierem, a on nie siedział w towarzystwie oficera austriackiego.





ROZDZIAŁ XXVIII.

Wspomnienie.

Mimowoli w opowiadaniu muszę się cofnąć o kilka lat wstecz.

W roku 1909 pojechałem okazyjnie pierwszy raz do Królestwa Polskiego. Tu w Ząbkowicach poznałem pp. Suprynowiczów i odtąd zawiązaliśmy serdeczny stosunek przyjacielski. Ja u nich, oni u mnie w Krakowie bywali bardzo często.

Nadszedł rok 1914. Parę dni przed wybuchem wojny byłem u nich w Granicy, gdzie wówczas mieszkali. Wieczorem odjechałem, i na stacji pożegnaliśmy się jak zwykle, nie przeczuwając nawet, gdzie się następnym razem spotkamy.

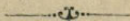
Za kilka dni wybuchła wojna i równocześnie zawierucha wojenna rzuciła ich najpierw do Warszawy a następnie etapami przez Rosję do Charbina w Mandżurji; mnie zaś pod Lublin, a następnie przez całą centralną Rosję do Taszkontu, skąd przybyłem osta-

tecznie, uciekając przez Syberję do stacji pogranicznej Mandżurja.

Rozstawszy się w normalnych warunkach pod Krakowem, — nic dziwnego, że tak ja, jak również i Stefan Suprynowicz byliśmy zaskoczeni naszym przypadkowym spotkaniem się na Dalekim Wschodzie.

Stefan opowiedział mi, że obecnie mieszkają stale w Charbinie, dokąd rząd rosyjski wraz z czterystu rodzinami innych kolejarzy wysiedlił ich z Królestwa w czasie wojny, że obecnie jeździ pociągami amerykańskimi, które Rosja zakupiła w czasie wojny w Ameryce. Pociągi te przychodzą okrętami do Władywostoku, skąd następnie idą przez Charbin do Centralnej Rosji. Zwykle pociąg taki jedzie z Charbina do stacji Mandżurja dwa do trzech razy na tydzień.

W końcu nadmienił, że gdybym się był przed kilku dniami w Samarze nie spóźnił do pociągu, tylko wyjechał zamiast w nocy, popołudniu, — to bylibyśmy się zupełnie może nie spotkali. W końcu dodał, że następnego dnia popołudniu wraca z powrotem do Charbina, — i trzeba wszystko robić, aby tylko przedostać się szczęśliwie przez punkt pograniczny, a w Charbinie zajadę do nich i wszystko pójdzie już gładko. — Tak się przynajmniej nam wówczas zdawało.





ROZDZIAŁ XXIX.

Czy wagon kolejowy może być czasem domem zajezdny. Japończyk-golarz. Znowu w drodze.

Od Stefana dowiedziałem się, że w Mandżurji znajduje się pewien człowiek, który w porozumieniu z żandarmerją przeprowadza przez granicę każdego, kto dobrze zapłaci. Radził mi więc do niego się udać, z nim porozumieć, i wszystko będzie dobrze. Na razie tylko chodzi o nocleg. W hotelu, domu zajezdny, lub w mieście przemocować nie mogę, albowiem policja każdej nocy kontroluje, — ze względu na to, że jest to pas graniczny, — wszystkie mieszkania i jeżeli by mnie tam przyłapano, przyaresztują z pewnością pod pozorem że uciekam przed wojskiem. Trzeba więc gdzieś noc jakoś przepędzić, a jutro z pewnością już będzie dobrze. Tak też się i stało.

Poszedłem do wskazanego mi człowieka, porozumiałem się z nim, ugodziłem i stanęło na razie na tem, że na drugi dzień przyjdę do niego, a on już wszystko sam załatwi.

Chcąc uniknąć przewidywanych dalszych niepożądanych zetknięć z policją wpadłem na nowy pomysł. Na stacji kolejowej stoi przecież szereg wagonów i jest to zwyczaj praktykowany tak dobrze w Krakowie, we Lwowie, jak i tutaj w Mandżurji że tam się niekiedy przespać można. Jak pomyślałem tak zrobiłem. Pod wieczór skierowałem się ku dworcowi i niebawem znalazłem się w jednym z wagonów stojących daleko poza stacją. Tu rzuciwszy się na ławkę zasnąłem spokojnie, co mogłem tem snadniej uczynić, że pociągi osobowe z Mandżurji odchodziły tylko raz na 24 godzin i to w południe.

Przebudziłem się dopiero gdzieś około 3-ciej nad ranem. Zimno przejmowało do szpiku kości, gdyż pomimo, że była to już wiosna (maj) to jednak w Mandżurji w tym czasie jest jeszcze nawet we dnie dosyć chłodno. Noce zaś są zimne, mroźne, a nad ranem gruby szron pokrywa wszystko dokoła.

Próbowałem zasnąć na nowo, lecz sen wskutek przeziębienia nie powracał. — Tak przeczekałem do godziny 6-tej nad ranem trzęsąc się z zimna i dzwoniąc zębami, wyczekując coraz niecierpliwiej wschodzącego słońca i jego ciepłych promieni.

Minęła 6-ta rano. Jakkolwiek nie chciałem się o tak wczesnej porze pokazywać w mieście, to jednak przeziębnięty i skostniały, trzęsąc się jak w febrze, do czego jeszcze więcej przyczyniało się silne zdenerwowanie, nie mogąc już dłużej wytrzymać, wyszedłem ze swego ukrycia i okrążywszy z daleka stację, przesadziłem wysoki parkan i zacząłem powoli zbliżać się do miasteczka.

Kiedy wszedłem na ulicę, była ona jeszcze zupełnie pusta, cicha, bez ruchu i życia. Zamiatano tylko chodniki przed domami. Wstąpiłem do pierwszej spotkanej herbaciarni chińskiej, kazałem sobie podać czajnik herbaty, i piłem jedną szklanekę za drugą, chcąc się cokolwiek rozgrzać.

Okolo 9-tej wyszedłem na miasto aby się spotkać z moim pośrednikiem. — Na ulicy panował już wielki ruch. Gromady chińczyków z koszami powieszonymi na długich sznurach na kiju bambusowym, naładowanymi jarzynami, i różnym towarem, snuły się po mieście, zmierzając prędkim drobnym krokiem w różnych kierunkach. Mnóstwo rosjan, którzy przybyli tutaj z okolicznych stacji i miejscowości na sprawunki kręciło się po mieście, kupując całe stosy rzeczy. Rozgwar targowy przypominał nasz galicyjski zgielk jarmarczny. Uliczni przekupnie swoim skrzeczącym głosem zachwalają taniść i dobroć towarów. W zbitym tłumie widać różne nacje i różne stany a nawet kilku mongolów kupujących w jednym z kramów uprząż na konie.

Twarze ich zupełnie spłaszczone, oczy skośne, wzrost silny, wysoki. Mieli na głowie wysokie szpiczaste kołpaki ze złotym półksiężycem na przodzie, długie chałaty, szerokie szarawary i wysokie buty z cholewami. Wszystko koloru czerwonego. Za pasem mieli zatknięte kindzały, w ręce grube nahaje.

Po chwili nadszedł mój pośrednik rosjanin i odebrawszy odemnie paszport udał się do żandarmerji. Po godzinie powrócił i wręczając mi dokument odezwał się: żandarm zgodził się was przepuścić dzisiaj przy

kontroli pociągowej, ale tylko pod tym warunkiem, jeżeliście jeszcze nie byli u oberpolicmajstra. — Gdyby się bowiem wykryło, że wyście bez pozwolenia policji pojechali dalej, w takim razie on mógłby stracić posadę.

Powiedziałem mu na to, że w policji nie byłem, a równocześnie zapytałem: ile to będzie kosztować? Pięćdziesiąt rubli — odpowiada rosjanin spokojnie; gdybyście byli żydem, pięćset rubli by was nie minęło. Musicie jednak troszkę się przebrać, ostrzydz włosy i brodę, zmienić czapkę, aby was dzisiaj na stacji nie poznał ten żandarm, który was wczoraj zatrzymał. — Ot, tu niedaleko jest golarz japończyk, dodał wskazując ręką. Idźcie do niego, on na was nie zwróci uwagi. a potem na bazar za ubraniami.

Po chwili siedziałem już na krześle u japończyka. Salonik jego przedzielony był papierowym parawanem na dwoje. Mała jego żonka pisała list siedząc na podłodze. Po jakimś czasie wszedł jakiś japończyk ubrany po europejsku, widać dobry znajomy golarza. Stanąwszy przy drzwiach złożył ręce na brzuchu, pochylił się głęboko i z uśmiechem na twarzy zaczął mówić słowa powitania. Fryzjer mój w tej chwili przerwał robotę, zwrócił się w jego stronę, złożył również ręce na brzuchu i pochyliwszy się przed swoim gościem jeszcze z czulszym uśmiechem coś mu odpowiadał. Tak trzy razy zamienili ze sobą ukłony, poczem dopiero serdecznie się przywitali. — Rozmawiali już dłuższy czas ze sobą, co słysząc z za parawanu japonka wyszła do nich do salonu. Przybysz skłonił się jej tylko z daleka, nie przywitał się z nią wcale i jakkolwiek przez

cały czas rozmowy japończyków, była ona przy nich, to jednak nie zwracano na nią zupełnie uwagi. Czuć było w całym tem zachowaniu się wyższość mężczyzny japończyka nad kobietą i to, że się ją uważa za nic. W końcu golarz rozkazawszy krótko swej żonie podać gościowi czaj, powrócił do swej roboty, gawędząc wesoło z przybyszem.

Wyszedłszy od fryzjera nabyłem nowe części ubrania i około południa zaszedłem do rosjanina.

Tu przebrawszy się, zmieniony już nie do poznania, (przynajmniej mnie się tak zdawało) umówiliśmy się z pośrednikiem, że pójdziemy razem na stację. On weźmie dokument mój do ostęplowania przez żandarmerję, a następnie przyniesie mi go do wagonu. Pieniądze mam z góry zapłacić a i dokument oddać do ręki.

Przyznam się otwarcie, że wahałem się dosyć długo. Oddać bowiem większą część swoich pieniędzy, z których pozostało mi już nie wiele, a nadto i dokument podróży, jedyną moją deskę ratunku człowiekowi zupełnie obcemu, było wielkiem ryzykiem. Co się bowiem stanie, jeżeli mnie zdradzi, pieniądze zabierze i zostawi tu daleko na wschodzie bez żadnych papierów. — Lecz na razie nie było innego wyjścia.

Było już dobrze po dwunastej, kiedy ruszyliśmy na stację, — pociąg zaś odchodził w stronę Charbina o godzinie wpół do drugiej po południu.

Idziemy ulicą i naraz niedaleko stacji spotykamy moskala w czarnych okularach, mojego towarzysza podróży od Samary. Za nim szło dwóch chińczyków, niosąc jego ciężkie bagaże. Zauważywszy mnie przystaje i mówi z zadowoleniem: „moja telegrama już

odeszła do Moskwy. Teraz idę do hotelu i będę czekał na odpowiedź. A z wami co?“

— „A moja już się robi“ — dodałem z uśmiechem i pożegnawszy się, poszedłem szybko dalej.

Weszliśmy przez rampę na stację, i wsiedli zaraz do pociągu, który już stał gotowy. Po chwili pośrednik mój poszedł do biura żandarmerji. — Ja z bijącym sercem czekam niespokojnie na niego. Po kwadransie wrócił, oddał dokument i z zadowoleniem czytam na odwrotnej stronie tegoż, dużą wyraźną pieczęć rosyjską: „Pograniczna straż w Mandżurji, dnia tego a tego“.

Zadowolony byłem bardzo z takiego pomyslnego obrotu sprawy, ale mimo wszystko nie ufałem jeszcze ciągle mojemu pośrednikowi, gdyż myślałem sobie, że to wszystko może być podejściem. To też zatrzymałem przy sobie pośrednika aż do samego odjazdu pociągu.

Pierwszy dzwonek odezwał się na stacji. Za chwilę weszła kontrola żandarmska. Szło ich trzech wolno przez wagon kontrolując dokumenty. Zbliżają się powoli do mnie, a kiedy się zrównali z moją ławką żandarm trzymający książkę odezwał się spokojnie:

— Wot, już wszystko w porządku, i pociąg może odjeżdżać. — To powiedziawszy skłonił się grzecznie i wyszedł z wagonu, a za nim mój pośrednik.

Za chwilę rozległ się drugi i trzeci głos dzwonka, i pociąg ruszył zwolna dalej na wschód.

Kiedyśmy już ujechali kilkanaście kilometrów byłem tak uradowany i ucieszony, że nie wiedziałem co zrobić. — Byłem już w Mandżurji, w każdym razie poza pierwszą granicą i zawsze pewniejszy tutaj, aniżeli w Syberji. Teraz tylko jak najprędzej i najdalej na

wschód, potem na południe do Pekinu, gdyż z pewnością nie będę miał już więcej żadnych trudności i wszystko pójdzie gładko.

W tej chwili wszedł do mojego wagonu Stefan, który tym samym pociągiem wracał z powrotem do Charbina.

Pod wpływem tych nadziei, przekonany że obecnie nie mi już więcej nie grozi, wyjąłem ze swego worka podróznego flaszkę koniaku i przypilem do niego serdecznie.

— Na zdrowie Stefan! mówię,—podając mu butelkę.

— Na zdrowie i pomyślność, i żeby wszystko poszło dobrze! — odzywa się tenże.

— Będzie z pewnością wszystko dobrze — odzywam się wesoło — kiedy was tutaj tak daleko na wschodzie spotkałem.





ROZDZIAŁ XXX.

Przez Cycykar do Charbina.

Około 5-tej popołudniu przyjechaliśmy na stację Chajtar. — Miasto duże, nawskróś chińskie, silny garnizon wojskowy i jeszcze silniejszy oddział żandarmerji pogranicznej był tam w czasie wojny skonsygnowany. — Dookoła ciągną się rozległe piaski. Wyszedłem z wagonu i przeszedłem się po stacji. — Wszystko już chińskie, napisy stacyjne, urzędnicy kolejowi, służba, pakierzy; tylko język urzędowy był rosyjski.

Po chwili jedziemy dalej wpadając coraz bardziej w rozległe piaski mandżurskie. — Droga i cała okolica była tak monotonna, że zadowolony byłem bardzo, kiedy ostatecznie nadszedł wieczór. — Korzystając z wolnej ławki położyłem się na niej wczesniej chcąc powetować ostatnią noc nieprzespaną.

Kiedy się następnego dnia obudziłem byliśmy już daleko i głęboko w Mandżurji. — Z okien wagonu widać tylko rozległe piaski, po których szalone wichry

unoszą tumany kurzu. Co kilkaset metrów spotykamy małe domki strażników kolejowych, a w nich silne warty wojskowe. Cała bowiem linja kolejowa idąca przez Mandżurję aż do Władywostoku, a nadto pas ziemi, obejmujący pięć kilometrów na północ i pięć kilometrów na południe od toru kolejowego był pod protektoratem Rosji. Na każdej stacji kolejowej, które zresztą są bardzo małe, jest oprócz wojska jeszcze silny oddział żandarmerji pogranicznej. — Mówi się o nich, że mają uważać, a przedewszystkiem utrudniać przemytnictwo, w rzeczywistości jednak pełnią służbę policyjną.

Zatrzymujemy się po stacjach coraz częściej i dłużej, nie rzadko nawet w czystym polu, przepuszczając pociągi jadące od Władywostoku z amunicją i bronią. — Idą także całe parki nowych zupełnie maszyn i wagonów amerykańskich. Wszystko to zdąża od Władywostoku do Centralnej Rosji a następnie wprost na front. — Rosja bowiem w tym czasie zamówiła w Japonji i Ameryce amunicji, broni, wagonów i parowozów za miljardy.

Na jednym z takich postojów wyszedłem z wagonu zmierzając poza stację po wodę na herbatę. Wiatr dął szalony. Nabrawszy wody wracam z powrotem, ale w tej samej chwili wichura zrywa mi czapkę i unosi daleko w powietrzu. — Pędzę za nią, a przytrzymawszy ją w końcu chcę wracać z powrotem. Nie idzie to jednak tak łatwo. Wichur jak piłką rzuca mną na wszystkie strony zasypując w dodatku oczy piaskiem bez litości. Próbuję przebić się przez zawieję, ale nie idzie. Wichura pcha mnie coraz silniej przed siebie, odpychając powoli coraz dalej od pociągu. A tu lada chwila miał nastąpić

odjazd. W końcu jednak czołgając się formalnie po ziemi dostałem się jakoś do maszyny, następnie do pierwszego wagonu, skąd dopiero przechodząc przez środek wagonów dostałem się szczęśliwie na swoje miejsce. — Na stacji tej zatrzymaliśmy się dłużej, albowiem trzeba było przepuścić pociąg ekspresowy idący z Petersburga do Władywostoku. Tymczasem wiatr hulał w jaknajlepsze po stepach, wznosząc tumany pyłu i kurzu, i zasypując wszystko piaskiem, huczał i wył przytem przeraźliwie, uderzając co chwila z taką siłą szaloną w szyby okien wagonów, że te trzeszczały i groziły pęknięciem lada chwila.

Po blisko godzinnym postoju nadjechał kurjer z Petersburga i minął nas w szybkim pędzie, a w kilka minut później i my ruszyliśmy w dalszą drogę.

W miarę posuwania się naprzód na wschód okolica stawała się urodzajniejszą i bardziej zaludnioną. Coraz częściej spotykamy chińczyków orzących lub bronujących pola. Patrząc z okien wagonów na spokojną pracę rolników chińczyków zdawałoby się, że życie tutaj jest ciche, spokojne i bezpieczne. Gdzież tam! Bandy chunchuzów uwijają się w tych stronach stale, rabując i mordując bez litości. — Zwłaszcza teraz podczas wojny zapuszczały się bandy te nie rzadko nawet na terytorjum rosyjskie. — Dlatego też i straże rosyjskie zaciągnięte z wojska są w tych stronach bardzo silne.

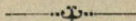
Bandy te liczące po kilkadziesiąt, a nawet i kilkaset ludzi napadają przedewszystkiem wsie, podróżnych, a nie rzadko i bogatych ludzi w miasteczkach.

To też każdy bogatszy chińczyk, zwłaszcza właściciele większych obszarów ziemi, trzyma sobie dla obrony

kilkunastu żołnierzy, jako swoją straż przyboczną, bez której nigdy w drogę taki pan nie rusza.

Żołnierzy tych sam sobie werbuje, ubiera, uzbraja, żywi i opłaca. Kosztuje to dużo pieniędzy, gdyż każdy żołnierz otrzymuje cały mundur, konia z rzędem, karabin, rewolwer, patrony i szablę.

Tak podróżujących bogatszych chińczyków spotykaliśmy bardzo często po drodze.





ROZDZIAŁ XXXI.

W Charbinie.

Kiedy wysiadłem z pociągu i przeczytałem na budynku stacyjnym napis Charbin, nie chciałem oczom moim wierzyć, że to prawda. Drugi bowiem etap mojej ucieczki osiągnąłem już szczęśliwie. Blisko ośm tysięcy wiorst dzieliło mnie już od Taszkentu, znajdowałem się obecnie w kraju zupełnie nieznanym między ludźmi obcymi. Teraz pozostaje już tylko przejść granicę, co prawdopodobnie pójdzie mi łatwo. Wszak tutaj tak daleko na wschodzie poza punktem pogranicznym Mandżurji, gdzie się odbywa ścisła kontrola troszczyć się chyba o mnie nikt nie będzie.

Tak rozmyślając zbliżyłem się do garderoby, złożyłem tam swoje rzeczy, poczem wyszedłem przed budynek stacyjny. — Szerokie, wygodne schody opadają zwolna na wielki plac przed stacją.

Ruch tu panował wielki. Doróżki jedne za drugimi zajeżdżały i zajmowane w tej samej chwili przez podróż-

nych ruszały z miejsca z kopyta. Fala wychodzących podróżnych tłoczyła się bez końca u drzwi wchodowych, a oprócz tego tłumy całe zalegały plac wolny przed stacją.

Razem ze Stefanem opuszczamy stację i idziemy do nich do domu. Przechodzimy duży most rzucony ponad torem kolejowym a łączący nowe miasto z przystanią, poczem przez obszerny plac, na którym stały sterty siana, zbliżamy się do ich mieszkania.

P. Flora Suprynowiczowa była właśnie w domu i razem z p. Zdanowiczową stały przy oknie, wyczekując powrotu Stefana.

Naraz p. Zdanowiczowa zobaczywszy z daleka nas idących odzywa się do p. Flory:

Co to znowu za „kacapa“ Stefan prowadzi ze sobą do domu? Będziecie państwo mieli przyjemną wizytę! (Musiałem wtenczas ładnie wyglądać).

Wchodzimy do mieszkania, witamy się, lecz jakoś rozmowa nie idzie. Dopiero po wyjściu p. Zdanowiczowej rozwiązały się nam języki. Muszę opowiadać wszystko i na odwrót dopytuję się wszystko. — Uciecha ze spotkania tak nadzwyczajnego obopólnie bardzo wielka. Lecz co dalej robić?

Stanoło na razie na tem, że obecnie u nich zamieszkam i zostaną tak długo, dopóki nie znajdzie się sposobność przejścia granicy. Ponieważ zaś nie było to trudnem, więc przypuszczaliśmy że przeciągnie się to trzy do czterech dni najwyżej.

Spożywszy pierwszy raz podczas ucieczki spokojnie podaną mi kolację, udałem się zaraz na spoczynek. — Wyciągnąwszy się raz i drugi z zadowoleniem na wy-

godnem posłaniu unoszony na skrzydłach marzeń dalszych planów i nadziei, zasnąłem prędko.

Kiedy się obudziłem dnia następnego było już dosyć późno. — Śliczny jasny dzionek zaglądał przez okno do pokoju. Wstawszy więc szybko już przy śniadaniu zacząłem się dopytywać o rzeczy, na których mi obecnie najwięcej zależało: — a to o stosunki meldunkowe w tu-tejszej policji, jak długo można tutaj pozostać, czy ewentualnie mógłbym się dłużej zatrzymać i td.

Informacje te jednak nie były dla mnie bardzo pomysłne. I tak dowiedziałem się, że kontrola policyjna w Charbinie jest bardzo ścisła, tak samo i rewizja żandarmska przy wyjeździe z Charbina nie ustępuje w niczem pierwszej, tembardziej, że ani do Władywostoku do twierdzy, ani też na odwrót w stronę Pekinu nie puszczają nikogo, kto nie ma wszystkich dokumentów w największym porządku. W szczególności zaś zważają przedewszystkiem na to, czy kto nie należy do wojska. Dalej dowiedziałem się, że policja ściśle kontroluje wszystkie hotele i domy zajezdne w Charbinie. — Wypadki nocnych aresztowań są na porządku dziennym.

Wszystko to nie bardzo mnie ucieszyło. Tak zeszedł dzień pierwszy i z niczem na razie udałem się na spoczynek. — Trzeciego dnia wstałem dosyć wczesnie i wyszedłem na miasto, gdyż musiałem się przedewszystkiem gdzieś zameldować, to znaczy, albo w policji, albo też w którym z polskich komitetów dla niesienia pomocy uciekinierom i ofiarom wojny.

Tłumy chińczyków zmieszane z moskalami roją się po ulicy. — Przekupnie chińscy zachwalając głośno swój towar wabiają do siebie przechodniów. Niskie, dwu-

kołowe arby chińskie zaprzężone w pięć do siedmiu koni lub mułów przejeżdżają ulicami. Gorąco i upał zwiększa się z każdą chwilą, dzień jasny i ciepły, tylko szalony wicher panujący stale w tych stronach unosi tumany kurzu w powietrzu i psuje dobry nastrój. — Od arb chińskich formalnie roi się na ulicach. Arba taka składa się z dwóch tylko niskich silnych kół. Na osi spoczywa duży blat kwadratowy; w dwa dyszle idące od blatu wprzągnięty jest pierwszy koń, na lewo i prawo od niego idą dwa inne, a wszystkie razem tworzą pierwszą trójkę. Druga trójka idzie przed pierwszą, a przed drugą idzie jeden koń tylko, jakby jaki przodownik. — Z wyjątkiem pierwszego konia, który przy pomocy homonta przymocowanego stale do dyszla zaprzągnięty jest do wozu, wszystkie inne konie zaprzągnięte są zapomocą dłuższych lub krótszych postronków, ciągnących się u każdego konia wprost od osi wozu aż do homonta. — Jak długie muszą być te postronki u konia idącego na przodzie, można sobie łatwo wyobrazić. — Mają z pewnością ośm do dziewięciu metrów długości. — Uzdy żaden z koni nie ma, nawet przy pyskach nie są przywiązane jeden do drugiego, tak, że mogą one każdej chwili podczas biegu rozejść się bardzo szeroko od siebie i znowu potem zejść się, formalnie stłoczyć, ścisnąć razem w jedną gromadę.

Pierwszy tylko z koni idący na przodzie ma długi powódek, ciągnący się od pyska do wozu. Obok idzie jeden lub dwóch woźniców, z których pierwszy ma bat na długim trzechmetrowym kiju bambusowym, którym od czasu do czasu pogania konie. Drugi furman idzie obok wozu.

Po brukowanych ulicach Charbina lub też innego miasta Mandżurji, a względnie Chin, wozy te jakkolwiek ciężkie i niezgrabne jadą wcale dobrze. Ale nie daj Boże, aby taki wóz zjechał na boczną ulicę niebrukowaną, gdzie nawet podczas pogody znajdują się duże kałuże. W tej chwili arba zapada się po osie w błoto, konie jak stado wróbli rozlatują się na lewo i prawo szarpiąc postronkami z największym wysiłkiem i po kilku bezskutecznych próbach stają zwykle ciężko dysząc na miejscu.

Ponieważ wozy te są ciężko wyładowane towarami lub innym ciężarem, więc nieraz zdarza się, że taką ugrzęźniętą arbę nietylko siedm koni, ale i siedmiu chińczyków próbuje równocześnie wydobyć z błota. — Kończy się zwykle na tem, że zrzucają worek za workiem z wozu i tak dopiero oswobodzona arba wydostaje się na miejsce bezpieczne. — Charakterystycznym jest i ciekawem, że wszystkie prawie konie, — które tu widziałem, — hodowane przez chińczyków, są małe, prawie wszystkie maści białej i prawie wszystkie ślepe na oba oczy. — Naprzykład na siedm koni w zaprzęgu często zdarza się, że pięć jest zupełnie ślepych.

Zaciekawiony tem spostrzeżeniem zapytałem raz, skąd się bierze tyle ślepych koni w Mandżurji? Wyjaśniono mi, że chińczyk wybija koniowi rozmyślnie oczy, aby ten był posłuszniejszym i ciągnął lepiej. Jeżeli koń zanadto obładowany, nie może pociągnąć arby, rozłoszczony chińczyk chwytą co ma pod ręką, siekierę, młot, nóż lub kamień i na miejscu wybija koniowi oczy. Twierdzi on, że ślepy koń ciągnie lepiej i jest posłuszniejszym. -- Być może, że i tak jest w rzeczywistości, ale

jakże straszne jest to świadectwo wyrzucenia się z uczuć ludzkich!

Miasto Charbin liczy około 200.000 do 300.000 mieszkańców. Duże rozległe, dzieli się na trzy części: Nowe Miasto, Przystań i Chińską dzielnicę Fudziadziana.

Nowe Miasto jest to część europejska posiadająca wspaniałe kilkopiętrowe gmachy, mieszczące w sobie różne urzędy Zarządu drogi Wschodnio-Chińskiej należącej do Rosjan. — Wszystkie te gmachy otoczone skwerami pełnymi drzew i krzewów. Są tam również całe szeregi domków urzędniczych z których każdy ozdobiony jest werandą i ulokowany w pośrodku sporego ogrodu. Wszystko sprawia nadzwyczaj miły widok, szczególnie latem kiedy cała ta dzielnica tonie w zieleności, a wszystkie ogródki pełne są różnobarwnego kwiecia. — Tu znajdują się także wszystkie konsulaty obcych państw; a nie brak również bogatych prywatnych kamienic i eleganckich sklepów. Ulice szerokie, brukowane, — po obydwu stronach wysadzone są drzewami.

Przystań — specjalnie dzielnica handlowa, połączona z Nowym Miastem dużym mostem drewnianym, rzuconym ponad torem kolejowym rozbudowaną jest na nadbrzeżnych obszarach bagnistych, które jedynie czas osuszył i na których nie można stawiać większych gmachów murowanych zbyt ciężkich. Bywały bowiem wypadki zarysowywania się lub zapadania się domów. Przeważnie stawiają tu długie domki parterowe, unikając sztucznego osuszania lub też głębokich cementowych piwnic pociągających za sobą ogromne koszty. W ostatnich jednak latach Japończycy chętnie zakupują

w tej dzielnicy place, stawiają na nich okazałe gmachy i urządzają tam natychmiast swoje biura. Nadmienić tu trzeba, że żaden z japończyków nie wynajmie lokalu w swym domu ani europejczykowi, ani też chińczykowi. — Dążą oni do zupełnego owładnięcia Mandżurją. To też pomimo całej ich dyplomacji chińczycy odnoszą się do japończyków wrogo, co jednak nie przeszkadza, iż japończycy coraz większą falą napływają zagarniając w swe ręce i handel i przemysł. Przystań jest tą miłą częścią Charbina gdzie podczas deszczu ulice są zalane wodą i chcąc przejść z jednego trotoaru na drugi trzeba brnąć po kostki w wodzie. Do niedawna wielu chińczyków trudniło się jedynie tem, — w czasie lata naturalnie — iż przenosili dbających o swą elegancję przechodniów na rękach z jednego trotoaru na drugi.

Sklepów — większych i mniejszych, — jest dużo w tej dzielnicy zwłaszcza przy głównej ulicy. W oknach wystawowych, widać wspaniałe towary płócienne, jedwabne, sukna najrozmaitszego gatunku, kapelusze, bućki wszelkich możliwych gatunków, najrozmaitsze wyroby ze złota, i srebra, biżuterję i drogie kamienie, dochodzące wartości kilkudziesięciu i kilkuset tysięcy rubli.

Właścicielami sklepów tych są rosjanie, żydzi, chińczycy i japończycy. Ci ostatni zwłaszcza mają przy głównej ulicy na przystani, kilka bardzo bogatych magazynów, w których wszystkiego można dostać za cenę stosunkowo dosyć przystępną, a wszystkie ich towary i wyroby, są nadzwyczaj gustowne, eleganckie i oryginalne.

Japończycy ceny mają stałe, kopiejki z nich nie

opuszczają, w przeciwieństwie do chińczyków, którzy stawiają ceny zawsze bardzo wysokie, targują się bardzo chętnie, opuszczają z nich nieraz więcej niż połowę, i w żadnym kierunku nie są tak solidni, jak japończycy.

Idąc w tej części miasta, główną ulicą, dochodzi się w końcu do rzeki Sungari. Nad brzegiem zbudowana jest wielka przystań, gdzie zajeżdżają statki, krążące pomiędzy miastami nad Amurem i Sungari. Ruch w przystani jest olbrzymi. Dziesiątki łodzi, z masztami i żaglami widać na rzece.

W niedzielę i święta łodzie te przewożą setki i tysiące ludzi z jednego brzegu na drugi, lub też na wyspy znajdujące się na środku koryta, dokąd wszystko zdąża na wycieczkę. Przewoźnikami są chińczycy, zachwalający na swój sposób, przejazd łodzią, głośno i krzykliwie. Ciągłe słyszeć tylko przerażająco piskliwe wykrzykniki przewoźników, w chińsko-rosyjskim dialekcie, nie dla wszystkich zrozumiałym.

Twarz chińczyka, jest i tak sama przez się dzika i nierzadko brzydka; a kiedy się chińczyk do czego zapali, twarz jego nabiera zupełnie wyrazu małpy. Oczy zaczynają mu świecić i błyszczeć jak u zwierza, poźółkłe zęby połyskiwać, a charkliwy skrzeczący głos gardlany, wydaje dźwięki na pół ludzkie, na pół zwierzęce.

Takie same wrażenie robili przewoźnicy przepływający wycieczkowców z jednego brzegu na drugi. Kiedy powracali z takiej przeprawy i dobijali do brzegu, zachowywali się zupełnie cicho i spokojnie; kiedy wysiedli potem na brzeg, zachowywali się również jak

ludzie. Ale kiedy przyszła na nich kolej i mieli znowu odjeżdżać na drugą stronę, kiedy chodziło o to, aby zabrać jak najwięcej pasażerów do swej łodzi, wówczas wiedzeni chęcią zysku, przewoźnicy zapominali o wszystkim wpadali w dziki jakiś, zwierzęcy szał.

Kilka minut bez przestanku byli w stanie krzyczeć, co im sił starczyło: „Siadajcie do naszej łodzi, odjeżdżamy zaraz! Tanio, tanio“! Słowa te wymawiali po rosyjsku, chińskim narzeczem, co jeszcze tem więcej robiło ich śmiesznymi.

Trzecia część miasta, tak zwane Chińskie Miasto (Fudziadziana), leży w odległości jednego kilometra i zamieszkałe jest wyłącznie przez chińczyków. Ulice brudne, kałuże błota na każdym kroku. Od sklepów, kramów aż się roi. Warty chińskie porozstawiane są gęsto po ulicach; pilnują one porządku, a w razie rozruchów, mają przywracać spokój i nie dopuścić do garbieży i rabunków.

Jakkolwiek ludność miasta Nowego i Przystani w Charbinie, jest wyłącznie europejska, to jednak ludność tubylczą chińską spotyka się na każdym kroku. I tak posługaczami, robotnikami, roznosicielami jarzyn po domach, praczkami i t.d. są wyłącznie chińczycy, głównie z tego powodu, że robotnik ten jest bardzo tani.

Jest w Charbinie przyjętym zwyczajem, że bućki czyści się z reguły na ulicy. Funkcję pucobutów spełniają — za opłatą paru kopiejek — chińczycy, którzy ze swymi małymi skrzyneczkami pod pachą uwijają się stale po mieście, i zalegają wprost niektóre ulice. A ponieważ przy głównych ulicach w Charbinie, są pod

drzewami wszędzie wygodne plantacyjne ławki, więc nie dziwnego, że na każdym kroku spotyka się europejczyków siedzących wygodnie na ławkach, i podających z nonszalancją chińczykom, bućki do czyszczenia.

Od przekupniów zaś, aż roi się po ulicach!

Oglądałem to wszystko ciekawie, ale równocześnie przemyślałem nad tem, aby się ztąd wydobyć jak najprędzej. Wiedziałem już bowiem, że wyjazd z Charbina, nie był wcale łatwy. Ścisła kontrola policyjna w mieście, a żandarmerji na stacji i w pociągach między Charbinem a Czańczuniem nie pozwalała na razie ani marzyć o tem. Kontrola zaś straży pogranicznych, jak również gęsty kordon wart wojskowych naokoło Charbina, wykluczał przejście granicy piechotą, czy to we dnie, czy też w nocy.

Iść naprzód — nie było można, cofnąć się z powrotem, było wykluczonem!

Tak upływał dzień za dniem, zdenerwowanie moje potęgowało się coraz bardziej. Już sama myśl, że za długo zatrzymuję się w jednej miejscowości, że mogę na siebie zwrócić uwagę, że mogę wpaść w pułapkę policji lub żandarmerji niepokoiła mnie coraz więcej.



ROZDZIAŁ XXXII.

**Przypadkowa zmiana noclegu ratuje od aresztowania.
W barakach dla uciekinierów. I tu niepewnie, więc do
„Japonki“.**

Gdybym chciał wszystkie swoje przejścia w Charbinie opisać dokładnie, musiałbym przeżyciom tym tom cały poświęcić; tyle bowiem drobnych szczegółów, tyle epizodów i niebezpieczeństw przeżyłem tam przez dwa tygodnie.

Na tem miejscu tylko składam gorące podziękowanie pp. Suprynowiczom, a w szczególności p. Florze, która w chwilach krytycznych, nie tracąc przytomności umysłu i zimnej krwi, uratowała mnie nie tylko od aresztowania przez policję, ale także ułatwiła mi przejście przez granicę chińską.

—o—

W ciągu kilkudniowego pobytu w Charbinie zanośliło się początkowo na to, że wyjadę zład z przemytnikami. Szajki bowiem takie istniały w okolicach Char-

bina dosyć liczne, — a ponieważ były w zмовie z żandarmerją, więc wyjazd i przejazd sam z Charbina do Pekinu nie byłby ostatecznie tak bardzo trudny. Paszport będzie, poczeka się na partję żandarmów, która w danym dniu będzie miała służbę, w szajce pojedzie kilka osób, więc przemyć się będzie bardzo łatwo.

Cóż jednak, kiedy pośrednik chińczyk zażądał za to kilkaset rubli z góry, których ja niestety nie miałem.

Tak upłynął pierwszy tydzień na ciągłych targach o wysokość okupu, a ja jak w dniu pierwszym mego przybycia tutaj byłem jeszcze ciągle bezradny i nie wiedziałem co zrobić, aby się wydostać z kłopotliwej sytuacji. — W którąkolwiek stronę się zwróciłem, gdzie mi tylko jakakolwiek nadzieja pomocy zabłysła wszędzie paliło na panewce, wszędzie spotykał mnie zawód.

W tym czasie zaszedł fakt, który o mało nie skończył się dla mnie katastrofą. Jak wspomniałem już poprzednio zamieszkałem u pp. Suprynowiczów. Ponieważ był to dom parterowy, w którym mieszkało trzy do czterech partji, więc nic dziwnego, że po kilku dniach zwrócono tam na mnie uwagę i zaczęto już przebąkiwać, że pp. Suprynowiczowie ukrywają u siebie austriackiego zbiega.

Chcąc więc usunąć się z widoku, a równocześnie także nie narażać dobroczyńców moich na niebezpieczeństwo, zniknąłem od nich (pamiętam, jak dziś) wieczorem w czwartek i przeniosłem się na mieszkanie do baraków dla uciekinierów, stojących bardzo daleko poza Nowem Miastem.

Kiedy jednak na drugi dzień około południa zjawiłem się w mieszkaniu pp. Suprynowiczów, dowiedzia-

łem się z przerażeniem, że w nocy była policja i obstawiony dom wojskiem chińskim, w poszukiwaniu mojej osoby, przeprowadziła szczegółową rewizję.

Indagowano przytem wszystkich mieszkańców, co trwało kilka godzin.

Czułem to, i wiedziałem, że muszę zniknąć z Charbina jak najprędzej, temwięcej, że policja rosyjska wzięwszy raz kogoś na oko, nie wypuszczała go tak łatwo z opieki. Tymczasem jednak, nie szło to tak łatwo.

Wszystko to spotęgowało moje zdenerwowanie do tego stopnia, że chodziłem jak warjat. W każdym przechodniu, który tylko na ulicy na mnie spojrział, widziałem agenta ochrony. Być poszukiwanym i ściganym przez policję, a nie mieć najmniejszej nadziei i możności wydobycia się z matni, może człowieka doprowadzić więcej, aniżeli do rozpacz — jeżeli się przytem zważy, że wszystkie nawet najenergiczniejsze wysiłki, idą na marne.

Zdenerwowany i podniecony do najwyższego stopnia czułem straszny ból głowy. A jak zwykle w takich podnieconych chwilach, — czas uchodził bardzo powoli. — Trzeba było co prędzej szukać innego sposobu zniknięcia jaknajprędzej z Charbina.

Obecnie w mieście więcej pokazać się nie mogłem. Pracowała tam za mnie p. Suprynowiczowa, której udało się nawiązać kontakt z innym *pośrednikiem. Ten utrzymywał, że ponieważ policja ma już wiadomość o mnie, więc pod żadnym warunkiem nie mogę wyjeżdżać z Charbina koleją, gdyż albo zaraz na stacji, albo w drodze wpadnę w ręce żandarmerji. Natomiast tylko

piechotą lub arbą muszę przedostać się przez granicę, przy pomocy przewodnika, o którego on się już postara, a za przysługę tę zażądał bajonńskiej wprost sumy 500 rubli z góry. Tymczasem ja miałem już tylko niecałe sto rubli przy sobie.

Pertraktacje przeciągały się, pośrednik nie chciał ustąpić, ja zaś nie mogłem, bo nie miałem z czego dołożyć. I tak znowu upływał dzień jeden i drugi na niczem, potęgując tylko przez to coraz więcej moje zdenewrowanie. — Rozpacz brała mnie nie na żarty! Czułem już na sobie rękę policji i czekałem tylko chwili, kiedy wpadnę w jej szpony.

Wieczorem któregoś tam dnia z rzędu miałem się spotkać ze swoim pośrednikiem. Chcąc skrócić chwile denerwującego wyczekiwania poszedłem popołudniu do polskiego kościoła. Prawie odbywało się nabożeństwo majowe.

Stanąwszy pod chórem próbowałem się modlić. Chciałem sklecić słowa modlitwy, i pomodlić się gorąco, chciałem nagiąć się jakoś i dostosować do słów śpiewanej litanji. Tymczasem jedno tylko i te same słowa snuły mi się ciągle w myśli, jak obłąd jaki, czy błaganie: „zmiłuj się, zmiłuj nademną“!

Melodja zaś śpiewanej litanji, te ciągle refreny: „módl się i zmiłuj się nad nami“ tak jakoś strasznie denerwująco działały na mnie, tak targały mi nerwy, że nie mogłem dłużej wytrzymać i wyszedłem co prędzej z kościoła.

Do pp. Suprynowiczów już zbliżyć się nie mogłem,— i już się nawet więcej z nimi nie widziałem.

Czekam wieczora denerwując się jeszcze bardziej.

Nadchodzi godzina 8-ma; chodzę po ciemnej ulicy zdała poza miastem, gdzie miałem się zejść z pośrednikiem. Mija pół godziny — nie widać nikogo.

Naraz dwa cienie wysuwają się z ciemności. To on i ona: pośrednicy.

Pocziwi roszanie! Oni odczuli moje położenie. On przyszedł porozumieć się ze mną, a ona w obawie o niego, aby go policja nie przyłapała poszła jak cień za nim. Niech im Pan Bóg stokrotnie wynagrodzi za to.

On odzywa się szybko szepejąc formalnie: „idź spać do japonki, jutro w południe w ogrodzie. Dostaniesz także pieniądze“ i przepadają znowu bez śladu w ciemnościach nocy.

Głupi byłem z tego wszystkiego, nie wiedziałem dokąd się mam właściwie udać, gdyż Charbin znalazłem tylko powierzchownie. Wracam więc do miasta i biorę dorózkę.

Powiesz mi do japonki — mówię do fiakra — czy wiesz gdzie to jest?

Pewnie — odpowiada z dumą izwoszczyk. Daj rubla i za pół godziny będziemy na miejscu. — Wskoczyłem do dorózki i ruszyliśmy z miejsca z kopyta. Jedziemy najpierw przez miasto, potem skręcamy w ciemne ulice i po półgodzinie drogi znajdujemy się na jasno oświetlonej uliczce. Szereg lampionów papierowych iluminuje dom cały.

Wot i tutaj — odzywa się doróżkarz — i staje przed domem.

Zrozumiałem! I za chwilę byłem już w jasno oświetlonym salonie, a kilka młodych ładnych japonek po-

deszło skromnie ku mnie. Inne grały w karty japońskie, których talje liczą przeszło sto kart, są wielkości dwóch palców i przedstawiają same drzewa, rośliny i zwierzęta. — Figury nie ma w nich ani jednej. Kilka z nich śpiewało przy wtórze japońskiej gitary.

Podano zaraz czaj i czas mijał niezgorzej.

Tak przebyłem tę ostatnią noc w Charbinie.



ROZDZIAŁ XXXIII.

Targi z przemysłnikami. Ondu. A więc do Fudziadziany.

Kiedy na drugi dzień rano wyszedłem do miasta, nie mogłem się doczekać południa. Już około 11-tej udałem się do ogrodu miejskiego, gdzie osoba zaufana wręczyła mi 100 rubli od pp. Suprynowiczów. Gdzieś około 12-tej zjawił się dopiero pośrednik. — Szybkim krokiem przeszedł ogród wzdłuż i wszerz a zbadawszy, że nigdzie nie ma policji przystąpił dopiero do mnie. Wyjaśnił mi krótko, że porozumiał się z przewodnikami. Ci jednak zażądali przynajmniej połowę okupu z góry. Koszta bowiem po drodze do Pekinu będą bardzo wielkie. Jeżeli więc zapłacę z góry przynajmniej 270 rubli, to może się uda jeszcze dziś zaraz w nocy Charbin opuścić.

Tłumaczę mu, że nie mam tyle pieniędzy, gdyż posiadam wszystkiego 180 rubli (80 swoich i 100 od pp. Suprynowiczów), a bez centa w drodze pozostać nie mogę. Pośrednik przyznał mi rację, ale obstawał przy swoim. W końcu odszedł, aby porozumieć się z prze-

wodnikiem, a kiedy za dwie godziny powrócił, oświadczył, że wszystko na darmo. Chińczycy bowiem nie chcą ustąpić.

Przedstawiam mu znowu, że nie mogę oddać ludziom, których przecie zupełnie nie znam, wszystkich swoich pieniędzy i zostać bez centa w obcym kraju. Kto bowiem mi zaręczy, że przewodnik mnie nie opuści, nie zdradzi po drodze, nie wyda władzom rosyjskim, aby wzięwszy już raz odemnie okup, otrzymać jeszcze drugą nagrodę 25 rubli od rządu rosyjskiego za wydanie jeńca uciekiniera. — Wszak już były takie wypadki w Taszkencie, że sarci lub kirgizi pobrali od oficerów austriackich chcących uciekać po 500 do 600 rubli na urządzenie karawany. Z karawaną tą mieli się przedostać do granicy perskiej. I prawie zawsze kończyło się na tem, że albo zaraz w stepach, albo też nawet tuż pod granicą perską, sarci lub kirgizi zdradzali jeńców, wydając ich patrolom kozackim. — Kto mi więc zaręczy, że i tu coś podobnego ze mną się nie stanie.

Proponuję pośrednikowi po raz już nie wiem który, że jeżeli dostanę się szczęśliwie przy pomocy przewodników do Pekinu, to dostaną w takim razie 500 rubli gotówką, zwrot wszystkich kosztów, a nadto jeszcze osobno gratyfikację, gdyż to wszystko ambasador austriacki w Pekinie wypłaci, o ile tego zażądam.

Nie nie pomogło, odszedł znowu porozumieć się z przewodnikiem; za chwilę wrócił jednak z powrotem i usiadł przy mnie na ławce, a w parę minut później zobaczyłem przed sobą jakiegoś przechodnia. Pośrednik trąca mnie zlekka i mówi półgłosem: To jest przewodnik.

Patrzę i widzę człowieka słusznego wzrostu, opalonego jak węgiel w podartem, zniszczonem ubraniu. Wygląd zewnętrzny nie bardzo budzi zaufanie. Spoglądnął i on na mnie. Czarne, duże jego oczy z czystymi białkami prześwidrowały mnie na wskrós. Typ huligana! Mnie przeszły tylko ciarki.

Odzywam się więc po chwili do pośrednika: Czy ten człowiek ma rzeczywiście mnie prowadzić — ja się go boję — nie ufam mu!

Tak — mówi pośrednik — on i jeszcze drugi. Bądźcie jednak spokojni, oni nie zdradzą i można im zupełnie zaufać.

Więc ile koniec końców, macie pieniędzy i ile możecie dać — mówi dalej pośrednik.

Mam wszystkiego jeszcze około 180 rubli, oddam chętnie 174 rb. 500 rubli, jak już powiedziałem i gratyfikację dostanie przewodnik w Pekinie.

Pośrednik znowu odszedł i w tej samej prawie chwili zaczął padać deszcz najpierw drobny, potem coraz silniejszy. — Widziałem jak moi pomocnicy schronili się do herbaciarni, a ponieważ deszcz z każdą chwilą się wzmaczał, wiatr przytem dał silny, ja zaś nie miałem na sobie nic, prócz lekkiej marynarki, więc trzeba się było zawczasu gdzieś schronić. — A ponieważ w pobliżu nie było innego schroniska, poszedłem za nimi. — Chciałem usiąść zdala od nich gdzieś na boku, ale rzekomy „huligan“ zauważywszy mnie wchodzącego odezwał się po rosyjsku: „proszę do nas na szklankę herbaty, dobrze robi, bo zimno“. — A kiedym usiadł przy stole dodał nachylając się do mnie niby to po ogień do papierosa półgłosem wesoło: nie bójcie się nic, wszy-

stko będzie dobrze“. I roześmiał się przytem tak szczerze, tak serdecznie, że ujął mnie odrazu za serce. — Głos tego człowieka był taki jakiś ciepły, serdeczny, tak sympatyczny, że nigdy w życiu nie byłbym przypuszczał, żeby człowiek o takim dzikim surowym na oko wyglądzie mógł tak słodko, tak dziecięco przemawiać.

Podawszy mi szklanę czaju odezwał się dalej: jak tylko deszcz ustanie pójdziemy zaraz. Ja naprzód, wy za mną z tyłu o kilka kroków i będziecie robić to wszystko co i ja. — Gdy będziemy przechodzić do chińskiego miasta obok warty, a was by zaczepiono, powiecie, że jesteście handlarzem bydła i idziecie na wieś kupować woły dla armji. Zresztą nie martwcie się, wszystko będzie dobrze!

Niedowierzając jednak zapytałem jeszcze: lecz któż mi zareczy, że wy mając wszystkie moje pieniądze w swym ręku nie zdradzicie mnie?

Z lekkim odcieniem oburzenia odezwał się na to: „My jesteśmy mahometanami, dotrzymujemy zawsze tego, co przyrzekniemy; gdybym ja złamał słowo, to żaden mahometanin nie podał by mi ręki, nie wpuścił więcej do swego domu. Taki jest u nas zakon.

Bądźcie więc spokojni i ufajcie“!

Ten prosty, niewykształcony człowiek pokonał mnie zupełnie. I kiedy po chwili deszcz ustał, on wstał szybko i wyszedł z herbaciarni, a ja z całym zaufaniem, jakby za jakąś gwiazdą przewodnią ruszyłem o kilka kroków za nim.

Ondu — tak bowiem się nazywał, szedł szybko przez ulice, a ja jak cień postępowałem jego śladem. —

Uszliśmy już kawał drogi, gdy nagle lunął deszcz jak z cebra. Ondu przystanął, zatrzymał ręką dwie nadjeżdżające dorożki i wskoczył do pierwszej, a ja do drugiej.

Jedziemy już z kwadrans, i widzę, że zmierzamy poza miasto, a równocześnie powoli zbliżamy się do wart rosyjskich stojących przy wejściu do Fudziadziany.

Nie wiem sam, czy wskutek deszczu, czy też z jakiego innego powodu, dość na tem, że ścisk w tem miejscu był wielki. Szereg arb stoi na gościńcu, krzyki, wołania rozlegają się dokoła, słowem zamieszanie w całej pełni.

Jakaś gwardja przyboczna na koniach cała zakapturzona w długich żółtych woskowanych płaszczach konwojująca „chińczyka pana“ mija nas w galopie i z powodu ścisku robi krzyk jeszcze większy. Wykorzystujemy tę chwilę. Ondu skręca dorożkę na prawo, zjeżdżamy z gościńca na łąkę, wymijamy warty i za chwilę jesteśmy już daleko od nich, dojeżdżając do chińskiego miasta. — Wysokie słupy a na nich przybite długie czarne ryby, malowane na deskach widać już z daleka. — Wjeżdżamy w ulicę pełną kałuży i błota, mijamy jedną, drugą, mijamy szereg straży, którą pełnią już wyłącznie chińscy żołnierze i następnie skręcamy na lewo i prawo. Ondu zatrzymuje dorożki, odprawia je z powrotem, a gdy zniknęły nam z oczu idziemy dalej piechotą.

Po kwadransie drogi stajemy przed jakimś domem chińskim, otoczonym wysokim murem. Ondu zapukał trzy razy; brama się otwiera, wchodzimy szybko i równocześnie drzwi zamykają się za nami.

Odetchnąłem głęboko. — Na razie byłem uratowany.



ROZDZIAŁ XXXIV.

Ostatecznie znowu w bezpiecznem ukryciu. Shango.

Weszliśmy do wnętrza domu chińskiego. Przez sienie i korytarze wprowadzono mnie do pokoju nisko w ziemi położonego, słabo oświetlonego zachodzącym światłem dziennym, w którym stał szereg przegródek na kształt naszych konfesjonałów.

Nie wiedziałem, co to znaczy; nie byłem pewny, czy mnie tu nie chcą po cichu zgładzić ze świata. Po chwili jednak nadszedł jakiś chińczyk i kłaniając się grzecznie z uśmiechem na twarzy odezwał się uprzejmie czysto po rosyjsku: „tu zostaniecie tylko chwilę, poczem zaraz wprowadzę was do mieszkania gospodarza domu. Teraz jest on jeszcze zajęty“.

A kiedy zapytałem się go, co to jest za pokój gdzie mnie wprowadzono i co oznaczają te przegrody, wyjaśnił mi, że jest to łaźnia .

Rzeczywiście po pewnym czasie przeprowadzono mnie przez podwórze do prywatnego mieszkania wła-

ściciela domu. Wysoki, poważny, dobrej tuszy, starszy wiekiem chińczyk, przyjął mnie bardzo urzędowo, rozmawiając tylko przez tłumacza, gdyż po rosyjsku nie umiał zupełnie. Następnie wskazał mi miejsce do siedzenia i dodał, że tu będę nocował, a w końcu kazał mi podać czaj.

Z tej krótkiej chwili zetknięcia się z nim i z rozkazującego tonu jego mowy, z jakim odzywał się do otaczających go chińczyków, nabrałem zaraz przekonania, że ma on tu nad nimi władzę nielada.

Tymczasem Ondu zjawił się znowu. Objął mnie, że chińczyk Shango (Szango), który mnie tu przyprowadził będzie od jutra moim przewodnikiem aż do Czańczunia, — zaś on, — Ondu — przyjedzie dopiero do Czańczunia koleją i potem już razem ze mną będzie odbywać drogę aż do Pekinu. Dodał, że Shango to szczywany lis, który zawsze żandarmerję rosyjską, straż pograniczną i patrole kozackie wyprowadzi w pole. — Shango więc też będzie mnie prowadził polami z Charbina aż do Czańczunia, gdyż on jeden w tajnych ścieżkach się wyzna, zaś Ondu będzie mi towarzyszył dopiero od Czańczunia, gdy już będziemy na pewniejszym terytorjum.

Za chwilę gospodarz domu, Shango i Ondu, wyszli do sąsiedniego pokoju, i słyszałem tylko, jak się tam kłócili nie na żarty tak, że chwilami robiła się krzykliwa awantura. A kiedy po pół godziny wrócili z powrotem, zapytałem się Ondu o co im się rozchodziło.

Odpowiedział mi po cichu, że gospodarz okropnie się złościł, że tak mało wzięto odemnie pieniędzy. Co

za zysk 175 rubli? — wykrzykiwał ciągle. — Sama arba będzie kosztować 150 rubli i wszystko pójdzie na nią, a co jemu zostanie z tego? Jeszcze musi dołożyć, bo i Shango musi coś dostać na drogę.

— Przecież, jak przyjdziemy do Pekinu on dostanie setki rubli, więc niepotrzebnie się gniewa — odzywam się na to.

— Tak, to prawda, ale on chytry, chce już teraz mieć pieniądze w ręce.

Ponieważ mieliśmy być w drodze około tygodnia zanim dostaniemy się do Czańczunia, więc trzeba było coś na drogę przygotować. Poprosiłem więc Ondu, by mi kupił trochę prowiantów, cukru oraz jaką kurtkę na drogę. — Swoją bowiem zgubiłem po drodze.

Zgodził się na to i za godzinę wrócił z powrotem. — I tak przyniósł mi połowę wędzonego łososia, kawałek jakiejś tłustej ryby, sam tłuszcz poprostu bez mięsa — przysmak chińczyków — której później w żaden sposób przełknąć nie mogłem, — pół bochenka chleba, jakiś stary, tak podziurawiony i zniszczony ulster, że brzydziłem się go wdziać na siebie, i garść brudnej melasy. — Nie było jednak innej rady, droga była daleka, noc już prawie zapadała, a na drugi dzień o wschodzie mieliśmy ruszyć w drogę.

Trzeba to było wszystko przyjąć z uśmiechem i podziękować za to, że wogóle i to przyniósł.

Stańęło na razie na tem, że Shango przeprowadzi mnie rano przez granicę i pójdzie ze mną aż do Czańczunia, zaś Ondu przyjedzie tam dnia szóstego popołudniu koleją i o ile się tam szczęśliwie spotkamy, to

pójdzie ze mną aż do Pekinu, gdzie otrzyma wynagrodzenie od ambasadora austriackiego.

Na tem rozstaliśmy się, i niedługo potem z uczuciem nieklamanej wdzięczności dla tych ludzi położyłem się pierwszy raz w życiu spać na chińskim, dobrze rozgrzanem łóżku.



ROZDZIAŁ XXXV.

Na drugi dzień o świcie.

Zasnąłem smacznie jakimś błogim, spokojnym snem. Nawet nie wiem, kiedy ta noc przeszła. Pamiętam tylko tyle, że śniłem o czymś przyjemnym, rozkosznym, gdy nagle we śnie poczułem lekkie dotknięcie ręki, a równocześnie zbudził mnie cichy szept: proszę, wstawajcie, już czas!

Zerwałem się szybko jak nigdy w życiu. Tak pchała mnie naprzód gorączka dalszej ucieczki. W jednej chwili byłem ubrany. Pytam stojącego obok mnie uśmiechniętego Shango: a arba jest? czy wszystko w porządku? — Tak jest! — odzywa się tenże.

Za chwilę przeprowadził mnie Shango, z pokoju w którym nocowałem, gdzie było ciepłutko napalone do jakiegoś starego budynku, w którym smród i stęchliznę czuć było strasznie. — Przytem wilgoć i zimno dawały się odczuć dotkliwie, tak, że nie wiem, czy pod wrażeniem chwili, czy też zimna zacząłem się trząść cały.

Zapytuję się więc chińczyka, dlaczego mnie tu wprowadził z ciepłego pokoju i jak długo mam tu pozostać?

Odpowiada na to krótko: niedługo, bądźcie cierpliwi, teraz idą ludzie na poranną modlitwę. — Trzeba się schować, żeby was nie widzieli, bo mogą zdradzić.

Rzeczywiście za chwilę rozległ się monotony głos porannej modlitwy muzułmańskiej, a gdy ta została odprawiona wyszliśmy z ukrycia i poczęli się gotować do przyszelej drogi.

Wychodzimy na podwórze; była może godzina czwarta nad ranem.

Piękne szafirowe niebo rozciągało się nad nami bez najmniejszej chmurki. Świeżość i cudny urok wiosny czuć było w tem rannem powietrzu; gdzieniegdzie odzywały się ptaki. Wczesna godzina dodawała temu wszystkiemu jeszcze więcej uroku i jakby dostrajała się do tak poważnej chwili.

Byłem wzruszony, ucieszony, zadowolony, jednym słowem szczęśliwy, że przecież pójdę naprzód.

Tymczasem wyszedł na podwórze gospodarz. Śniada twarz jego jakby pociągnięta tłuszczem świeciła się w promieniach słonecznych; czarne oczy z czystymi białkami błyszczały z daleka. Rzadkie wąsy, i bardzo rzadka, składająca się może z dziesięciu włosów długa broda zwisały mu na dół. — Długie niebieskie ubranie miał na sobie i biały czyściutki turban na głowie.

Wyszedł poważny, zamyślony i spokojnie zaczął oglądać się po podwórzu. Następnie zapytał krótko otaczających go podwładnych: czy wszystko jest w porządku?

Kornie pochyliwszy głowy i zgiąwszy się do pasa dali mu potakującą odpowiedź.

Wtedy gospodarz ruszył naprzód zmierzając ku bramie, którą w tej chwili dopiero otworzono.

Jakkolwiek byłem wzruszony powagą chwili, to jednak te wszystkie ceremonje zaczęły mnie już nudzić i niecierpliwić. — Ruszyłem więc szybko za nim, aby dostać się jak najprędzej za mur, za bramę.

Tymczasem gospodarz, który już przestąpił próg furty, cofnął się nagle wstecz i dał mi ręką znak, abym się zatrzymał i schował. Po chwili dopiero ktoś ze służby wyglądał za bramę i wróciwszy oznajmił, że niebezpieczeństwo minęło. — Usłyszawszy to chciałem co prędzej wybiec i dostać się na drogę; lecz w tej samej chwili poważny gospodarz zatrzymał mnie ręką na miejscu i przemówił spokojnie: poczekaj tutaj, nie chodź sam! Ja — dodał z naciskiem pokazując palcem na siebie — sam cię wyprowadzę! A Allah — tu podniósł palec wskazujący do góry, — ciebie szczęśliwie przeprowadzi! Następnie wyciągnął ręce i zaczął mnie błogosławić na drogę.

W końcu gospodarz wyszedł za bramę, rozglądając się na wszystkie strony, poczem wróciwszy wskazał mi, że mogę już wyjść spokojnie. Za chwilę znalazłem się poza murami mojego chwilowego schroniska, gdzie mi tak było dobrze i bezpiecznie i zacząłem na nowo dalszą wędrówkę, obecnie już nie jak dotąd na wschód, ale na południe do Pekinu.



ROZDZIAŁ XXXVI.

Jak przeszedłem granicę. Jazda siedmiokonnym zaprzęgiem. W meczecie chińskim jako oficer turecki.

Szybkim, rzeźkim krokiem podążyłem przez ulicę, przechodząc po pod murem, który otaczał dom chiński. Dwóch chińczyków niosło moje pakunki z prowiantami, za nimi szedłem ja, za mną Shango.

Świeże czyste poranne powietrze orzeźwiało mnie i jakby dodawało otuchy i podniety do dalszej drogi. Niedługo mur się skończył, zabudowania zostały w tyle za nami, a my weszliśmy w pola zasiane ryżem i kukurydzą.

Szliśmy około kwadransa ścieżkami i miedzami, skręcając na lewo, na prawo, a jakkolwiek wzrok wyteżalem i rozglądałem się na wszystkie strony, to jednak przyrzeczonej arby nigdzie spostrzedz nie mogłem. Naraz jakby z pod ziemi wyrósł przed nami w odległości jakich pięćdziesięciu kroków wóz chiński na dwóch kołach zaprzężony w siedm koni. Dwóch chiń-

skich woźniców, w wysokich szerokich słomianych kapeluszach stało przy nim.

Była to zwykła arba chińska, silnie okuta, używana do przewozu ciężarów. Nad blatem rozpięte było szerokie płótno, podparte dwoma kijami, tworząc w ten sposób rodzaj namiotu.

Kiedyśmy stanęli przy arbie, Shango kazał mi się co prędzej wsunąć pod rozpiętą płachtę i położyć na blacie. W tej samej prawie chwili zaczęto mnie przykrywać próżnymi workami tak, że stos worków doszedł aż pod szczyt namiotu, ja zaś zniknąłem pod niemi zupełnie, że śladu nawet ze mnie nie zostało. — Wóz ten bowiem dnia poprzedniego przywiózł z pobliskiego miasteczka chińskiego wory jarzyn do Charbina; dziś zaś rano wracał z powrotem z pustymi workami, które obecnie miały być moją deską ratunku.

Ruszyliśmy powoli między polami. Była może piąta nad ranem. Ponieważ droga, którą jechaliśmy była zwykłą drogą polną, przeto nic dziwnego, że wóz szedł raz równiutko jak po stole, to znowu nagle zapadał się w wybojach po osie, to znowu podskakiwał lub przechylał się na lewo, na prawo. — Z początku ta romantyczna podróż bardzo mi się podobała, ale już po 10 minutach miałem tej jazdy dosyć.

Tymczasem arba toczyła się powoli coraz więcej naprzód okrążając Charbin dokoła i zmierając coraz bardziej na południe, ciągle między polami, przez co wymiialiśmy warty rosyjskie porozstawiane dosyć gęsto.

Tak jechaliśmy do godziny 8m-iej rano. Naraz posłyszałem dzikie krzyki i wołanie obu woźniców oraz mojego przewodnika, którzy z całych sił popędzali konie

i krzyczeli na nie. — Wnioskując ze znanych mi już wykrzykników: I, i, i, a, a, a, o, o, o, należałoby sądzić, że wóz zapadł się głęboko w ziemię i konie z miejsca ruszyć nie mogą. Tymczasem zaś arba toczyła się zupełnie spokojnie i normalnie bez najmniejszego wstrząśnienia. — Nie wiedziałem co to wszystko miało znaczyć.

Dopiero później dowiedziałem się, że w tej właśnie chwili przejeżdżaliśmy blisko warty rosyjskiej. — Chińczycy bojąc się aby żołnierze ich nie zatrzymali i przypadkiem nie zechcieli rewidować wozu, zaczęli robić zamieszanie, udając, że wiozą arbę ciężko naładowaną. — Głośnem zaś nawoływaniem na konie i krzykami, co zresztą jest powszechnem w Mandżurji chcieli odwrócić uwagę warty.

Tak jechaliśmy do godziny 10-tej rano. A kiedy w końcu wóz się zatrzymał i przewodnik powiedział mi, że mogę już wysiąść, aby trochę odpocząć, nie mogłem formalnie zejść z wozu. Tak byłem roztrzęsiony, obity na wszystkie strony.

Stanąwszy na ziemi zapytałem przewodnika: rus (tak bowiem chińczycy nazywają moskali) czy daleko? Shango wskazał ręką tylko na północ i powiedział z uśmiechem: daleko, daleko! Skolko wiorst — pytam znowu? Będzie siedm — odpowiada przewodnik — wy tutaj już bezpieczni. Ale musimy jechać zaraz dalej, gdyż na wschód od nas idzie droga kolejowa z Charbina do Czańczunia. Wzdłuż całego toru kolejowego stoją warty rosyjskie i patrolują żandarmi oraz kozacy na koniach. Gdyby nas spostrzeżono bylibyśmy straceni. Musimy więc jak najprędzej jechać naprzód, aby się oddalić możliwie jak najbardziej od nich i toru kolejowego.

Pytam się znowu, a czy dalej w drodze będziemy bezpieczni? czy mi nie grozi żadne niebezpieczeństwo?

— Jeżeli nie spotkamy żandarmów chińskich — odpowiada Shango, — to będzie dobrze. Lecz jeżeli ich spotkamy i was przyłapią, to będzie źle, gdyż oddadzą was żandarmom rosyjskim.

Ruszyliśmy dalej. Przynajmniej teraz mogłem się trochę rozglądnać i przypatrzeć okolicy którą jechaliśmy. Dookoła ciągly się pola zasiane zbożem, ryżem i kukurydzą. — Ostatecznie około 12-tej w południe zatrzymujemy się, aby nieco odpocząć i popaść zmęczone konie.

Do wsi bowiem zajeżdzać było jeszcze niebezpiecznie. Na popas stanęliśmy w czystym polu, dla zdobycia żłobu, bez którego w Chinach koni nie umia karmić.

Przypadek zrządził, że natrafiliśmy na chińczyków orzących pole. Obok nich stały dwa żłoby. Tu się więc rozlokowaliśmy. Rozpaliliśmy ognisko i zawiesiwszy nad nim na kijach czajnik, zaczęliśmy gotować wodę na herbatę. Kawał tłustej ryby z chlebem — trudnej do przełknięcia miał nam służyć za śniadanie i obiad zarazem.

Tymczasem woźnica wyprzągnął konie i podprowadził je do żłobu. Następnie nasypał im obroku składającego się z jęczmienia, owsa i grubo krajanej słomy, która raczej przypominała rodzaj sitowia lub szuwaru, tak że dziwiłem się wogóle, jak konie mogą to wszystko pogryść. — Kiedy konie zjadły obrok, woźnica wyjął duży bochen jakiejś sprasowanej mieszaniny, skrajał nożem rozgniótł ją palcami i tak mniejwięcej po pół garnca dołożył każdemu koniowi.

W międzyczasie chińczycy orzący pole przerwali swoją pracę, podeszli ku nam i przyglądając się ciekawie poczęli się dopytywać o mnie. Nie wiem, co im tam mój Shango opowiadał, ale wszyscy śmiali się wesoło i byli bardzo zadowoleni. — Jeden tylko stary, zupełnie już zgrzybiały chińczyk nie brał udziału w tej rozmowie. — Siedział spokojnie na ziemi i patrzył błędnymi oczyma obojętnie na wszystko, trzymając w prawej ręce małą chińską fajeczkę, z którą żaden chińczyk ani na chwilę się nie rozstaje.

Siedział on spokojnie, drapiąc się od czasu do czasu i zbierając wszy, których roje chodziły po jego niebieskiem ubraniu. Od czasu do czasu łapał je spokojnie, przygniatał nieco palcami, a następnie zjadał ze smakiem.

Po godzinnym popasie ruszyliśmy dalej. Nigdzie wsi, nigdzie zabudowań, same tylko pola uprawne. Ziemia wszędzie czarna, sypka, jak proch. Zdaleka tylko widać od czasu do czasu chińczyków orzących pola.

Dziwny to widok. Cztery białe małe koniki idą rzędem obok siebie zaprzężone do sochy, za którą postępuje oracz. Pług tej sochy względnie korzeń jest bardzo mały i nie orze on ziemi jak u nas układając ją w skiby, lecz poprostu pruje ją, tak, że pulchniutka w tych stronach ziemia rozpada się sama przez się na lewo, na prawo. Jeżeli zaś zostanie podczas takiej orki kawałek ziemi nienaruszonej, to idący za oraczem chińczyk lub chinka, którzy sieją zboże, nadeptują na ten kawałek grudy i rozdeptują ją nogami. Ziemia w proch się rozpada, tak ona jest pulchna i sypka w tych stronach. —

Całe zaś oranie nie jest niczem innym, jak tylko po prostu wzruszeniem lub spalchnieniem ziemi.

Za oraczem idzie zaraz siewca chińczyk lub chinka, (ta ostatnia na małych nóżkach) niosąc w ręku długi drążek bambusowy, w środku pusty, napelniony zbożem. U spodu drążka jest mały otwór, którym wysypuje się ziarno. — Jedną ręką trzyma drążek, względnie rurę bambusową, drugą u spodu potrąca lekko siewnik i w ten sposób idąc naprzód wysypuje przed sobą ziarno. Dlatego też łany tutejsze wyglądają jak pasy.

Około 5-tej popołudniu wjechaliśmy w teren więcej pagórkowaty. Spotykamy chińczyków niosących na noszach kosze pełne jarzyn. Niektórzy z chińczyków niosą całe kosze młodej cebuli. Domyślam się, że gdzieś w pobliżu musi być wieś lub osada.

Rzeczywiście wkrótce znaleźliśmy się pod murem miasteczka chińskiego, a kołując jeszcze z kwadrans wjechaliśmy ostatecznie do środka miasta, a następnie do meczetu chińskiego, gdzie dopiero byliśmy znowu bezpieczni.

Muła, czyli ksiądz chiński, u którego mieliśmy przemocować odprawiał właśnie modlitwy z wiernymi. Pomocnik jednak jego wprowadził nas zaraz do jakiegoś pokoju. — Obok w sąsiedniej izbie była szkoła dla chińskich dzieci. — Małe chińczyki zobaczywszy obcego gościa, oglądają mnie ze wszystkich stron ciekawie, szwargocąc coś między sobą. — Niedługo potem modlitwy ukończono i Shango dał mi znać, że „Muła“ jest już w swoim pokoju i prosi mnie do siebie na audjencję.

Zapytałem się przewodnika co będę z Mułą mówił, kiedy ja po chińsku nie umiem?

— Mówcie po rosyjsku a ja będę tłumaczył — odzywa się Shango — i co trzeba, będę za was mówił. Nie zapomnijcie jednak o jednym, że jesteście tureckim oficerem, muzułmaninem, który uciekł z niewoli rosyjskiej, że wracacie nazad do Turcji do Konstantynopola. Tak was bowiem już „Mule“ przedstawiłem i pod tym tylko warunkiem wstęp do tej świątyni jest wam dozwolony. Jeżeliby się zaś wydało, żeście chrześcijanin, w tej chwili was zabiją.

Nie bardzo mi się przyjemnie po tych słowach zrobiło, ale poszedłem na tą nieprzyjemną audyencję. — Myślę sobie, nie potrzeba nic więcej, tylko, żeby Muła mówił lub rozumiał po turecku, co było bardzo możliwem, gdyż czytał Koran codziennie. Niech tylko zacznie ze mną rozmawiać po turecku, a wnet wyjdzie na jaw, kto jestem, i gotów jestem jeszcze dzisiaj chwalić i oglądać Ałaha w niebie.

Poszedłem jednak zapewniony poprzednio solennie, przez Shango, że Muła, po turecku nie mówi. Wszedłem do wielkiej obszernej sali.—Pod jedną ze ścian stał stolik, obok niego po jednej i drugiej stronie dwa szerokie wygodne fotele. Jest to miejsce dla gości wysoko honorowanych w Mandżurji, którym Muła raczy łaskawie udzielić posłuchania. — Naprzeciwko mnie w odległości kilku kroków siedział również w krześle wysoki, poważny, stary Muła. Twarz jego i wygląd nadzwyczaj sympatyczny. Powstawszy, wyciągnął rękę do mnie, uśmiechnął się życzliwie witając mnie serdecznie. Uścisnąłem podaną dłoń wymawiając przytem sakramentalne słowa powitalne każdego Muzułmanina „Sa-lem Alejkum“! Tego bowiem nauczyłem się od turec-

kich oficerów, z którymi razem byłem w niewoli rosyjskiej.

Następnie usiadłem na krześle, Muła na swoim miejscu i zaczęła się rozmowa. — Ponieważ nie umiałem ani słowa po chińsku, a Muła nie umiał ani słowa po rosyjsku, którym to językiem aż dotąd ciągle jeszcze się posługiwałem, — więc cała rozmowa ograniczała się do tego, że Muła rozmawiał z moim przewodnikiem, a ja tylko uśmiechnięty kiwałem ciągle głową.

Shango zaś lgał jak najęty, że jestem oficerem tureckim, muzułmaninem, że uciekam z niewoli rosyjskiej, wracam do swoich i td., i td.

Muła ogromnie się cieszył, życzył mi powodzenia i szczęścia i zapewnił, że pod jego dachem włos mi z głowy nie spadnie, gdyż tutaj mają dostęp tylko ludzie zaufani. Obcy do meczetu wejść nie może.

Na tem audyencja się skończyła; a gdy wróciłem do pokoju dla mnie przeznaczonego, zastałem tam już przygotowaną dla mnie specjalnie przyrządzoną kolację. — Na pierwsze danie mięso krajane w kawałeczki i prażone w sosie, coś w rodzaju gulaszu, następnie jarzynkę cienko krajaną, trochę ryżu i herbatę podaną w małej porcelanowej filiżance bez uszka.

Wszystko to bardzo byłoby mi smakowało, gdyby nie to, że potrawy te musiałem jeść palcami. — Chińczycy bowiem łyżek nie znają, a widelkami, — których oni używają — ja jeszcze wtenczas posługiwać się nie umiałem.



ROZDZIAŁ XXXVII.

Poszukiwania za nową arbaşą.

Tymczasem wieść o moim przyjeździe rozeszła się szybko w najbliższem sąsiedztwie meczetu. Nie było to zresztą nic dziwnego, gdyż wjeżdżając w biały dzień do miasta w stroju europejskim już przez to samo zwróciłem na siebie uwagę. Chińczycy zaczęli się powoli schodzić i mną interesować; byli to jednak sami mężczyźni, a ponieważ wielu z nich mówiło po rosyjsku, więc mogłem się z nimi łatwo porozumieć.

Musiąłem im opowiadać, gdzie i jak się dostałem do niewoli, kim jestem, skąd pochodzę. Objaśniałem ich, że właściwie pochodzę z Erzerumu, gdzie służyłem jako oficer w armji tureckiej, że dostałem się do niewoli w bitwie na Kaukazie, a chcąc ich jeszcze więcej utwierdzić w wiarygodności mego opowiadania i wzbudzić tem większe zaufanie, pokazałem im przestrzelone piersi.

Zachwył i entuzjazm ich nie miał granic. Zaczęto mi opowiadać, że tutaj w meczecie od moskali na razie

nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, że muszę jednak podczas dalszej drogi uważać i unikać spotkania z żandarmami chińskimi, którzy są takimi samymi drabami, jak żandarmi rosyjscy. Najważniejszą rzeczą, żebym się szczęśliwie dostał do Czańczunia, to potem tylko wsiąść na maszynę; (mieli tu na myśli pociąg osobowy) a potem sama maszyna zawiezie już dalej.

— „Twoja przejdzie do Czańczunia, twoja tam wsiąść na maszynę, twoja jechać potem do Pinging“ tak mówili w narzeczu rosyjskiem otaczający mnie chińczycy.

Równocześnie zaczęły się poszukiwania i pertraktacje o nową arbę. W końcu znalazł się jakiś chińczyk, który za opłatą 80 rubli zobowiązał się wynająć arbę na pięć do sześciu dni, to jest na przeciąg czasu, jaki był potrzebny, aby się dostać do drogi kolejowej.

Targ stanął, że odwiezie nas na miejsce przeznaczenia, pieniędzy jednak zaraz nie dostanie, tylko zostaną one zdeponowane tu w miasteczku u Muły, a gdy szczęśliwie dostanę się do miejsca przeznaczenia i woźnica przywiezie odpowiednie pismo, to pieniądze zostaną wypłacone.

Wieczór nadchodził. Chińczycy odeszli na modlitwę wieczorną, ja zaś wyszedłem na podwórzec, aby oglądnąć śliczny stylowy meczet, istne cacko w stylu chińskim. — Rzeźby i dekoracje rzeźbione, jak również malowidła i złożone gzymsy nie dadzą się z niczem porównać. — Szkoda tylko, że nie miałem więcej czasu, aby to wszystko dokładnie oglądnąć.

Niedługo potem ściemniło się zupełnie i trzeba się było udać na spoczynek, gdyż o wschodzie słońca mie-

liśmy ruszyć dalej. Chodziło o to, aby przy wyjeździe jak najmniej ludzi spotkać na ulicach, nie natknąć się na żandarmerję chińską i przekraść się szczęśliwie koło warty stojącej przy bramie wjazdowej do miasta.

Wszystkie bowiem miasta i miasteczka chińskie są otoczone wysokim murem, a że dwie tylko bramy prowadzą do środka miasta, jedna z północy, druga z południa, więc przez to samo kontrola wchodzących i wychodzących jest bardzo łatwa.

Inna rzecz, że w niektórych miasteczkach mury te są miejscami rozwalone i przerwane, tak, że takim wyłomem, można się łatwo dostać do miasta. Tutaj jednak mowy o tem nie było.

Wszedłem więc do pokoju, gdzie już przygotowanym było spanie na łóżku chińskim. W chińskich domach nie ma pieców jak u nas, lecz przez całą długość pokoju pod jedną lub pod obu ścianami znajduje się rodzaj przyzby, ulepionej z błota lub gliny. Przyzba ta jest szeroka przeszło dwa metry i przykryta deskami, na których jest położona cienka mata pleciana z trzciny.

Zwykle w sieni zaraz przy ścianie, gdzie się właśnie piec zaczyna jest ognisko, z którego płomień przechodzi do pieca, względnie do przyzby i ogrzewa ją, a po drugiej stronie budynku znajduje się komin już na polu, którym dym wydostaje się na zewnątrz. Ten to piec, który równocześnie służy za łóżko chińskie ogrzewa pokój, — na nim kładą chińczycy sobie pod głowę walek i tak rozebrani zupełnie, śpią smacznie.

Jakkolwiek na łóżku takim jest dosyć twardo, to jednak ze względu na to, że z pod spodu idzie ciepło,

śpi się smacznie i przyjemnie, a można nawet powiedzieć, że wstaje się rano o wiele rzeświejszym i zdrowszym, aniżeli z naszych wygodnych posłań.

Takie łóżko zastałem w moim pokoju przygotowane dla siebie, i niebawem też zasnąłem na niem snem twardym.



ROZDZIAŁ XXXVIII.

Na Dalekim Wschodzie. W głębi Mandżurji.

Świtało na dworze, kiedy lekkie dotknięcie zbudziło mnie ze snu. Shango ubrany już zupełnie stał przy mnie i uśmiechnięty, grzeczny jak zawsze prosił mnie, abym wstał zaraz i szybko się ubrał, gdyż arba już czeka. Po chwili przyniósł mi gorący czaj, który szybko wypilem i wyszedłem na podwórze. — Nowa arba zupełnie odmienna od poprzedniej zaprzężona w siedm koni czekała już gotowa do drogi. — Arba wczorajsza był to prosty wóz ciężarowy, podczas gdy ta, którą miałem obecnie jechać była w pojęciu chińczyków prawdziwym wygodnym, wspaniałym powozem.

Na blacie arby przymocowana była mała na jedną osobę, bardzo ładna w pojęciu chińczyków, ale dla Europejczyka straszna do podróży budka. Błat bowiem arby spoczywał wprost na grubych silnych osiach, na blacie zaś spoczywała wspomniana budka, która zrobioną była z kanciastych patyków układanych na

krzyż, zupełnie w ten sam sposób, jak są kratowane okienka w dawnych naszych konfesjonalach.

Ponieważ drogi w Chinach są to po największej części drogi polne, czasem szerokie na dwa metry, a miejscami znowu na dwadzieścia metrów, zwłaszcza tam, gdzie są kałuże i wyboje, — więc nie dziwnego, że jazda taką arba równa się poprostu torturom. — Wóz-arba przechyla się na wszystkie strony, zapada, podskakuje, a wszystkie te najmniejsze nawet drgnięcia srogo odczuwa ten, kto siedzi zamknięty i skulony w budce. — Arba rzuca nim na wszystkie strony jak piłką, lub kulką w szklance, a że ściany jej są kanciaste i ostre, więc nie dziwnego, że bez sińców, a czasem i lekkiego zranienia się nie obchodzi.

Chińczycy twierdzą, że jazda taką arba należy do najprzyjemniejszych podróży na świecie, ja zaś z prawdziwym strachem, pouczony doświadczeniem dnia wczorajszego, wsiadałem do tego nowego wehikułu. — Wszak to pięć do sześciu dni miałem nim jechać.

Wsiadliśmy. Ja do budki, Shango przed budką po lewej, woźnica po prawej stronie. — Obecni chińczycy zegnali nas po cichu prawie szeptem życząc powodzenia w drodze. Wjechaliśmy w długie kręte uliczki, skręcili raz i drugi, w końcu dostaliśmy się na główną drogę prowadzącą wprost ku bramie wjazdowej.

Z daleka już zobaczyłem przy bramie szyldwacha chińskiego stojącego na warcie. Im więcej zbliżaliśmy się do niego tem silniej serce biło mi w piersiach. Nagle Shango szybkim ruchem ręki zapuścił firanki z przodu budki. Równamy się ze szyldwachem, który rzuca ja-

kieś pytanie, Shango odpowiada mu na nie i po chwili jesteśmy już za bramą.

Kiedy później zapytałem się przewodnika co mówił do szyldwacha, odpowiedział mi z uśmiechem: „mówiłem mu, że to jedzie mandaryn, a firanki już zawczasu zapuściłem, bo taki jest u nas zwyczaj“.

Niedługo potem wjechaliśmy w pola i drogą polną posuwaliśmy się coraz dalej na południe. — Nie jechaliśmy jednak prosto, lecz często kolując godzinami, błędząc po łąkach, moczarach, aby ominąć z daleka jakąś wieś lub miasteczko. Kiedyśmy się znowu z powrotem dostali na główną drogę, było już dobrze popołudniu. — Droga w tym miejscu była nawet bardzo szeroka, lecz cóż z tego, kiedy wyboje i bagna uniemożliwiały posuwanie się naprzód.

Teraz dopiero zrozumiałem dlaczego chińczycy nie jeżdżą jednym lub dwoma końmi, lecz używają aż siedmiu do jednego zaprzęgu. Konie te połączone długimi postronkami wprost z osią nie mając żadnych uzd ani wędzideł idą poprostu samopas, to rozchodząc się szeroko odsiebie, to znowu schodząc się w jedną skupioną gromadę, w miarę tego jak i gdzie który z koni może przejść swobodnie naprzód. — Każdy bowiem z nich na własną rękę, szuka sobie wygodniejszego miejsca do przejścia drogi, czasem ścieżki, czasem nawet między. To też prawie stale, zwłaszcza gdy droga jest kiepska, zdarza się, że co najwyżej cztery konie ciągną równocześnie arbę, podczas gdy trzy inne szukając sobie przejścia, idą beczynnie w zaprzęgu. — Dopiero gdy długi bat zaśwista w powietrzu i spadnie na grzbiet pierwszego konia „przodownika“ i zagrzmia w powietrzu

skrzeczące, charezące krzyki woźnicy i—i, o, o, o, wtenczas naraz wszystkie czternaście postronków się pręży, konie dobywają sił i wszystkie ciągną równocześnie.

Pola w tej okolicy czarne, sam czarnoziem, wszystko obsiane i obrobione, kawałka ziemi nie ma odłogiem. I dziwnem się to dosyć wydaje. Jedzie się bowiem całemi godzinami, czasem i pół dnia i żywej duszy nie spotkasz po drodze. — Równocześnie zaś na wschód i zachód widać pola starannie i troskliwie uprawione.

Gdzie jest właściciel? gdzie jest robotnik? mimo-woli przychodzi na myśl pytanie. Zdawałoby się mogło, że tu na każdym miejscu można śmiało się zatrzymać, odmierzyć sobie kawał gruntu zająć na własność i zacząć stawiać na nim gospodarstwo.

Tak jednak łatwo to nie jest! Opowiadano mi jeszcze w Charbinie, że coś podobnego jest wprost niemożliwym, że były już takie wypadki, że ktoś w tych stronach zajął sobie kawał gruntu i zaczął się na nim budować. Lecz w tej samej chwili jakby z pod ziemi zjawiał się właściciel i przepędzał bez pardonu matretnego przybysza.

Około czwartej popołudniu zaczęliśmy spotykać chińczyków niosących jarzynę, zwykły znak, że w pobliżu jest osada chińska. Niedługo zaś potem zauważyłem z daleka dwie małe niebieskie postacie posuwające się drobnymi kroczkami powoli naprzód. Nie byłbym może zwrócił na nie uwagi, gdyby nie przewodnik, który mi szepnął: idą chińskie kobiety.

Ciekawość moja wzmogła się odrazu. Dotychczas bowiem chinki jeszcze nie widziałem, pomimo, że kilkaset wiorst drogi przez Mandżurję miałem już za sobą.

Kobiety zaś chiński trudno jest spotkać na ulicy w północnej Mandżurji, gdyż prawie nie wychodzą z domu. — Ciekawy więc byłem niepomiernie. Kiedyśmy się jednak do nich zbliżyli, zauważyłem z przerażeniem, że są to dwie stare baby chińskie, brzydkie, bez zębów, stąpające drobnymi kroczkami na swych małych nóżkach, paląc chińskie fajeczki. — Chód ich robił wrażenie ruchów manekina.

Pytam przewodnika; dlaczego u was kępują nogi chinkom i deformują przez to ich kształt, tak, że potem chodzić nie mogą. Przecież to jest nieludzkie!

To taki zwyczaj, — odpowiada Shango z uśmiechem — właśnie o to chodzi, żeby chinka nie mogła chodzić.

Ale dlaczego: pytam znowu?

Ano, — odpowiada Shango, — jakby mogła dobrze chodzić, toby uciekła od męża; a tak, to już uciec nie może!

W końcu wieczorem dojechaliśmy do miasteczka chińskiego. — Pytam się jak daleko do Muły, byłem bowiem już do ostateczności wyczerpany jazdą w arbie, tem całodziennem trzęsieniem i przewracaniem się na wszystkie strony.

Ostatecznie wjechaliśmy do drugiego meczetu. — Był on maleńki i skromny, nie tak okazały jak poprzedni, ot poprostu jakaś kaplica w porównaniu do dużego kościoła. — Muła w nim człowiek bardzo młodziutki, ale poważny, mający siedmdziesięcioletniego staruszka za pomocnika.

Weszliśmy do środka. Przewodnik przywitał się z Mułą jak ze swoim starym znajomym, opowiedział mu

zaraz zwykłą historyjkę o mnie. Muła słuchając tego wszystkiego ciekawie, ucieszył się mojem przybyciem bardzo. Raz dlatego, że nienawidził z całej duszy Rosji, a powtóre że kształcąc się na Mułę, uczył się po arabsku i przecież raz nadarzyła mu się sposobność porozmawiać z jakimś turkiem. Naturalnie odezwał się zaraz do mnie po arabsku.

Zdębiałem słysząc jakąś mowę, która nie była podobna ani do rosyjskiej, ani do chińskiej, więc, jak przypuszczałem będzie podobna chyba do tureckiej.

Pytam więc co prędzej przewodnika co Muła mówi, co on chce? A na to Shango odpowiada mi z uśmiechem, że Muła mówi po arabsku i chce ze mną porozmawiać.

Odzywam się więc znowu do przewodnika: wytłumacz co prędzej swojemu Mule, że języki arabski i turecki, to zupełnie do siebie nie podobne, że jest to jak dzień-i noc, jak niebo i ziemia. — Ale gadaj prędko! Jeżeli nie chcesz, by nam tu obydwom zrobiono harakiri.

Dwa razy nie trzeba było tego powtarzać mojemu przewodnikowi. Wytłumaczył więc Mule, że język arabski i turecki to zupełnie nie podobne do siebie, a ja chcąc Mułę jeszcze tem więcej w tem przekonaniu utwierdzić zacząłem liczyć po węgiersku od jednego do dziesięciu, co już zupełnie biednego Mułę zbiło z tropu.

Trzeba było widzieć minę tego nieszczęśliwego, który chciał a nie mógł ze mną się rozmówić.

Po krótkiej rozmowie teraz już po rosyjsku Muła wprowadził mnie do swego pokoju, gdzie musiałem jeszcze odbyć u niego — jak zwyczaj nakazuje — audyencję, poczem odpiero wolny mogłem usiąść swobodnie na piecu.

Za chwilę podszedł do mnie Shango i objaśnił mnie, że tutaj u Muły jest łaźnia i mogę się spokojnie wykąpać. Dodał przytem że Muła jest tak zadowolony z mojego przybycia, że kazał na kolację zabić i ugotować kure, a nadto do zupy będzie ciasto, które sam Muła zarobi, ugniecie i skraje następnie na makaron.

Co będzie na kolację — i czy Muła będzie miesił ciasto czy nie, było mi to zupełnie obojętne; natomiast wiadomość o kąpieli wprawiła mnie poprostu w zachwyty. — Od czasu bowiem mojej ucieczki z Taszkentu nie kąpałem się jeszcze, jakkolwiek było to bardzo potrzebnem. Ot, tu i ówdzie przemyłem tylko twarz i ręce i tak szło ciągle dalej. To też natychmiast udałem się do łaźni.

Była ona urządzona bardzo prymitywnie. W sieni domu znajdowała się przegródka, rodzaj komórki. Na podłodze był rów betonowany, odprowadzający wodę na pole, a nad nim krata drewniana, aby nie stać na gołej ziemi. Nad głową duży garnek gliniany objętości ośm do dziesięciu litrów wisiał przymocowany na sznurze do belki. — W garnku tym napełnionym ciepłą wodą, była u spodu dziurka zatkana źdźbłem słomy. — Jeżeli źdźbło słomy podniosło się nieco do góry, woda zwolna uchodziła oblewając całe ciało. — Po zupełnem umyciu się, usuwało się słomę z garnka a wtedy woda całym pędem zlewała się na ciało, sprawiając przyjemność wobec której wszelkie tusze europejskie są niczem.

Wykąpany, odświeżony wróciłem z powrotem do pokoju i rzuciłem się formalnie omdlały na łóżko chińskie. Leżąc i spoglądając drzemiącym okiem przez

otwarte drzwi do sieni, widziałem mego przewodnika, jak coś opowiadał Mule, który z zapalem miesił ciasto dla mnie na kolację. Obok nich pomocnik Muły poprawiał ogień na kominku.

Powoli obraz ten zaczął mi się coraz więcej przed oczyma majaczyć i sam nawet nie wiem kiedy zasnąłem. — Pamiętam tylko tyle, że gdzieś późno wieczorem budzono mnie na kolację, ale według twierdzenia przewodnika musiano dać spokój gdyż spałem jak kamień. Dopiero o świcie przewodnik zbudził mnie i zachęcał do szybkiego ubierania. — Jakby na nowo odrodzony po wczorajszej kąpeli szybko zeskoczyłem z łóżka i za kilka minut byłem gotowy. — Ponieważ arba jeszcze nie nadjechała — nocowała bowiem w jakimś zajeździe w miasteczku, — wyszedłem na podwórze.

Dzień zapowiadał się ładny, słońce dopiero wschodziło, chłód czuć było w powietrzu. Obszedłem dookoła podwórze idąc wzdłuż muru otaczającego meczet. Z tyłu za mieszkaniem Muły rosły wysokie wierzby. Nagle posłyszałem w górze kwilenie, a równocześnie krzyk rozpaczliwy jakiegoś ptactwa. Spoglądem i widzę parę jastrzębi siedzących na wierzbach kwilących żałośnie. Niektóre z nich zrywały się i krążąc w powietrzu nagle zatrzymywały się na jednym miejscu unosząc się nad gniazdem, w którym były młode wrony. — Ile razy jastrząb zawisał nad gniazdem grożąc spadnięciem na gniazdo z młodymi, tyle razy wrony chóralnym krzykiem całą gromadą starały się go odstraszyć i powstrzymać od napadu. — Jastrząb to unosił się w powietrze, to znowu opadał nad drzewem jakby wahając się co zrobić. Nagle szybko jak strzała spadł na dach domu po-

rywając równocześnie w szpony wróbla, który zupełnie się tego nie spodziewał.

— A wy gdzie tu zaszli, posłyszałem naraz za sobą głos mojego przewodnika. Musimy odjeżdżać, już i tak późno!

Wróciłem do mieszkania, pożegnałem się z Mułą, który dał mi przy odejściu list pisany po chińsku, polecający mnie i proszący o przyjęcie na nocleg do następnego Muły. Za napisanie tego listu według wskazówki udzielonej mi przez Shango zapłaciłem Mule 5 kopiejek.

Za chwilę opuściliśmy meczet, gdzie tak mile i przyjemnie noc przepędziłem.



ROZDZIAŁ XXXIX.

W hotelu chińskim. Jako angielski podróżnik. Rewizja żandarmerji. Shango ratuje z opresji. Przeprowa przez rzekę. Fajka pokoju.

Dziwiło mnie to i było dla mnie niewytłumaczonem, dlaczego opuściwszy meczet nie jedziemy prostą drogą, lecz skręciwszy zaraz na lewo posuwamy się wzdłuż muru otaczającego meczet a następnie wzdłuż nawpół rozwalonego muru, który zapewne otaczał miasto.

Zdziwienie jednak moje wnet ustąpiło, kiedy po chwili znaleźliśmy się odrazu na drodze już poza miastem. Wjechaliśmy znowu w pola i równinami posuwaliśmy się powoli naprzód.

Droga monotonna po równinach nie budziła żadnego zainteresowania, tembardziej dla mnie, który już trzeci dzień byłem w drodze kołowej po Mandzurji. — W dodatku jazda arba dała mi się już tak we znaki, że nie mogłem wysiedzieć na miejscu. Wszystkie kości mnie bolały, a najmniejszy podskok lub wpadnięcie w dół

arby sprawiało mi taki ból, że musiałem panować nad sobą, aby nie krzyknąć. — Istne tortury w więzieniu, metr wysokiem, metr długiem, a nie cały metr szerokiem.

W końcu około południa wjechaliśmy znowu na drogę, — szeroką tak do 30 metrów, prawdziwy chiński gościniec — na którym jednak trudno było znaleźć suche miejsce dobre do przejazdu, tyle bowiem było kałuż i wyboi. Naraz na drodze tej z przeciwnej strony zobaczyłem arbę chińską zaprzęzoną tak samo jak nasza w siedm koni i wlokącą się tak samo jak my powoli. Byli to pierwsi podróżni jakich od trzech dni w drodze spotkałem. — Nigdy ich w życiu nie widziałem, nie znałem ich zupełnie i z pewnością nie zobaczę, — a jednak widok tych ludzi, istot żyjących, w tych rozległych przestrzeniach i podczas monotonnej drogi sprawił mi prawdziwą radość.

Ciekawe było nasze wymijanie się w drodze. — Gościniec w tem miejscu był szeroki na 30 do 40 metrów, to znaczy, że jedna arba obok drugiej mogła swobodnie przejechać. Nie wystarczyło to widać jednak chińczykom, gdyż jeden i drugi woźnica zjechali zupełnie na brzeg drogi, tak że w chwili kiedyśmy się mijali było między arbami 20 lub więcej metrów odległości i wolnego miejsca.

Zaraz popołudniu zaczęło się chmurzyć i deszcz coraz większy zaczął padać. W tym mniej więcej czasie zaczęliśmy na nowo kołować polami i łąkami. Droga stawała się coraz cięższa, konie zmęczone nie chciały ciągnąć. Żadnej osady, żadnego życia widać nie było.

Gdzieś w przejeździe tylko widzieliśmy z daleka dwóch małych pastuszków chińskich, okrytych pelerynami zrofonymi ze słomy i w kołpakach ze słomy, chroniących ich przed deszczem, pasących bawoły. Była już może 7-ma wieczór a nigdzie śladu miasteczka, ani wogóle żywej duszy widać nie było. — Deszcz lał jak z cebra, mgła zalegała całą okolicę, tak, że na jakie sto do dwustu metrów nie widać nie było.

Teraz już nie jechaliśmy, ale wprost wlekliśmy się noga za nogą. Chcąc ulżyć koniom przewodnik i woźnica zeszli z wozu i szli piechotą. Za chwilę jeden i drugi kroczyli już po kolana w błocie i przemoczeni byli do nitki. Naraz usłyszałem głos przewodnika: miasto przed nami jest niedaleko. Rzeczywiście w jakiś czas potem wjechaliśmy przez bramę do miasteczka chińskiego i ulicą główną posuwaliśmy się do środka.

Byłem pewny, że tak jak w dniach poprzednich tak i dzisiaj zajedziemy do Muły, do którego miałem nawet list polecający. — To też nie mało zdziwiłem się, kiedy stanęliśmy przed jakimś domem chińskim, w którym równocześnie zniknął Shango. Kiedy powrócił za chwilę, kazał mi wysiąść i wejść do środka, twierdząc, że to jest hotel chiński, że właścicielem jest jego przyjaciel i że tu możemy zanocować spokojnie i bezpiecznie. Do Muły zaś zajeżdżać już nie możemy, ponieważ jest bardzo późno.

A co będzie — pytam się przewodnika, — jak przyjdą żandarmi?

„Wszystko będzie w porządku, — to jest mój przyjaciel, — on nas nie zdradzi“.

Nie było więc innej rady, jak tylko wejść do ho-

telu, chroniąc się temsamem przed ulewnym deszczem, który padał wciąż jeszcze.

W sieni gospody przywitał nas mały pucułowaty uśmiechnięty chińczyk — gospodarz zajazdu, kłaniając się nisko do ziemi. — Cały hotel składał się z sieni i sąsiadującej z nią długiej izby.

Po lewej i prawej stronie od wejścia wzdłuż ścian przez całą długość budynku ciągnęły się piece chińskie, na których już leżeli zupełnie porozbierani chińczycy, — goście hotelowi. — Było ich około 60-ciu po jednej i po drugiej stronie, tak że wszystkie prawie numera w tym hotelu były zajęte. Leżeli oni wszyscy nadzy zwrócenii nogami ku ścianie, głową zaś do środka izby i palili swoje cienkie, długie chińskie fajeczki. Tylko czarne skośne oczy świeciły się im w półmroku.

Izba była słabo oświetlona, papierową latarnią, wiszącą na środku pokoju. Kiedy wszedłem od środka wszystkie oczy zwróciły się na mnie. Widząc te dzikie twarze, podniecone użyciem opium, zawahałem się czy wejść dalej, czy się cofnąć. Nie byłem bowiem pewny, czy wyjdę stąd żywy i czy ta banda opryszków nie zamorduje mnie i nie obrabuje w nocy.

Ponieważ jednak przewodnik mnie uspokoił (a zresztą cóż miałem robić, cofnąć się, gdzie i dokąd?) zostałem i zacząłem się oglądać za miejscem do spania. — Najlepsze miejsce było w samym środku pieca, bo tam jest normalne ciepło, gorsze jest w kącie na końcu izby, bo tam bywa chłodno, najgorsze miejsce zaś jest w kącie izby przy drzwiach wehadowych, a więc na samym początku pieca, tam gdzie właśnie ogień się pali, gdyż żar i gorąco tutaj jest nie do wytrzymania.—

Dlatego też te miejsca na początku pieca są prawie zawsze wolne; nikt ich bowiem zajmować nie chce.

Nie obznajmiony z miejscowymi stosunkami i nie mając w tym kierunku doświadczenia zająłem spokojnie to wolne miejsce na początku pieca, zadowolony, że wogóle gdzieś mogę spocząć, i dostawszy prowianty z worka zacząłem spożywać wieczerzę.

Tymczasem właściciel hotelu zbliżył się do nas i kazał zameldować na liście gości hotelowych. — Na długim świstku papieru wypisał moje imię i nazwisko, skąd, gdzie, poco jadę. Po załatwieniu tych formalności, spożyciu kolacji rozebrałem się i podłożywszy swoje buty i całe ubranie pod głowę, z obawy przed niebudzącymi zaufania gośćmi hotelowymi — wyciągnąłem się jak długi i próbowałem usnąć.

Z początku zrobiło mi się ciepło i przyjemnie. Zadowolony byłem niewymownie, że po zimnie i całodziennym deszczu mogę się trochę rozgrzać. Ale niedługo trwała moja uciecha i radość, gdyż już w kilka minut później poczułem straszny żar i gorąco przypalające mi plecy. Przewróciłem się coprędzej na bok, ale i to nie na długo pomogło, gdyż wkrótce musiałem znowu zmienić pozycję. — Doszło w końcu do tego, że jak „perpetuum mobile“ zacząłem się przewracać z boku na plecy, z pleców na drugi bok i tak dalej w kółko bez przerwy. Gdzieś dopiero około północy, kiedy ogień przygasł trochę, zdrzemnąłem się nieco.

Przeszła już może północ, gdy nagle jakiś gwar i zamieszanie w izbie zbudziło mnie z pierwszego snu. — Leżąc na wznak, otworzyłem lekko prawe oko i z przerażeniem zobaczyłem w półmroku izby postacie żan-

darmów chińskich. — Było ich czterech, stali w długich, żółtych płaszczach gumowych z zarzuconymi kapturami na głowach a woda z nich ściekała ciurkiem. — Jeden z nich wysoki silny mężczyzna zwrócił się do gospodarza i krzyknawszy ostro, coś mu rozkazał.

Właściciel hotelu podbiegł w tej chwili i ugrzeczony, uśmiechnięty, unizony podał żandarmowi listę gości hotelowych. — Ten przeglądał ją szybko, następnie trzymając listę w prawej ręce, począł kontrolować jednego za drugim śpiących chińczyków w hotelu. Szedł wzdłuż pieca od drzwi wchodowych do przeciwległej ściany, kontrolując gości jednego za drugim przystając przy każdym i wypytując o nazwisko i cel podróży. — Naraz przy dziesiątym chińczyku zatrzymał się nieco dłużej, a po krótkiej indagacji przyaresztował go i oddał trzem innym żandarmom. To samo stało się z gościem z rzędu coś dwudziestym, oraz z dwoma innymi, którzy leżeli już po mojej stronie. — Czterech tylko chińczyków odgradzało mnie jeszcze od żandarma, który jakkolwiek powoli — przecież coraz więcej zbliżał się do mnie.

W swoim europejskim przebraniu w bieliźnie odbijałem od wszystkich innych chińczyków i żandarm dawno mnie już musiał zauważyć, ale udawał, że nie widzi i tylko kontrolą jest zajęty. — Trzeciego ode mnie chińczyka znowu żandarm przyaresztował, i już tylko dwóch gości dzieliło mnie od niego. Serce biło mi jak młotem, leżałem na wznak na rozpalonym piecu, który palił mnie strasznie swoim żarem, atoli nie drgnąłem nawet, udając ciągle że śpię, chrapiąc przytem zapamiętale. Prawe tylko oko, lekko odchylone zwró-

cone miałem stale w stronę żandarma obserwując go bez przerwy, każdy jego ruch, każde słowo, — choć tych słów nie rozumiałem.

Przewodnik mój zbudzony przez gospodarza hotelu siedział już chwilę na piecu i drzemał. Od czasu do czasu głowa opadała mu ciężko na piersi, lecz on ją znowu dźwigał i znowu za chwilę usypiał siedząco. — W tem żandarm zbliżył się do niego, uderzył go silnie kulakiem po ramieniu i zapytał o coś ostro po chińsku. Shango rozespany i przestraszony począł coś bełkotać pod nosem. Równocześnie zaś właściciel hotelu długo i szeroko począł opowiadać coś żandarmowi, śmiejąc się przytem i kłaniając bez przestanku.

Żandarm jednak obojętny na to wszystko zwrócił się poraz wtóry do mego przewodnika i głosem ostrym zadał krótkie pytanie. Rozespany Shango głosem niewyraźnym kiwając się co chwila jakby zasypiał tłumaczył coś żandarmowi. Naraz żandarm wskazał ręką na mnie a następnie na worek obok mnie leżący, krzyząc przytem zajadle. Shango jednak, który już widać przyszedł nieco do siebie wyciągnął ręce w stronę mego worka i począł żandarmowi coś opowiadać. Sprzeciali się jeszcze długą chwilę, a z całej tej ich rozmowy rozumiałem tylko jedno słowo: „anglik“.

Po chwili żandarmi odeszli zabrawszy ze sobą areztowanych, a kiedy drzwi za nimi się zamknęły, Shango w tej samej chwili skoczył szybko na ziemię. — Z całego jego zaspania ani śladu nie było, natomiast głosem pełnym zadowolenia i radości, począł szybko mówić do mnie po rosyjsku: wszystko dobrze, wszystko dobrze!

Pytam się: co jest dobrze i czy żandarmi tu więcej nie wrócą? Czy już zupełnie odeszli?

Shango odpowiada, że tak, poczem przedstawia całe zajście, jak i co było.

Kiedy żandarm zbliżył się do mnie, Shango powiedział mu że jestem podróżnikiem uczonym, który zwiedza meczety chińskie jeden za drugim, aby je następnie opisać w książkach. Że już jadę tak kilka tygodni i będę tak jechał aż do Pekinu.

Na to żandarm odpowiedział: kłamiesz przewrotny! To nie prawda wyście przemytnicy! Szwarzujecie opium do Chin! Czyj to worek, zapytał następnie? A gdy mu Shango odpowiedział że mój, dodał wskazując ręką na niego: Tam z pewnością jest opium!

Nie! — wyjaśniłem mu, — opowiadał dalej Shango, — tam są rzeczy podrózne, ale jeżeli twierdzisz, że my szwarzujemy opium, w tym worku, to szukaj go sam, aż go znajdziesz! — dodał Shango — wyciągając obydwie ręce w stronę worka. To jest Anglik — zakończył Shango, on opium nie lubi.

Słowo Anglik, tak podziało na żandarma, że od razu zbił się z tropu. Zapytał się jeszcze, czy u was jest paszport, — poczem, jak widzieliście sami, zabrał się i poszedł. Anglik, to wielki pan, — kończył z namaszczaniem Shango, — jego się wszyscy tutaj boją!

Tu muszę wyjaśnić, że miałem w tym czasie paszport angielski wystawiony w porządku na jakiegoś obywatela z Tientsinu, poddanego angielskiego. — Słowa wtenczas jeszcze po angielsku nie umiałem. Gdyby więc żandarm był mnie przyaresztował i odstawił do mandaryna, który z pewnością mówił po angielsku, byłbym

ładnie wyglądał, gdyż miałem przy sobie jeszcze drugi paszport angielski, swój własny rosyjski, a nadto poświadczenie rosyjskie zameldowania się w Charbinie, co wszystko dla wszelkiej pewności zabrałem ze sobą.

Teraz dopiero zrozumiałem całe zachowanie się Shanga, który przed żandarmerją udawał zaspanego i nieprzytomnego, aby się jej pozbyć jak najprędzej.

Po odejściu żandarmów zasnąłem smacznie: a kiedy się znów obudziłem było już dosyć późno rano. Wyszedłem na podwórze. Niebo ze wszystkich stron zaciągnięte ciężkimi, ołowianymi chmurami. Deszcz jeszcze ciągle lał jak z cebra, a konie, które całą noc stały na deszczu trzęsły się od zimna. Arba zaś była nawskróś przemoczona.

Pytam się przewodnika: co będziemy robić, czy poczekamy aż deszcz ustanie, czy też jedziemy dalej?

Musimy zaraz odjeżdżać, nie ma innej rady — odpowiada Shango, aby wieczorem stanąć znowu w meczecie. Trzeba zaraz jechać, gdyż droga będzie ciężką, i za dnia jeszcze musimy przybyć do Muły, gdyż w hotelu jak się dziś okazało nocować niebezpiecznie.

Zaraz więc po śniadaniu ruszyliśmy w dalszą drogę. Za chwilę byliśmy przemoczeni do nitki. Droga poprostu straszna, jazda nie do zniesienia. Arba w kałużach i wybojach zapadała się co chwila i rzucała na wszystkie strony. Tortury prawdziwe. Liczyłem dni odbytej już drogi, jak również drogi, która jeszcze była przedemną, jak dni aresztu. — Atoli znoszę wszystko chętnie i cierpliwie, w nadziei rychłego już wyzwolenia.

Zwolna deszcz zaczyna ustawać, niebo wyjaśniać, a niedługo potem od czasu do czasu słońce wyjrzało

radośnie przez poszarpane chmury. Na horyzoncie przed nami widać pasma gór.

Okolo 11-tej nad ranem stanęliśmy nad jakąś rzeką, przez którą mieliśmy się przepawić na drugi brzeg. Wechodzimy na prom składający się z dwóch szerokich łodzi, złączonych deskami. Długimi żerdziami przewoźnicy popychają prom ten po wodzie.

Kiedyśmy się znaleźli na promie, jakaś gorączka pchała mnie naprzód i chciałem aby w tej chwili odbito od brzegu, byśmy zaraz ruszyli naprzód i co prędzej dostali się na drugą stronę. Tymczasem przewoźnicy ani myśleli o odjeździe. Czekali spokojnie, aż ci wszyscy których zdaleka było jeszcze widać, a którzy powoli zmierzali do promu dojdą i usiądą obok nich.

Ostatecznie zeszli się wszyscy i byłem pewny, że teraz ruszymy, gdy naraz pokazał się na wzgórzu jeszcze jeden chińczyk na koniu, jadący truchtem w naszą stronę. Przyjechał aż na sam brzeg rzeki, lecz dalej ani rusz koń nie chciał postąpić naprzód. Co dotknął wody, zawracał z kopyta.

Pokazało się później, że koń był ślepy na oba oczy i bał się wody. W końcu podprowadzono konia z trudem aż pod sam prom, a ponieważ z wody na prom wyskoczyć nie mógł więc zaczęto go nań ładować. Był to sposób bardzo prosty, ale zarazem iście barbarzyński. Do obu przednich nóg nad kopytami przywiązano koniowi postronki, za które stojący na promie chińczycy ciągnęli z całej siły konia na pomost. Równocześnie właściciel konia z dwoma innymi wolontarjuszami bili konia z tyłu i zachęcali do pójścia naprzód. Biedne ślepe zwierzę i tak już przestraszone obecnością wody,

jak również krzykami wpadło w formalny szal przestachu. Ciągnione z przodu postronkami za obie nogi, a bite z tyłu bez miłosierdzia zaczęło się rzucać w szalonych podskokach na wszystkie strony, — w końcu przewróciło się na wznak, pociągając do wody chińczyków którzy go ciągnęli linami do góry i mimo wszystko, postronków z rąk wypuścić nie chcieli.

Powstał szalony śmiech na promie, a za chwilę zabrano się na nowo do operacji. — W końcu konia wciągnięto na prom, ale tak pokaleczonego, że cały krwią ociekał.

Ostatecznie odbiliśmy od brzegu. Szeroka żółta rzeka płynęła powoli. Odległość brzegu jednego od drugiego wynosiła 400 do 500 metrów, pęd wody jednak był zupełnie wolny. Popychając długimi żerdziami prom, nawołując się głośnymi wykrzyknikami i, i-i-o-o, przewoźnicy posuwali wolno prom naprzód.

Dojechaliśmy prawie do środka rzeki, gdy nagle, wskutek tego, że żerdzie były za krótkie i dostać dna prawie nie mogły, pęd wody zaczął nas coraz bardziej unosić. Widać było zdaleka, że od tego miejsca, gdzieśmy mieli wylądować woda zniosła nas w dół rzeki na jakie 300 metrów. — Krzyk na promie i przestach chińczyków zwiększał się coraz bardziej, — zwłaszcza, że dna żerdziami w żaden sposób dostać nie było można i zanosilo się na to, że popłyniemy spokojnie z biegiem rzeki. Dopiero przy pomocy steru który na gwałt założono poczęliśmy się zbliżać powoli do brzegu, a gdyśmy doń dobili, podciągnięto nas przy pomocy liny rzuconej na brzeg do miejsca wylądowania.

Wyskoczyłem szybko i z zadowoleniem spoglądną-

łem na brzeg przeciwny. Był on daleko! Zdawało mi się w tej chwili, że za tą rzeką jestem o wiele bezpieczniejszy.

Ruszyliśmy dalej.

Około południa trzeba było stanąć, aby popaść konie i samym cokolwiek się posilić. Nigdzie jednak w pobliżu nie widać było żadnego domu, żadnej osady ludzkiej, wobec czego jedziemy ciągle naprzód. — Dopiero około pierwszej popołudniu zobaczyliśmy daleko przed sobą jakieś domki chińskie, a gdyśmy ku nim podjechali bliżej, przekonaliśmy się, po wystawionych przed nimi długich czerwonych tabliczkach, że są to domy zajezdne.

Przewodnik jednak nie chciał wstąpić zaraz do pierwszego z nich, lecz musieliśmy jechać dalej, gdyż jak twierdził, był tam jego znajomy.

Zajazdy chińskie poznaje się potem, że przed domem wiszą na drążku zawieszzone na sznurkach tablice czerwone okrągłe lub podłużne z napisami chińskimi. Jeżeli tabliczki są okrągłe, to znak, że w tym domu można tylko odpocząć, jeżeli zaś przed domem wiszą tablice podłużne, to można tam popaść konie i napić się herbaty. — Jedzenia zaś ani tu ani tam dostać nie można.

Dom taki zajezdny składa się ze czterech ścian, z których trzy zwykle budowane są z gliny, zaś czwartą ścianę tworzą okna składające się z drobnych okienek, zalepionych białym papierem. — W zimie zaś, aby było cieplej zalepiają chińczycy okna te jeszcze drugim arkuszem papieru. — Ramy te można podnosić do góry na zewnątrz, wskutek czego robi się w pokoju o wiele widniej.

Sufitu zupełnie niema. To też dach sklecony z krokwi i przykryty słomą widać bardzo dobrze. — Izby te są obszerne, duże, a ponieważ nie ma powały, nie są tak przygniatające, jak nasze wiejskie chałupy. — Nawet obcy czuje się tutaj zupełnie swobodnie.

Po lewej i prawej stronie od drzwi wchodowych ciągną się wzdłuż obu ścian przez całą długość izby piece chińskie. — W sieni domu tego po jednej i drugiej stronie drzwi wchodowych znajdują się dwa duże kotły, w których stale gotuje się woda. — Otóż płomień z pod tych kotłów wpada wprost do pieców ciągnących się wzdłuż całej izby. — Na końcu pieca, ale już na zewnątrz domu znajduje się komin. — Jak mi opowiadano, w piecach tych pali się ogień całą zimę bez przerwy.

Jeżeli chińczyk rozpali ogień w piecu na przykład w październiku, to ogień ten tli się bez przerwy aż do maja. — Możliwem to zaś jest tylko dlatego, że w piecach tych palą węglem specjalnie na ten cel przyrządzonym. Węgiel ten robi się z kału zwierzęcego po największej części wielbłądziego, zmieszanego z węglem proszkowanym. Z mieszaniny tej robią chińczycy gałki, które następnie sprzedają po sklepach.

Na środku izby stoi często mały piecyk, wystawiony z kamieni lub gliny. — Na górze tego pieca znajduje się zagłębienie, w którym stale żarzą się węgle. — Dwie sztabki żelazne umocowane na poprzek tego ogniska służą do ustawiania na nich blaszanych czajników na wodę. Czajnik taki wskutek tego, że na piecu palą chińczycy badyłami lub patykami jest zupełnie zakopcony i z pierwszego wyglądu nawet odrażający. —

Dopiero kiedy gospodarz domu zacznie z takiego dużego okopconego i czarnego jak smok czajnika nalewać czyściutką jak lza wodę, — nabiera się prawdziwego apetytu na szklanę herbaty.

W takim to domu zajezdny stanęliśmy wtenczas.

Zsiadłszy z wozu, weszliśmy zaraz do środka. Ja zmęczony rzuciłem się na twardy piec chiński. Równocześnie Shango przyniósł mi worek z prowiantami, rozłożył to wszystko obok mnie i wziął się do przyrządzenia herbaty.

Byłem tak wyczerpany, że prawdę powiedziawszy o posiłku na razie zupełnie nie myślałem. Twardy piec chiński zasłany tylko cienko plecioną matą z trzciny wydawał mi się miękkim, wygodnym łóżem.

Kończyliśmy posiłek, kiedy do izby weszło kilku starych chińczyków, a z nimi stara chinka. Usiadłszy na drugim piecu naprzeciw mnie i paląc swe długie cienkie chińskie fajeczki, — patrzyli na mnie ogłupiałym bezmyślnym wzrokiem, z tym apatycznym wyrazem twarzy, obojętnym na wszystko, a budzącym wstręt i odrazę. Tylko we wzroku chinki malowało się więcej życia, zainteresowania i ciekawości.

Ona też w końcu zwróciwszy się do przewodnika i wskazawszy bez żenady ręką na mnie poczęła się go o mnie wypytywać. — Shango dawał jej jakieś wyjaśnienia, w końcu chinka śmiejąc się, pokazując przytem swoje żółte zęby, wyjęła z ust oślinioną fajkę i wręczywszy ją przewodnikowi kazała mi ją podać.

Struchlałem obserwując to wszystko, a im więcej fajka zbliżała się do mnie, tem bardziej oczy moje rozszerzały się z przestraczem. — Wziąć to świństwo do

ust swoich, była to nie lada odwaga cywilna. Nie wziąć zaś i odmówić wypalenia fajki pokoju znaczyło to samo, co obrazić ciężko częstujących.

Nie było jednak innej rady. Wstałem więc i kłaniając się trzy razy chiniec, wymówiłem po chińsku „dosije“ (dziękuję) — pierwsze słowo chińskie, którego się już po drodze nauczyłem — wycierając równocześnie za sobą ustnik fajki o koniec surduta. Kiedy pociągnąłem dym z fajki wymówiłem słowo: dobre, choć w rzeczywistości tak nie było, poczem co prędzej oddałem fajkę z powrotem.

Niedługo potem ruszyliśmy dalej, a wieczorem poczeliśmy się zbliżać do jakiegoś miasta chińskiego. — Przy bramie sztyldwach zapytał nas kto jesteśmy i dokąd jedziemy. Ale furman frant nie lada udając niby, że się spieszy, a niby, że nie rozumie, odwrócił się tylko rozdziawił gębę szeroko pytając głośno: co, co? — a równocześnie batem przeciągnął wszystkie konie, tak, że z miejsca ruszyły ostro.

Długa, szeroka ulica prowadziła do środka miasta, wzdłuż której biegły ładne domy chińskie a w nich sklepy z rozmaitemi towarami.

Niedługo potem stanaliśmy u Muły, a przenocowawszy ruszyliśmy wczesnym rankiem dalej.



ROZDZIAŁ XL.

Kłopot z woźnicą. Koniec drogi kołowej.

Ładny, pogodny poranek majowy towarzyszył nam przy wyjeździe z miasta. Przez noc podeszło już zupełnie, tak, że prawie samymi suchymi drogami polnemi posuwaliśmy się naprzód. — Do okoła ciągną się równiny, a tylko na horyzoncie na wschodzie widać pasmo gór wysokich.

Okolo południa stanęliśmy w zajeździe. Był to duży budynek chiński z zabudowaniami gospodarczymi, otoczony płotem dookoła. — W środku podwórca były zagrody, gdzie trzymano czarne chińskie świnie. — Ciekawa rzecz. Świń tych, jak mi opowiadał Shango, chińczycy nie karmią zupełnie, a żywią się one same tylko korzeniami, jakie wyryją z ziemi, a nawet samą ziemią. — Zdawałoby się to niemożliwem, a jednak musi być prawdą, gdyż brzuchy tych zwierząt są tak wielkie, że wiszą im formalnie do ziemi.

Jedziemy dalej. Po drodze spotykamy od czasu do czasu pastuszków chińskich, mających na sobie za cały strój pelerynki robione ze słomy. — Na głowie zaś słomiane kapelusze w formie grzybków.

Było już dobrze popołudniu kiedy zajechaliśmy do jakiegoś miasteczka chińskiego. — Tu mieliśmy dłużej odpocząć i popaść konie. — Jak zawsze tak i tutaj Shango oglądnał kilka domów zajezdnych, zanim w końcu zajechaliśmy znowu do jakiegoś znajomego. — Ruch na ulicy był wielki, gdyż był to dzień jarmarczny. Wszedłszy do środka zajęliśmy się jak zwykle sporządzeniem posiłku, podczas gdy furman zajechał na podwórze i karmił tam konie.

Po krótkim odpoczynku Shango dał mi znać, że jedziemy dalej, poczem obaj wyszliśmy na podwórze. — Tu jednak zauważyłem, że furman zupełnie się nie spieszył z zaprzęgiem, a nadto na uwagę Shanga, żeby się prędzej ruszał, począł się z nim przemawiać, a nawet ostro klócić.

Naraz podchodzi Shango do mnie i powiada że furman nie chce dalej jechać, ponieważ na ostatnim całodziennym deszczu przemókł zupełnie, przeziębił się i rochorował. Ma gorączkę i dreszcze. Nie pojedzie dalej, gdyż musi się położyć i basta.

Stałem odrazu wobec przykłej sytuacji. Jeszcze jeden dzień drogi przegradzał mnie tylko od stacji kolejowej, a tu furman dalej jechać nie chce. — Shango mówi, że trzeba szukać nowej arby, lecz to potrwa długo. — Mówię mu na to, aby obiecał furmanowi rubla, jeżeli pojedzie dalej, ale chytry chińczyk wyśmiał

się z tego i kazał mi powiedzieć: „że jak umrze, to mu i rubla nie potrzeba“.

Ostatecznie po pertraktacjach zgodził się na to, że dziś jeszcze popołudniu pojedzie z nami i odwiezie nas do miasta następnego, ale jutro musimy sobie kogo innego poszukać. Zgodziłem się na to chętnie.

Prawdę powiedziawszy, nie dziwiłem się furmanowi zupełnie, że się rozchorował; całą bowiem drogę, którą z nami dotychczas przejechał, żywił się tylko herbatą i jarzynami chińskimi. — Ryby nawet jeść nie chciał. A przecież większą część drogi odbył piechotą boso, wśród ulewnego deszczu, a czasem w błocie po kolana. Nieraz chciałem mu ofiarować kawałek wędzonej ryby lub białego chleba, który zabrałem ze sobą z Charbina. — Odmawiał zawsze. Ryby jeść mu nie wolno, bo zakon zakazuje, chleba wziął odrobinę, a resztę oddał. — Wypijał zawsze tylko swoją herbatę i zjadał kilka szczypt chińskich jarzyn, i to stanowiło cały jego posiłek.

Okolo 5-tej popołudniu zobaczyliśmy zdaleka duże miasto chińskie, a niedługo potem, znaleźliśmy się w jego murach. Przez długą, szeroką, główną ulicę, zajechaliśmy wprost do Muły. Wszedłszy do środka zauważyłem wielki ruch na podwórzu, masę chińczyków kręciło się tu i tam, co mi się odrazu nie podobało.

Kiedy zaś zostałem zaproszony na audyencję do Muły, nie zostałem przyjęty jak poprzednio w najściślejszem kółku zaufanych dostojników, lecz przeciwnie w obecności tych wszystkich gapiów, którzy widząc mój przyjazd zaciekawieni zeszli się na podwórzu.

Dostałem się też odrazu w ogień krzyżowych pytań, zadawanych mi ze wszystkich stron, tak, że bojąc się, aby z tego wszystkiego nie wynikła dla mnie jakaś nieprzyjemność lub niebezpieczeństwo, przeprosiłem Mułę, że jestem bardzo zmęczony drogą i muszę odejść na spoczynek.

Zadowolony byłem też niewymownie, kiedy następnego dnia rano opuściliśmy ten meczet i kiedy niedługo potem znaleźliśmy się znowu pomiędzy zielonemi polami rozległej Mandżurji.

Okolo 8-mej nad ranem dojechaliśmy do szerokiej rzeki, przez którą trzeba się było znowu przeprawiać. Jak zwykle w takich razach przejazd idzie bardzo powoli. W końcu ruszyliśmy od brzegu. Na środku rzeki zauważyliśmy duży statek, którego z powodu wysokich brzegów zrazu nie było widać. Zdziwiłem się, widząc tutaj parowiec tak daleko na wschodzie w środku Mandżurji, w kraju, o którego handlu i przemyśle, miałem wtenczas jeszcze wielkie wątpliwości.

Shango wyjaśnił mi jednak, że na tej rzece kursują jedynie statki, należące do Rosji. Wożą one pasażerów ze wschodu na zachód i naodwrot; że na każdym takim statku znajduje się wojsko i żandarmerja rosyjska. — Ta ostatnia wiadomość nie bardzo mnie ucieszyła.

Przeprawiwszy się na drugą stronę, ruszyliśmy różnym truchtem w dalszą drogę. Droga bowiem była równa, tak, że nawet arba nie trzęsła jak zwykle. Być może jednak, że jak do wszystkiego, tak samo i do niej w końcu się przyzwyczaiłem.

Okolo 10-tej rano dojechaliśmy do małego miaste-

czka, gdzie w jednym z zajazdów stanęliśmy na popas. Kiedy weszliśmy do środka gospody, Shango jak zwykle przygotował mi wszystko, a następnie wyszedł na miasto zasięgnąć języka. — Powróciwszy po godzinie oświadczył mi z zadowoleniem, że „maszyna“ odchodzi o 3-ciej godzinie popołudniu. Nie wiedząc jeszcze wtenczas, że ostatecznie dobiliśmy już do drogi kolejowej, pytam się: co za maszyna?

No, maszyna do Czańczunia, którą mamy jechać, ale pojedziemy dopiero o 3-ciej popołudniu, gdyż wcześniej nie ma pociągu.

Czas ten spędzony tylko na wyczekiwaniu dłużył mi się w nieskończoność. Do miasteczka wyjść nie mogłem; raz dlatego, że w dniu tym był targ, powtórze, że mogłem wpaść w jaką nieprzyjemność. W końcu o wpół do 3-ciej zabieramy manatki i idziemy na stację. Do odjazdu pociągu jeszcze daleko, przeszło 20 minut czasu.

Mała stacyjka chińska roiła się od chińczyków. — Obok stoi silna warta chińskich żołnierzy. Będąc sam jeden w europejskim ubraniu, odbijałem rażąco od tłumu chińczyków, którzy wszyscy na mnie zwracali uwagę. — To też co prędzej wyszedłem poza stację.

Tymczasem ruch na peronie zwiększał się z każdą chwilą. Podróżni, warta chińska, urzędnicy chińscy, pocztowi i kolejowi, wszystko to wyszło na peron. Jeszcze dzisiaj widzę chińskich urzędników, kolejowych i pocztowych jak w czarnych pantofelkach, białych spodniach, związanych u dołu i białych kamizelkach z rękawami stoją w drzwiach budynku stacyjnego.

W końcu z hukiem zajechał długi pociąg osobowy przed stację. — Dziwne uczucie owładnęło mną wten czas. Jakaś radość, jakaś uciecha przejmowała mnie całego na samą myśl i wspomnienie, że przecież przebyłem tę daleką drogę z Charbina, i pomimo niewygód i niebezpieczeństw, dostałem się szczęśliwie do stacji kolejowej a obecnie mogę znowu jechać dalej pociągiem.





ROZDZIAŁ XLI.

Znowu w pociągu. Czań-Czuń. U Muły. Ondu jeszcze nie ma.

Wsiedliśmy do wagonu 3-ciej klasy. Był to długi wóz czteroosiowy, do którego wchodziło się z boku przez szerokie drzwi w środku wagonu, tak jak u nas wchodzi się do wozu towarowego. — Wagon taki tworzy jedną dużą klasę bez żadnych przegród, a tylko wzdłuż wozu pod jedną i drugą ścianą biegną ławki, które można składać lub podnosić. — W górze nad ławkami znajdują się półki szerokie, na których składa się bagaże. — O wiele częściej jednak, zwłaszcza jeżeli wóz jest przepełniony, chińczycy składają swoje rzeczy na środku wagonu na podłodze i siadają obok nich.

Ponieważ w tym wozie nie było dla nas miejsca przeszliśmy do drugiego, który urządzony już był jak nasza trzecia klasa i posiadał wygodne ławki. Przejść z jednego wagonu do drugiego można było łatwo po

mostku, tem więcej, że drzwi wszystkich wagonów stale są otwarte, tak że z ostatniego wozu widać doskonale co się dzieje w pierwszym i na odwrót z pierwszego co się dzieje w ostatnim. W wagonach, gdzie są ławki znajdują się także osobne separátky na dwie lub cztery osoby, tak zwane damskie przedziały, w których jechały same chinki.

Podczas ruchu pociągu konduktorzy przechodzą od jednego wagonu do drugiego, a z nimi razem po kilku chińskich żołnierzy uzbrojonych w rewolwery.

W pierwszej chwili myślałem, że jest to żandarmerja i że na skutek jakiego telegramu z Charbina poszukują mnie. Później jednak objaśnił mnie Shango, że jest to zwykła służba bezpieczeństwa w pociągu. Warta chodzi z konduktorami dlatego, że w pociągach często znajdują się podróżni bez biletów, prości oszuści, którzy chcą jechać zadarmo lub też bandyci, którzy napadają podróżnych w pociągach ograbiają i mordują. — W każdym więc pociągu jest warta wojskowa, która pełni policyjną służbę bezpieczeństwa.

Pociąg był już w pełnym biegu, kiedy ocknąłem się ze swojej zadumy i powoli zorjentowałem się w nowej sytuacji. — Naokoło mnie siedzieli chińczycy, jeden siedząc tuż przy mnie nie ziemi łapał wszy w swoim starym zniszczonym ubraniu i spokojnie rzucał je na ziemię. — Jakiś chińczyk porządnie ubrany, pewnie jaki uczony, bo czytał gazetę przez okulary — zauważył to i spoglądnąwszy na mnie z pod oka zażenował się zachowaniem swego rodaka bardzo. Krzyknął więc coś na niego, pewnie chciał go zmiłygować, ale siedzący na ziemi chińczyk roześmiał się tylko głup-

kowato, pokazując przytem swoje brzydkie pożółkłe zęby i dalej robił swoje.

Pociąg tymczasem mknął szybko pomiędzy łanami zboża, wsiami, zatrzymując się krótko po stacjach. Naraz około 4-tej popołudniu zaczęło się chmurzyć. Niebo powlokło się ciemnymi chmurami, błyskawice szybko raz po raz rozdierały chmury, a grzmoty długo i przeciągle odzywały się w powietrzu. — Niedługo potem lunął deszcz jak z cebra i właśnie w tej samej chwili wysiedliśmy na stacji Czań-Czuń.

Ponieważ do Muły, do którego mieliśmy zajechać, było od stacji ze trzy kilometry, więc trzeba było wziąć dorożkę. — Jeden jedyny tylko fiaker był na stacji, a podróżnych wysiadło ze dwustu. Pędem więc podbiegamy do dorożki i za chwilę pędzimy już galopem do Muły. Wśród grzmotów, błyskawic i ulewnego deszczu zajechaliśmy przed bramę meczetu, mijając po drodze w przejeździe dom konsula rosyjskiego.

Silne wysokie bramy, otaczającego meczet muru są zamknięte, a na głośnie dobijanie się przewodnika odpowiadały tylko głuchem echem i milczały uparcie. Naraz otworzyło się małe okienko, i ukazała się głowa chińczyka. Kilka słów, umówiony znak przewodnika, podwoje bramy pękają od góry do dołu i otwierają się lekko wpuszczając nas do środka.

Przechodzimy trotuarem przez długi dziedziniec i zbliżamy się do zabudowań mieszkalnych. Na spotkanie wychodzi starszy poważny wysoki Muła i kłaniając się z uśmiechem, wita nas uprzejmie. Twarz jego sympatyczna i wesoło uśmiechnięta budzi odrazu zaufanie. Człowiek ten nie wyglądał nawet zupełnie na

chińczyka. Witam się z nim podając mu rękę i gładząc się trzykrotnie po brodzie na sposób mahometański, a następnie przykładając palce do ust wymawiam sakramentalne słowa: Salem Alejkum.

Muła wprowadza nas do środka. Znowu nowa audyencja i nowa niespodzianka. Muła bowiem mówi po arabsku; nowy pech i zmartwienie. Cieszy się, że jestem oficerem tureckim, że uciekłem z niewoli rosyjskiej i na wszelkie sposoby wymawiając słowa wolno, wyraźnie i dobitnie stara się ze mną porozumieć po arabsku.

Robię jak najprzyjemniejszą minę, a równocześnie truchleję, tak, że o mało, nie spadnę z krzesła, na którym siedzę. Teraz właśnie potrzeba, abym u ostatniego już Muły wpadł w kabałę i aby wyszło na jaw, kim jestem.

Ostatecznie audyencja kończy się, na której w kółko powtarzałem jakieś węgierskie słowa: „nem tudum, non kerem, harom“ i t.d., z których słowo: „harom“ najlepiej się Mułe spodobało i kazał je sobie ciągle powtarzać.

Zaprowadzono mnie następnie na drugą stronę do pustego pokoju, w którym było dojmujące zimno. Prawie wszystkie domy chińskie mają tylko jedną ścianę z oknami papierowymi, a ten jak na złość miał dwie takie ściany, a w dodatku połowę okien papierowych rozdartych.

Tymczasem czas szybko uchodził i nawet się nie spostrzegłem jak nadeszła godzina 7-ma wieczorem. — O tym czasie, w tym dniu, miał się zjawić u Muły Ondu, który miał tu przybyć za nami pociągiem. Rola bowiem pierwszego przewodnika Shango obecnie już się skoń-

czyła i miał on wracać z powrotem; Ondu zaś miał obecnie ruszyć ze mną do Pekinu.

Minęła godzina 8-ma i 9-ta wieczór, a wyczekiwany przez nas niecierpliwie Ondu zupełnie się nie pokazywał. Wszelkie zapytywania, czy nie był, czy nie będzie, kiedy się zjawi otrzymywały jedną i tą samą odpowiedź: „dotychczas go nie było“.

Stało więc na tem, że na razie trzeba iść spać, a nazajutrz rano będziemy dopiero radzić co dalej począć.



ROZDZIAŁ XLII.

Opuszczenie meczetu w nocy. Na stacji kolei japońskiej. Mukden. W pogoni za uciekającym pociągiem.

Od Charbina aż do Czań-Czunia miałem noclegi wprawdzie twarde, ale za to ciepłe i wygodne; tutaj zaś w Czań-Czuniu spanie zupełnie mi się ponętnie nie przedstawiało i nie wiedziałem sam jak się doń zabrać.

Jak już bowiem poprzednio wspomniałem, pokój w którym mnie ulokowano był duży, obszerny, zimny, z oknami papierowemi, których większa część była podarta. — Był to poprostu skład starych rupieci, gdzie nikt nie przychodził i nikt nie mieszkał. Ściany wilgotne, powietrze stęchłe. Zebrawszy jakieś białe koce ze sierści wielbłądziej, których cały stos leżał w kącie, położyłem się na nich, ale skoro tylko świt nastął przebudziłem się przemarznięty zupełnie. — Ulewa bowiem i szalona wichura podczas nocy nie ustawały ani na chwilę.

Tymczasem i drugi dzień przeszedł na próżnym i da-

remnem wyczekiwaniu przybycia Ondu, który ani nie pokazywał się, ani nie dawał nic znać o sobie. Nasuwało mi się mimowoli przypuszczenie; czy go co w drodze nie spotkało, czy przypadkiem nie wpadł gdzie w ręce żandarmerji lub policji?

Muła tylko od czasu do czasu zachodził do mego pokoju i uspokajał tłumacząc, że nie potrzebuję się niczego obawiać, że tutaj mogę pozostać nawet kilka dni, że nic mi złego nie grozi, że na razie jestem zupełnie bezpieczny.

Wszystko to ładnie wyglądało i wszystkie te zapewnienia przyjmowałem z grzecznym uśmiechem, ale niepokój mój wzrastał coraz bardziej. To też kiedy nadszedł wieczór, zniechęcony całodziennem nadarem-nem wyczekiwaniem, udałem się wcześniej na spoczynek, ciesząc się nadzieją, że przynajmniej dzisiaj wyśpię się za dzień wczorajszy.

Nie zważając więc na to, że koce nie trzepane od wieków za najmniejszym poruszeniem wydają tyle prochu ze siebie, że poprostu oddechać nie można, położyłem kilka z nich na ziemi, kilkoma innymi nakryłem się i niezadługo potem zasnąłem smacznie.

Byłem prawie w pierwszym śnie, gdy nagle silne dobijanie się do drzwi mojej sypialni zbudziło mnie ze snu. Przestraszony zerwałem się szybko i pytam przez zaryglowane odrzwia: kto tam, co się stało?

Wstawajcie zaraz, ubierajcie się szybko, nie ma chwili do stracenia — słyszę przez drzwi głos mojego poczciwego Shanga.

Nie mogąc się zaraz zorjentować pytam jeszcze: co to ma wszystko znaczyć? Dlaczego po nocy mam się

zbierać? i równocześnie zaniepokojony wpuszczam Shanga do pokoju.

Ten wyjaśnił mi krótko, że Ondu przybył, że fiaker czeka na nas przed meczetem, że musimy zaraz odjeżdżać, że lepiej jest zniknąć stąd w nocy, aniżeli we dnie, że każda chwila jest droga. Mam się jak najprędzej zebrać do drogi.

Wiadomość ta tak podziałała na mnie, że w kilku minutach byłem gotów. Pożegnałem Mułę i po chwili siedziałem już w zakrytym budą powozie, który z miejsca ruszył ostro.

Na moje zapytania, dokąd jedziemy, Shango zbywał mnie krótko dając znak ręką, że dorożkarz może co posłyszeć. Z powodu spóźnionej pory prawie wszystkie ulice były już puste i ciemne. Nie wiedziałem, gdzie i poco jedziemy. Shango jak na złość milczał uparcie. Różne myśli przychodziły mi do głowy i nawet taka, że kto wie, czy się wszystko u Muły nie wykryło, czy przypadkiem nie dowiedział się, że jestem chrześcijaninem i że teraz wiozą mnie w nocy co prędzej poza miasto na stracenie.

Wjechaliśmy w jakąś wąską ciemną uliczkę. Turkot kół po kamiennym bruku odbijał głucho w ciszy nocnej i targał jeszcze więcej moje nerwy. Naraz wjeżdżamy na szeroką, jasno oświetloną ulicę i stajemy przed dużym domem. Shango powiedziawszy krótko, że jest to hotel, w którym stoi „on“ wyskoczył szybko i zniknął zostawiając mnie samego w powozie. — Po długiej chwili powrócił, niosąc moją walizę, którą zostawiłem na stacji w Charbinie. — Uciekając bowiem stamtąd nie miałem już czasu jej zabrać, a przy-

tem bałem się pokazywać na stacji, ze względu na policję. — Rzeczy te—jakeśmy się umówili, — Ondu miał wykupić, a następnie przywieźć do Czań-Czunia.

Widok walizki ucieszył mnie bardzo i uspokoił od razu.

Następnie ruszyliśmy wprost na stację. Wsiadłszy z fiakra i wszedłszy do budynku stacyjnego zgłupiałem. Poczekalnia bowiem do której weszliśmy była olbrzymią, wysoką, jasno oświetloną. Zbity tłum ludzi dochodził kilku tysięcy. Posługacze japońscy kręcili się po stacji w swoich krótkich jakach, z dużymi znakami japońskimi wyszywanymi na plecach. — Odbierali oni od podróżnych walizki, kosze, kufry, zdawali na bagaż, wykrzykując przytem głośno.

W tym tłumie, w tym ruchu kolosalnym znalazłem się naraz sam jeden jak palec, gdyż Shango odszedł znowu, rzekomo aby kupić bilety.

Tak szybko to wszystko jedno po drugim następowało, tak szybko zostałem przeniesiony z ciemnego samotnego pokoju do jasnego kolosalnego budynku stacyjnego, z ciszy i spokoju w gwarliwy tłum ludzi, że byłem poprostu tem wszystkim oszołomiony.

Z jednej strony lęk i obawa, co się teraz ze mną stanie, z drugiej słaba nadzieja, że mam jechać dalej nie opuszczały mnie ani na chwilę. Stałem sam jeden jak głupi, nie wiedząc co począć. Jeden przewodnik zniknął rzekomo za biletami, drugiego zaś zupełnie jeszcze nie widziałem.

Po japończykach kręcących się tłumem po stacji oraz po japońskiej służbie kolejowej przyszedłem do przekonania, że linja kolejowa, która stąd prowadzi

jest japońska. Czy więc nie zanosi się na to, że przewodnik wsadzi mnie do pociągu, a co się później ze mną stanie to już nie będzie jego rzeczą. Równałoby się to prostemu wydaniu mnie w ręce japończyków.

Tymczasem drzwi na peron otwarto i tłum popłynął falą do pociągu. Coraz dalej fala ludzi oddalała się odemnie i powoli sam jeden zostałem w obszernej poczekalni stojąc niezdecydowany, nie wiedząc co począć ze sobą.

W tem zjawia się Shango i wręczając mi bilet szepcze po cichu: już idzie! — i w tej samej prawie chwili zobaczyłem jak ktoś przebiegł szybko przez poczekalnię minął w biegu peron wskoczył do wagonu i znikł w nim bez śladu. Poznałem go, był to on — Ondu, mój drugi przewodnik, który widać nie chciał się pokazywać na stacji i zbliżać się do mnie, aby się nie zdradzić.

Szybko porwałem za walizę, Shango podniósł mój worek i z bijącym sercem opuściwszy poczekalnię wsiałem do wagonu drugiej klasy.

Radość moja nie miała granic, kiedy znalazłem się w pociągu, ja obdarty zawałany, podobny raczej do bandyty, aniżeli pasażera II-giej klasy.

W wagonie byli sami japończycy, czysto, elegancko poubierani, jedni w kimonach, drudzy w strojach europejskich. Nie wiem, czy ludzie ci nie zauważyli różnicy między mojem ubraniem a ich czystą świeżą odzieżą, czy też tak dobrze byli wychowani, że nie dawali mi tego odczuć, dość na tem, że nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi. — Ja zaś zająłem skromnie, nieśmiało miejsce w kącie na kanapie przy oknie.

Wyglądnałem przez szybę i zobaczyłem jak Shango,

który stał naprzeciwko był cały wpatrzony we mnie.— W tej samej prawie chwili rozległ się głos dzwonka i pociąg ruszył powoli z miejsca. — Serce ścisnęło mi się z żalem. Wszak ja w tem zamieszaniu, w tym pośpiechu nawet nie podziękowałem mojemu dobroczyńcy, nawet nie uścisnąłem ręki na pożegnanie memu wybawcy, jakkolwiek on rzeczywiście wyprowadził mnie z domu niewoli i uratował mi może życie. Chciałem otworzyć okno, skoczyć do drzwi, ale już wszystko było zapóźno. Skinąłem tylko ręką na pożegnanie temu, którego może już nigdy w życiu więcej nie zobaczę.

Tymczasem pociąg posuwał się dalej, mijając wolno tych, którzy stali wzdłuż toru kolejowego. Jakieś japonki, które gromadnie odprowadzały swojego pana czy znajomego pochyliły się kornie naprzód, schylając się formalnie do ziemi. — Typowy obraz służalczej niewoli!

Za chwilę pociąg już był w pełnym biegu. Teraz dopiero zbliżył się do mnie Ondu, przywitał serdecznie i zamieniwszy kilka słów odszedł szybko odemnie. — Ujechaliśmy już kilka stacji, kiedy do wagonu wszedł konduktor kolejowy. Był to mały, szczuplutki młody japończyk, świeżo wygolony, w białym czystym, świeżym mundurku, zapinanym na złote guziki, w białej okrągłej czapeczce, w lakierkach i białych jedwabnych rękawiczkach. Istna laleczka prosto z pod igły!

Byłem pewny, że kiedy mnie zauważy w wagonie II. klasy, mnie obdartego i zawalanego z pewnością wyrzuci ztąd i każe mi się wynieść do innego wagonu, jakkolwiek miałem bilet II. kl. Tymczasem japończyk-konduktor, zbliżywszy się do mnie w tonie nadzwyczaj-

czaj uprzejmym i grzecznym uśmiechając się przytem przyjemnie, poprosił o bilet, przestemplował go i poszedł dalej, zwróciwszy tylko grzecznie uwagę, abym blisko drzwi nie siedział, gdyż może mnie kto potrącić.

Po odejściu konduktora zbliżył się do mnie Ondu i odezwał się krótko: na razie nie będziemy się ze sobą schodzić, tylko pojedziemy osobno zajmując zdaleka od siebie po przeciwnych stronach wagonu miejsca, a dopiero rano zejdziemy się razem. Poczem oddalił się.

Powoli zaczęło wszystko w pociągu zasypiać, chrapanie słychać było wokoło. Toteż nic dziwnego, że i ja kołysany miarowym, monotonnym ruchem pociągu, siedząc na wygodnej kanapce zasnąłem smacznie. A kiedy się przebudziłem była już godzina 7-ma rano. Dzień był pochmurny, gęsty, gruby deszcz bił zacięcie w okna wagonu. Ondu zbliżył się do mnie i przemówił z uśmiechem: za chwilę będziemy w Mukdenie. — Zbierzcie rzeczy zawczasu i trzymajcie się mnie potem zdaleka. Gdy pociąg tylko stanie na stacji w tej chwili wysiadamy. Rzeczy bierzemy sami, ja pójdę przodem, a wy za mną.

Prawie w tej samej chwili pociąg stanął przed peronem. Ruch jak zwykle stał się wielki, ścisk i natłok przy wysiadaniu utrudniał posuwanie się naprzód. Korzystając z tego wysiedliśmy szybko i niespostrzeżenie minęli bramę wyjściową obok budynku stacyjnego. — Deszcz lał jak z cebra, błoto, kałuża, chlapa po kolana. Bierzemy dorożkę i jedziemy do najbliższej stacji chińskiej, gdzie mamy wsiąść zaraz do pociągu odchodzącego do Pekinu.

Z dworca bowiem, na któryśmy przyjechali nie

można było dalej jechać, ponieważ ta linja kolejowa była japońska, — i dlatego musieliśmy się dostać do dworca chińskiego i tam wsiąść na pociąg należący do chińskiego Towarzystwa kolejowego.

Ostatecznie po półgodzinnej jeździe przybywamy na przystanek chiński. Widzę pociąg gotowy do odjazdu.

Tymczasem Ondu skoczył prędko kupić bilety, zostawiając mnie samego w dorożce. Czekam i łudzę się ciągle nadzieją, że lada moment Ondu nadbiegnie i że jeszcze w ostatniej chwili skoczymy do pociągu. Z rozpaczą jednak widzę, że konduktorzy zamykają powoli drzwi wagonów, i za chwilę pociąg zaczyna się wolno oddalać. W tej samej chwili nadbiega zdyszany Ondu, usprawiedliwia się, że musiał zmienić pieniądze na chińską monetę, że mu kasjer nie chciał sprzedać biletów, a kiedy ostatecznie pieniądze zmienił, kasjera więcej nie było.

Pyta więc woźnicy, czyby jeszcze tego pociągu nie można było dogonić? Woźnica widząc nasz pośpiech objaśnił, że jeżeli zaraz pojedziemy to przy jakimś tam przystanku, możemy pociąg dopędzić.

Ruszamy więc z miejsca z kopyta i pędzimy co koń wyskoczy. W końcu po szalonej półgodzinnej jeździe dopadamy upragnionej stacji i tylko tyle mieliśmy czasu, by kupić bilet i skoczyć do pociągu.

Wsiadliśmy do wagonu III-ciej klasy. Różnica między jazdą do Mukdena, a obecną, którą zacząłem w wagonie III. klasy była tak wielka, że nie chciałem nawet wierzyć, czy jadę pociągiem, czy też starym omnibusem lub tramwajem. — Przez dziurawy dach wagonu woda lała się ciurkiem wprost na pod-

różnych chińczyków, którzy jednak jak się zdaje przyzwyczajeni do podobnych podróży, nie zwracali na to zupełnie uwagi.

Nie wiem, czy kiedykolwiek nasi żydkowie galicyjscy byli w Chinach lub też czy chińczycy podróżowali kiedy kolejami galicyjskimi, dość na tem, że zgłupiałem zobaczywszy przekupniów chińskich przechodzących z wagonu do wagonu z kosztami naładowanemi gotowanemi jajami, bułkami, cukierkami, pomarańczami i innemi łakociami. Można było u nich dostać także gorącej herbaty.

Kiedy przekupień ku nam podszedł Ondu nabrał od niego kilkanaście jaj i schował do kieszeni. Usłyszawszy jednak cenę, widać za wysoką, zapytał chińczyka czemu tak drogo liczy? Ten odpowiedział mu coś arogancko.

Uniesiony złością Ondu, nie namyślając się długo, wytrzaskał chińczyka po twarzy, a następnie zaczął mu rzucać na głowę wszystkie zabrane jaja, co wywołało szaloną uciechę między chińczykami.

Ścierpnałem, obawiając się awantury, w którą łatwo mogła się wmieszać żandarmerja. Sam bowiem jeden w europejskiem ubraniu i tak już odbijałem bardzo od chińczyków.

Widać jednak, że w Chinach jest inny zwyczaj i prawo silnej pięści robi swoje, gdyż po chwili zauważyłem z zadowoleniem, że pomiędzy przekupniem a Ondu, doszło do porozumienia. Przewodnik zabrał jaja, chińczyk zaś wziął pieniądze i obaj rozeszli się w zgodzie.



ROZDZIAŁ XLIII.

W Pekinie.

Dalsza droga do Pekinu zeszła nam dosyć prędko. Cały czas jechałem pomiędzy samymi chińczykami, z których nikt się o mnie nie troszczył, żaden się mną nie zajmował. — Z początku tylko niepokoilo mnie pojawianie się od czasu do czasu w wagonie chińskich żołnierzy, którzy stale towarzyszyli konduktorom. Zawsze jak to mówię kto ma masło na głowie, boi się wschodzącego słońca. — Później jednak tak się do nich przyzwyczaiłem, że kiedy przypadkiem sam konduktor w wagonie się pokazał, zacząłem się w duchu oburzać na to, że warty przy nim nie ma. — Żołnierzy tych bowiem nauczyłem się już uważać za swoich stróżów bezpieczeństwa.

Tak zeszło nam dwa dni. Żywię się po drodze chińskimi rakami, gotowanemi kurami małowanemi na czerwono i pokostowanemi z wierzchu, tak, że zdaleka robiły wrażenie pysznie upieczonego drobiu. —

Niestety dopiero przy samym końcu drogi do Pekinu dowiedziałem się o całej tajemnicy i sztuce kucharskiej chińskiej. A było to tak:

Przyjechawszy na jakąś stację wyglądam przez okno i widzę chińczyka, który niesie na tacy gotowane płaskie raki. Kupiłem kilka sztuk lecz w tej samej chwili zauważyłem drugiego przekupnia niosącego na tacy pieczone jak się wtenczas jeszcze mnie zdawało kury. Krzyknąłem na niego, a kiedy się zbliżył, zauważyłem, że wygląd tego pieczonego drobiu jest nieświeży, i dlatego oświadczyłem chińczykowi, że nie kupię. — Ten jednak odezwał się, abym się nie martwił i że kury narobią zaraz świeżego wyglądu i będą znowu wyglądać jakby wyszły wprost z pieca. — Mówiąc to wziął z tacy pędzel, zamaczał w pokoście, pociągnął po kurach i o dziwo! kury nabrały tak pięknego rumianego połysku i świeżości, że robiły zupełnie wrażenie, jakby je co dopiero zdjęto z rożna.

Naturalnie doznałem uczucia tak nieprzyjemnego, że nietylko nowej kury nie kupiłem, ale byłbym chętnie wypłul wszystkie te, które już w drodze spożyłem.

Dojeżdżamy do jakiejś stacji; na prawo od nas ciągnie się wielkie jezioro, które wskutek opadów deszczowych i przyływu wody wezbrało, przerwało szkarpę kolejową, i przedostało się na drugą stronę zalewając okolicę położoną w nizinie na jakie siedm kilometrów w promieniu.

Nasyp kolejowy w tem miejscu poprawiali właśnie robotnicy chińscy. Było ich tylu, że wyglądali jak mrówki zgromadzone na kopcu. Posuwamy się po torze kolejowym, wzdłuż budowanego świeżo nasypu bar-

dzo powoli, tak, że z pociągu wyjść i na nowo wsiąść mógł nietylko mężczyzna, ale nawet kobieta starszka.

W ten sposób jedziemy przeszło 20 kilometrów. Obserwuję po drodze płócienne namioty chińskie tworzące całe obozy i osady zajętych przy budowie kulisów.

Widziałem w życiu nieraz większe gromady robotników skupionych razem, ale takiej masy ludzi pracujących obok siebie nie zdarzyło mi się nigdzie spotkać.

Na drugi dzień przyjeżdżamy do Tientsinu. Miasto kolosalne, a jednak czy to wskutek rannej pory, czy też wskutek przemęczenia nie zwróciłem na nie zgoła uwagi. — Zapomniałem nawet zupełnie, że w mieście tem jest konsul austriacki, do którego przecież tak gorąco w Charbinie dostać się pragnąłem.

Ruszamy dalej. Około godziny 8-mej rano zmienia się naraz krajobraz, znikają pola i szerokie łąny, którymi dotychczas jechaliśmy stale, a miejsce ich zajmują ogrody warzywne, których grządki, ładnie uprawione, zajmują moją uwagę. — Pomiedzy tymi ogrodami warzywnymi jedziemy przeszło godzinę. Wszystkie możliwe jarzyny można tu było zauważyć. Każda z nich z osobna jakby wypielegnowana, jakby wypieszczona z największą troskliwością. Małe z cienkich trzcin bambusowych piramidy, po których pięła się fasola, robią wrażenie prawdziwego cacka. — Widać ogrodników w niebieskich ubraniach, szerokich słomianych kapełuszach, o spalonem od słońca obliczu, jak szybko i z zajęciem polewają wodą grządki.

Naraz, ukazał się przed nami wysoki gruby szary mur. Jedziemy wzdłuż niego blisko kwadrans, wpa-

damy weń, przebijamy na wylot i po chwili jedziemy już wzdłuż muru po drugiej jego stronie. — Zdziwiony pytam się Ondu co to jest za mur, czy ten mur otacza Chiny? Nie — tłumaczy mi Ondu, — ten mur otacza Pekin i obecnie jedziemy już wzdłuż miasta.

Rzeczywiście widać już małe domy chińskie. Jest to przedmieście Pekinu. Zatrzymujemy się co parę minut na przystankach, na których całe gromady chinek i małych dzieci klęcząc na ziemi wyciągają błagalnie ręce w stronę pociągu i żebrzą przejezdnych o jałmużnę. Rzucam im z zadowoleniem przez okno parę drobnych monet, ostatni mój majątek — o które stare chinki, jak stado dzikich wilków, stacza ze sobą zaciętą walkę. — Nie żałują sobie przytem wyzwisk i szturchańców.

Chwila jeszcze i pociąg wpada z całym rozmachem i hukiem pod obszerny wysoki oszklony dworzec kolejowy i osadza się raptownie na miejscu, tak, że aż koła wagonów zgrzytnęły.

— Pekin, Pekin! słyhać głosy konduktorów.

Nie chcę uszom wierzyć, nie chcę wierzyć własnym oczom. — Czy to możliwe, czy to prawdziwe, czy to sen, czy rzeczywistość? Ten Pekin, o którym do niedawna jeszcze tylko marzyłem w Taszkencie, dziś jest przedemną. Stoję pod jego murami i za chwilę znajduję się w jego środku.

Tak rozmyślając biore swój marny worek podróżny, schodzę powoli ze stopni wagonu, staję na posadzce peronowej i prostuję z zadowoleniem ręce i nogi.



ROZDZIAŁ XLIV.

W poszukiwaniu ambasady austriackiej.

A więc jestem w Pekinie, — było pierwsze moje słowo, z którym odezwałem się do Ondu. Zaczęliśmy się ciekawie rozglądać po peronie, nie wiedząc w którą stronę się udać, a nie chcąc równocześnie pytaniami zwracać na siebie uwagi, że jesteśmy obcy.

Gromada chińskich kulisów rzuca się na nas, chcąc poprostu wyrwać nasze bagaże i odnieść do miasta. Nie ufamy im jednak. Probujemy ostrożnie dopytać się o ambasadę austriacką.

Jeszcze przed ucieczką z Taszkentu przeglądając w obozie starego Bedekera — którego jeden z oficerów przywiózł ze sobą z Przemyśla i studjując go dowiedziałem się, że wszystkie ambasady w Pekinie tworzą razem tak zwany kwadrat poselski, i że ambasada austriacka nazywa się po chińsku: „Augo-Fu“. — Chcąc objaśnić chińczyków dokąd chcemy się udać szukam w myśli tego słowa i formalnie z wysiłkiem probuję

go sobie przypomnieć. Lecz wszystko nadarmo, pamięć zawodzi i stoję bezradny.

W końcu jakiś stary chińczyk sam się ofiarował — jakby przeczuwając dokąd zmierzać chcemy, — zaprowadzić nas do „German“ to znaczy do Niemców.

Oddajemy mu walizę. Ja biorę swój worek i tak w końcu opuściwszy dworzec kolejowy, i przeszedłszy przez bramę „Water Gate“ wkroczyliśmy do Pekinu.

Wszedłszy do miasta przez „Water Gate“ oglądam się szukając dorożki lub automobilu, chcąc się jak najprędzej dostać do ambasady austriackiej. Lecz ani fiakra ani auta nigdzie w bliskości nie było. — Natomiast cały szereg riksza stoi rzędem na ulicy.

Tymczasem kulis z porwaną przemocą na peronie walizę, był już daleko przed nami i trzeba było szybko za nim podążać. — On zaś od czasu do czasu przystawał i ręką coś wskazywał, jakby chciał dać poznać, że ambasada niemiecka jest gdzieś w pobliżu. — Niedługo potem wchodzimy do jakiegoś wielkiego parku otoczonego wysokim murem, za którego bramą zobaczyłem stojącego na warcie hindusa. — Szybko jak strzała przeszło mi przez myśl, że przecież ani Niemcy ani Austriacy nie mają kolonii w Indjach, wskutek czego nie mogą hindusi pełnić warty przed ich ambasadą. Ze strachem więc oddalamy się co prędzej z tego miejsca, ja ścigany obawą, że mogę się znowu dostać w ręce nieprzyjaciela. — I dobrze się stało, gdyż jak się później dowiedziałem była to ambasada angielska. — I wystarczyło tylko, abym był przestąpił próg bramy i znalazł się na ziemi angielskiej — gdyż za taki kraj

uważana jest każda ambasada w Pekinie, — a byłbym znowu znalazł się w niewoli, tym razem już angielskiej.

Odpędzamy chińczyka od siebie i na własną rękę idziemy szukać w mieście poselstwa austriackiego.

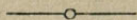
Tak idąc przed siebie nie mając pojęcia o wyglądzie miasta, będąc pierwszy raz w Pekinie, w stolicy państwa niebieskiego, liczącej około 3 milionów mieszkańców wyszliśmy na jakieś otwarte miejsce, położone jak nam się przynajmniej zdawało, zupełnie poza miastem. Nie wiedziałem bowiem i nie przypuszczałem nawet wtenczas, że jest to tylko wolne miejsce do zabaw i gry dla żołnierzy tworzących gardę poszczególnych ambasad w Pekinie.

Co kilka kroków spotykamy na ulicach silne wojskowe warty chińskie. Były to posterunki złożone z dwóch żołnierzy pełniących służbę z karabinami nałożonymi bagnetami. — Widok ich niepokoi nas jeszcze więcej, gdyż byliśmy pewni, że zatrzymają nas i zażądają wylegitymowania się.

Przypuszczając, że oddaliliśmy się niepotrzebnie daleko od centrum miasta wracamy z powrotem, — na to samo miejsce skąd przed godziną wyszliśmy i w końcu więcej przypadkowo, aniżeli przez poszukiwanie dostajemy się najpierw do ambasady niemieckiej, a stąd do austriackiej.

Wychodzimy na ulicę Maryi Teresy, gdzie spotykamy trzech marynarzy austriackich. Pytam ich czy daleko do posła austriackiego? Ot, tu zaraz parę kroków za rogiem ulicy — brzmi buńczuczna odpowiedź.

Za chwilę jesteśmy przy bramie, otwartej w tej chwili naościę. Przed bramą stoi na warcie marynarz. — Wchodzimy do środka i z tą chwilą dopiero, kiedy minąłem bramę poczułem się wreszcie bezpieczny i pewny siebie, czując, że obecnie nic złego stać się mi nie może. — Wszelkie trudy, niebezpieczeństwa, wszelkie niewygody miałem już za sobą.





ROZDZIAŁ XLV.

Pobył w Pekinie i kilka słów o nim.

Jeden z marynarzy zaprowadził mnie wprost do pałacu ambasady, która składała się z kilku will piętrowych. Największy budynek pośrodku był to pałac ambasadora, położony w wielkim parku, inne zaś mniejsze wille, rozrzucone w pewnych odstępach od siebie, mieściły w sobie kancelarje i pomieszkania urzędników.

Marynarz wprowadził mnie do małej willi, a następnie do dosyć skromnie urządzonej kancelarji. Pracował tam jakiś urzędnik niższej kategorji, przez biuro którego wszyscy mający interes w ambasadzie przejść i zameldować się musieli. — Urzędnik ten jak zwykle na świecie o małym wykształceniu, a wielkich aspiracjach, próbował mnie przyjąć troszkę z góry. I nic dziwnego. On czyściutko, świeżutko ubrany, w białym, wprost z pod żelazka ubraniu, patrząc na mnie obdartego, zawałanego i zabloconego po kolana uważał mnie z pewnością za coś niższego od siebie. Nie zwracałem

jednak wielkiej na niego uwagi i zażądałem, aby mnie wprost odprowadzono do ambasadora.

Ze zdziwieniem jednak dowiedziałem się, że ambasador chwilowo wyjechał z Pekinu, że wróci za kilka dni, a obecnie zastępuje go sekretarz, w którego kancelarji niedługo potem się znalazłem.

Przyjęcie i powitanie było nadzwyczaj serdeczne i gościnne. Na prośbę sekretarza, abym usiadł na kanapie, począłem się wymawiać, że jestem cały zawałany i że robactwo chodzi po mnie. — Nic to jednak nie pomogło, — musiałem zająć wskazane mi miejsce na ślicznej kanapie pluszowej, nie biorąc już odpowiedzialności za to, co po moim odejściu na niej dzieć się będzie.

Sekretarz wyjaśnił mi zaraz, że dalszy wyjazd z Pekinu do Ameryki będzie dosyć trudny, że będę musiał dłuższy czas poczekać tutaj. Raz dlatego, że okręty ze Shang-haju odchodzą tylko co pewien czas, że trzeba będzie odpowiedni okręt wyszukać, a powtóre i dlatego, że pięciu oficerów austriackich, którzy uciekli z pod Władystoku i przez Pekin w Shang-haju wsiedli na okręt, zostali wkrótce przez Anglików przyaresztowani, ściągnięci z pokładu i odwiezieni do Australji, gdzie ich internowano. — Trzeba więc będzie jakiś czas przeczekać.

Następnie przydzielił mnie do oddziału marynarzy austriackich, gdzie wliczony zostałem w poczet oficerów pełniących służbę przy ambasadzie.

Na tem, na razie rozstaliśmy się, a ja udałem się do oddziału marynarzy, gdzie już wiedziano o moim przybyciu. — Tutaj odrazu otrzymałem wszystko czego

mi brakowało i w kilkadziesiąt godzin później z obdar- tego zawałanego włóczęgi zamieniłem się odrazu w czy- stego, nowo od stóp do głów ubranego, świeżo ostrzy- zonego i ogolonego burżuja krakowskiego.

I tak przedewszystkiem otrzymałem bardzo ładne mieszkanie, dwóch chińczyków do obsługi, pensję za dwa miesiące ze wszystkimi dodatkami attaché woj- skowego, a nadto osobną okazałą sumę na sprawienie sobie ubrania, co wszystko razem wypłacone w dola- rach tworzyło sumę około półtrzecia tysiąca koron.

Kiedy po pierwszym obiedzie udałem się do swego pokoju, chińczyk boy oświadczył mi, że kąpiel jest już gotowa i że chińczycy krawcy, szewcy, cyrulicy i td. czekają już na mnie, aby odebrać zamówienia.

Rzeczywiście po kąpieli weszła ta cała falanga do mnie. — Z początku miałem wątpliwości, czy chiń- czyk wogóle potrafi zrobić europejskie ubranie lub choćby nawet buciki. — Oddałem im jednak obstalunki według wzorów, — których całe tomy przynieśli ze sobą — na ubranie, obuwie, bieliznę i td. A jeżeli na trzeci dzień rano wyszedłem z pokoju przebrany już zupełnie, formalnie jak lalka z pod igły, to właśnie tylko talentowi i zręczności chińskich rzemieślników to zawdzięczałem.

Kiedy na drugi dzień po przybyciu przebudziłem się rano, nie mogłem sobie zrazu zdać sprawy, gdzie się znajduję. — Czyste ściany jasnego, widnego pokoju, czysta pościel i miękkie łóżko, zdawały mi się chwi- lowo po przebudzeniu snem, a nie rzeczywistością.

Przeciągnąłem się w łóżku raz i drugi, przetarłem oczy, w końcu zeskokczyłem na ziemię i rzeżko pode-

szłem ku oknu. Widzę z pierwszego piętra na dole obszerny dziedziniec, a na nim ćwiczących się lub przechadzających marynarzy. Dzień od samego rana gorący. Po śniadaniu schodzę na podwórze, oglądam zabudowania i koszary marynarzy. Dowiedziawszy się zaś przy śniadaniu, że Pekin jest miastem neutralnem, po którym każdy europejczyk spokojnie, swobodnie może chodzić, że tutaj nie ma żadnego przymusu paszportowego, opuszczam koło 10 rano bramę ambasady i udaję się do miasta.

Skrećiwszy na lewo, na prawo wyszedłem na ulicę główną dzielnicy europejskiej, która tworzy niby osobne miasto w mieście Pekinie i odrębną całość dla siebie. — Główna ulica szeroka biegnie pomiędzy samymi ambasadami. — Dwa sznury drzew ciągną się po jednej i drugiej stronie. Jest tam kilka sklepów europejskich, po największej części niemieckich, jest kościół rzymsko-katolicki, francuski i kilka wspaniałe urządzonych hoteli angielskich.

Pierwszy raz będąc w mieście, które liczy około 3-ch milionów mieszkańców, pomiędzy ludźmi których języka nie znałem, z którymi nie mogłem się zupełnie porozumieć, szedłem ostrożnie i powoli naprzód, Mijam jedną ambasadę po drugiej, przechodząc w ten sposób obok poselstwa włoskiego, niemieckiego, belgijskiego, francuskiego, angielskiego, japońskiego, holenderskiego, rosyjskiego i amerykańskiego. Przy bramie wchodowej każdej ambasady stoją żołnierze danego państwa w czystych, świeżo odprasowanych żółtych lub też białych mundurach z nabitemi karabinami. — Prawdziwe lalki na pokaz.

I tak stali austriacy w białych mundurach marynarskich z niebieskimi kołnierzami i białych okrągłych czapczkach. Tak samo byli ubrani włosi.

Niemcy w żółtych mundurach i swoją wysoką, najwyższą na świecie „żółtą pikelhaubą“. Belgijczycy w białych mundurach i czapkach. Drobni francuzi w żółtych mundurach i kamaszach oraz żółtych hełmach.

Angielskiej ambasady strzegli hindusi w żółtych mundurach, czerwonych turbanach na głowie. — Jeden w drugiego chłop w chłopca wysoki, silny, barczysty. — Przytem każdy z nich nosi czarny zarost, który przy pomocy sznurka idącego od jednego ucha pod brodą do drugiego zwijają w czarny walek i tak stale brodę swą noszą. W służbie prezentują się oni ładnie, okazale i poważnie.

Japończycy — żołnierz niski, krępy, również w żółtych mundurach i kamaszach, w czapkach okrągłych z daszkiem i gwiazdą na czapce nad daszkiem. Stali na służbie przed bramą ambasady zawsze w pełnym rynsztunku z tornistrem wypakowanym na plecach.

Holendrzy w białych czystych mundurach i słomianych kapeluszach przepasanych wstążką. Szeroka kryza kapelusza podwinięta z fantazją do góry.

Przy rosyjskiej ambasadzie stali kozacy w swoich zielonkowatych mundurach. Widać z powodu upałów porzucali swoje nieodstępne „sapogi“ (buty) przywdziejając lekkie zgrabne kamaszki. — Przy boku szabla. Oni też jedni w całym Pekinie pełnili służbę bez karabinów.

Amerykanie w żółtych czystych zawsze świeżo od-

prasowanych mundurach, żółtych płóciennych kamaszach i filcowych kapeluszach.

Idąc powoli oglądałem to wszystko z zainteresowaniem.

Mijam obóz amerykański i wchodzę odrazu w dzielnicę czysto chińską. Na lewo wysoki mur otaczający Pekin z kolosalną bramą wjazdową i wysokim czteropiętrowym budynkiem nad nią. — Na prawo kolosalny budynek czerwony, będący bramą wjazdową do zabudowań tworzących pałac cesarski. Ruch na ulicy kolosalny. Od chińczyków w długich niebieskich lub białych ubraniach roi się formalnie. Tętno życia przyspieszone, każdy spieszy się i podąża szybko naprzód. Dziesiątki riksh w szybkim pędzie mija mnie co chwila. A jednak cicho i spokojnie jest tak na ulicy, jakby nawet nikogo nie było. Być może dlatego, że wszyscy chińczycy chodzą w lekkich pantofelkach, zaś biedniejsi boso.

Widzę to wszystko, oglądam ciekawie i wierzyć mi się poprostu nie chce, że jestem tu w Pekinie, w stolicy cesarstwa niebieskiego, że widzę te wysokie bramy chińskie, dziwaczne zabudowania, setki chińczyków, to wszystko, co dotychczas widziałem tylko na obrazkach lub fotografjach. — Sen to czy rzeczywistość — przychodzi mi ciągle na myśl.

Odruchowo skręcam na południe od obozu amerykańskiego i przez kolosalną bramę w murze, przedostaję się na szeroką ulicę w dzielnicy czysto chińskiej. — Dzielnica ta jest najbogatszą w Pekinie. Tu jest centrum przemysłu i handlu, tu są najbogatsze sklepy i składy, z najpiękniejszymi wyrobami jedwabnemi,

złotemi, srebrnemi i td. — Tu mieszczą się sklepy, gdzie sprzedają wspaniałe obrazy chińskie malowane ręcznie na jedwabiu, różne ubrania damskie i męskie, różne wyroby z brązu, miedzi, mosiądzu, kamieni i marmuru, drogocenne wyroby ze złota i srebra, kolosalne składy herbaty, jarzyn, owoców i td. — Ruch pieszy i kołowy jest tak kolosalny, że trzeba bardzo uważać, aby nie wpaść pod riksę, arbę chińską, lub powóz mandaryna. — Już nie dziesiątki, ale setki riks, których koła są na pneumatykach, przelatują jedno za drugim, szybko, cicho i spokojnie. — Natomiast z hukiem i ustawicznym dzwonieniem przejeżdżają powozy mandarynów.

Każdemu bowiem mandarynowi towarzyszy oprócz woźnicy jeszcze dwóch do trzech boyów. Jeden z nich siedzi na koźle obok woźnicy, dwaj inni stoją z tyłu na stopniach za powozem. — Boy siedzący na koźle pociska nogą przez cały czas jazdy, dzwonek sprężynowy, który automatycznie dzwoni bez przestanku. — Boye zaś stojący z tyłu mają obowiązek przy każdym skręcie, bramie, lub mostku, zeskoczyć ze stopni, chwycić konia przy dyszlu i przeprowadzić ostrożnie, bądź to przez krzyżową ulicę bądź przez zakręt, bramę lub mostek, aby jadącemu w powozie mandarynowi — broń Boże nie wydarzyło się jakie nieszczęście. — Siedzący zaś na koźle boy dzwonieniem bez przerwy robi tyle alarmu i hałasu, że nieraz europejczyk musi sobie uszy zatykać.

Chińczycy zaś lubują się w monotonnym hałasach, krzykach i dźwiękach.

Naprzykład w jadącym po mieście automobilu sie-

dzi stale obok szofera specjalny boy, który nie innego nie robi, tylko bez przerwy trąbi, doprowadzając do rozpaczcy przechodzących ulicą europejczyków.

Ponieważ już dochodziła 12-ta w południe, a o wpół do 1-szej rozpoczynał się obiad, przeto zawróciłem z drogi i wróciłem do ambasady. — Niedługo potem, dźwięczny metaliczny głos mosiężnego „Tam-tam“ rozległ się po korytarzach gmachu, w którym mieszkaliśmy. — To boy chodził po sieni i uderzając z wolna raz po raz pałeczką obciążoną irchą w mosiężny talerz dawał znać że obiad gotów. — Schodzimy się w jadalni i zajmujemy miejsca przy długim stole. — Dwóch smukłych chińczyków w niebieskich czystych długich ubraniach z długimi czarnymi warkoczami spadającymi im na plecy roznosi potrawy przy stole.

Z niemałym zdziwieniem obserwuję dużą jedwabną płachtę, zwisającą od powały w formie długiego prostokąta nad stołem, której celu lub zadania nie mogę sobie wytłumaczyć. W jadalni upał i gorąco nie do wytrzymania, choć drzwi w pokojach wszystkie na oścież otwarte.

Gospodarz stołu odzywa się wesoło: dziś bardzo gorąco, trzeba „funkę“ zaraz w ruch puścić. I rzeczywiście za chwilę rozwieszona nad stołem płachta jedwabna, czyli „funka“ pociągana za sznur przez kulisa w drugim pokoju zaczyna wolno wachlować w powietrzu, chłodząc nas miłym powiewem.

Funki takie znajdują się w każdym domu, pracowni, sklepie chińskim. — Poprostu kawałek rozpiętej materji zwisa na dwóch sznurach od powały. Od środka funki idzie sznur przez otwór ściany pod powałą do drugiego

pokoju, gdzie stale w dniach bardzo upalnych i gorących siedzi kulis i pociągając za sznur od funki, jak gdyby dzwonił sygnaturką, wprawia funkę w ruch i wywołuje lekki orzeźwiający wiew powietrza, chłodzący upał w pokoju.

Obiady stale jadalіśmy w jadalni, kolacje zaś na świeżem powietrzu w ogrodzie pod gołym niebem w otoczeniu drzew. Ponieważ zaś wieczorem moskity dokuczały nam bardzo, przeto paliliśmy stale na stole specjalnie przyrządzone świecek papierowe, które tłac się wolno, jak nasze trociczki wydawały przykry odór, mający odpędzać komary.

I tak odtąd zaczął się dla mnie kilkotygodniowy bez najmniejszej troski tryb życia, jakby wynagrodzenie za ciężkie przeżyte chwile.

Mając wszystko do dyspozycji, a nadto biorąc pobory, których nie mogłem wydać, posprawiałem sobie masę rzeczy, nie odmawiałem sobie niczego, oglądałem wszystko, co tylko było godne zwiedzenia, i kupowałem dużo pamiątek, ile razy tylko nadarzyła mi się sposobność.

Tymczasem Ondu, mój przyjaciel, siedział w oddziale u nas jak więzień.

Wprawdzie według naszej umowy miał on zaraz na drugi dzień po przybyciu do Pekinu wrócić z powrotem, ale ponieważ ambasadora austriackiego nie było chwilowo w Pekinie i miał dopiero za tydzień powrócić a bez niego nie można było wypłacić wynagrodzenia, przeto Ondu musiał czekać cierpliwie.

Ondu zaś nudził się i niecierpliwił nie na żarty. A choć miał wszystko, czego tylko zażądał i wszelkie

wygody, o jakich w domu z pewnością nawet nie marzył, to jednak był formalnie jak w więzieniu, gdyż krokiem nie wolno mu się było od oddziału marynarzy oddalić, by go w mieście nie zauważono i w drodze powrotnej nie przyaresztowano. — Anglicy lub Rosjanie mogli to bowiem bardzo łatwo zrobić. — To też Ondu z utęsknieniem oczekiwał dnia, w którym jego niewola się skończy.

To wyczekiwanie jednak opłaciło mu się sownie. Kiedy bowiem ambasador wrócił do Pekinu, na moje przedstawienie otrzymał Ondu, nie jak miał przyobiecane 500 rubli, lecz 500 dolarów chińskich, a nadto gartyfikację 100 dolarów chińskich, co wszystko razem wymienione zaraz w banku na ruble dało mu blisko 1000 rubli, a więc dwa razy tyle, ile miał przyobiecane. Chińskich pieniędzy nie chciał Ondu mieć przy sobie, aby w razie zetknięcia się z żandarmerją lub policją rosyjską nie wpaść w podejrzenie.

W końcu pożegnałem mego przyjaciela i dobroczyńcę, odprowadziłem go na kolej, przesłałem podziękowania i pozdrowienie dla pp. Suprynowiczów i Shanga i odprawiłem go z powrotem.

Dwa miesiące zabawiłem w Pekinie. — Czas ten wykorzystałem na zwiedzenie miasta i okolicy, oraz naukę języka angielskiego.

O ile tylko czas mi pozwolił wychodziłem zaraz z ambasady w każdej porze dnia i znikąłem w mieście zwiedzając wszystko dokładnie i wchłaniając formalnie w siebie to wszystko, co tylko raz w życiu miałem oglądać, aby potem tylko żyć wspomnieniem tych przeżyć i wrażeń.

Jednego z dni następnych wyruszyłem do miasta, a minawszy obóz amerykański znalazłem się znowu w dzielnicy czysto hadlowo chińskiej. Szeroka długa ulica prowadzi na południe. — Po jednej i drugiej stronie szeregi sklepów, w których sprzedają wyroby jedwabne, wyroby snycerskie, rymarskie, wyroby plecione z wikliny, różne antyki i td.

W odległości jakich dwustu kroków od początku tej ulicy skręca się na prawo i wchodzi się w uliczkę, gdzie znajdują się największe magazyny i sklepy materji jedwabnych, tudzież malowideł na jedwabiu. Z tych malowideł robią następnie obrazy, wachlarze, lampy, lampiony i inne rzeczy.

Tak we dnie jak i w nocy ulica ta wygląda bardzo ładnie i oryginalnie. — Sklepy bowiem chińskie nie mają napisów lub szyldów jak u nas, lecz przed każdym z nich wiszą deski dłuższe lub krótsze malowane na czerwono, ze złotymi napisami, reklamującymi towary w sklepie. — Deski te wiszące wzdłuż ulicy przed każdym sklepem robią wrażenie wielkich dekoracji, jakby festynu, lub wielkiego święta. — Kiedy zaś wieczorem między 7-mą a 8-mą wszystkie sklepy oraz cała ulica zostanie gęsto i rzęście oświetloną światłem elektrycznym, kiedy ruch rikszy zwiększy się poczwórnie, kiedy głos dzwonek przy rikszach odzywa się nieustannie, wtenczas ulica ta przedstawia się jeszcze wspanialej i z całą przyjemnością idzie się po niej piechotą lub jedzie rikszą, gubiąc się formalnie w tym wielkim zgielku, ścisku i zamieszaniu. Ruch zaś na tej ulicy zwłaszcza między 7-mą a 8-mą wieczorem jest tak wielki, że jadąc rikszą trzeba nieraz minutę, a na-

wet dłużej przeczekać, zanim fala ludzi i riks z przeciwnej strony przepłynie, aby można posunąć się naprzód.

Pomiędzy sklepami, które widziałem w Pekinie wiele z nich zwróciło moją uwagę, swoją bardzo ładnie i gustownie przystrojoną fasadą, czyli frontem. Otóż jak mi opowiadano: rząd chiński w Pekinie udzielał niektórym kupcom subwencji na upiększenie sklepów. Niektóre fronty sklepów są nawet złożone.

Pekin liczy około 3-ch milionów mieszkańców i dzieli się na dwie części: tak zwaną chińską i tatarską, które obie otoczone są wysokim murem, z tą jednak różnicą, że mur otaczający chińską część miasta jest o wiele wyższy i utrzymany jest w dobrym stanie.

Mur otaczający miasto jest wysoki na jedno piętro, szeroki zaś mniej więcej na 10 do 12 metrów. Wyłożony jest na górze płytami kamiennymi, tak, że cztery rzędy wozów może obok siebie zupełnie swobodnie przejechać i wyminąć się. — Co kilkaset kroków w murze znajdują się wysokie bramy wjazdowe, przy których stoją silne warty chińskie. Nad bramami tymi na murze wznoszą się wysokie budynki dwu do trzech piętrowe, które zdaleka wyglądają zupełnie, jakby osobno na murze wystawiona kamienica.

Budynki te względnie tak zwane w chińskiej gwarze bramy, są wewnątrz zupełnie puste, zaniedbane, zakurzone, gdyż nikt w nich nie mieszka i nikt ani o porządek wewnątrz ani też o same budynki się nie troszczy. W środku budynku nie ma żadnych przegród ani ubikacji, jestto jakby jedna wielka próżna stodoła. — Tylko stada jaskółek obecnie się tam gnieźdzą. — Nie-

które z tych budynków mają otwory tak zwane strzelnice, które przedtem służyły do celów obronnych, a dziś ułatwiają jaskółkom przystęp do środka.

Idąc po tym murze dookoła miasta krokiem wojskowym trzeba iść sześć i pół godziny, aby przyjść na to samo miejsce, z którego się wędrówkę rozpoczęło. I tak pewnego razu wyszedłszy o wpół do drugiej popołudniu z bramy, gdzie stoi warta amerykańska idąc po murze dookoła Pekinu przyszedłem na to samo miejsce o godzinie ósmej wieczorem.

Jak wspomniałem mur ten wyłożony jest na górze kamiennymi płytami, tak, że spacer po nim jest bardzo przyjemny i zupełnie nie męczący; ot jak po chodniku.

W tym czasie kiedy ja byłem w Pekinie, na murze stały dwie warty poselskie, a mianowicie austriacka i amerykańska. — Obie przy głównych bramach wjazdowych miały za cel w razie wybuchu zamieszek, napadów lub rozbojów, — co już nieraz miało miejsce jak naprzykład ostatni raz w roku 1912 — bronić dostępu bandom rozbójniczym do środka miasta. Właśnie w tym czasie, kiedy byłem w Pekinie (czerwiec 1916) zanosilo się znowu na takie rozruchy z powodu śmierci prezydenta Juanszikaja.

Między wartą austriacką a amerykańską, to jest na przestrzeni mniej więcej dwóch tysięcy kroków znajduje się na tym murze miejsce do spaceru dla europejczyków. — Około godziny 6-tej wieczorem schodzi się tutaj cały Pekin europejski, a więc oficerowie i urzędnicy wszystkich ambasad, wszyscy po cywilnemu i rozpoczyna się promenada, która trwa do późna wieczorem. — Tu więc jest zwykle codzienne miejsce spot-

kania, gdzie się wszyscy przedstawiciele poszczególnych państw codziennie schodzą dla towarzyskich rozmów. Oczywiście, w okresie wojny światowej było to niemożliwem i ci którzy w roku 1914 bywali wzajemnie u siebie i żyli ze sobą bardzo serdecznie, natychmiast po wybuchu wojny zerwali stosunki osobiste i przechodząc koło siebie udawali, że się nie widzą.

Było także i drugie miejsce, gdzie się ambasadorowie wszystkich państw reprezentowanych w Pekinie jak również i oficerowie przydzielonych im gwardji schodzili na konferencję w ważnych sprawach politycznych lub też lokalnych, mających na celu utrzymanie porządku i bezpieczeństwa w kwadracie poselskim w Pekinie i t.d. — Miejscem tym było chińskie ministerstwo spraw wewnętrznych. — Tutaj przedstawiciele poszczególnych państw podzieleni byli zwykle na dwie względnie trzy grupy. — Pierwszą grupę tworzyły: Austrija i Niemcy, jako państwa centralne; drugą: Anglja, Francja, Rosja, Japonja, Belgja, Włochy, jako państwa koalicyjne; trzecią: Ameryka, Meksyk i t.d. jako państwa neutralne.

Zwykle porządku tego przestrzegano bardzo ściśle, ale nieraz się zdarzało że chiński mistrz ceremonji zapomniiał o tem, że niektóre z państw neutralnych w międzyczasie wmieszało się już do wojny światowej i że miejsce jego w danej chwili jest już zupełnie gdzieindziej. — Było z tego powodu nieraz dużo śmiechu w Pekinie.

W normalnych czasach pokojowych przedstawiciele wszystkich państw w Pekinie zeszedłszy się na konferencję lokalną w ministerstwie chińskiem witali się ze

sobą grzecznie przez złożenie ukłonu i podanie ręki. Teraz podczas wojny zupełnie to ustało. Jedni tylko Japończycy witali się czasem z austriackimi oficerami od marynarki prócz ukłonu uściskiem ręki, ba, nawet pewnego razu mieli się wyrazić otwarcie: „my jesteśmy waszymi nieprzyjaciółmi tylko na papierze, ale w sercu jesteśmy zawsze „Deutschfreundlich“.

Zdawałoby się to z początku może troszkę przesadzone, lecz jak się później na okręcie przekonałem, japończycy byli dla Niemiec również i podczas wojny bardzo życzliwie usposobieni i takimi samymi zostaną z pewnością i po wojnie.

W rozmowie bowiem ze studentami japońskimi, którzy jechali dla kształcenia się do Ameryki, usłyszałem od nich takie zdanie: przed wojną jeździliśmy wszyscy kształcić się do Berlina; teraz podczas wojny musimy jechać do Ameryki, do Chicago, Bostonu i Nowego Yorku. Ale jak się tylko wojna skończy nadal będziemy się kształcić w Berlinie.

Na murze przy chodniku znajdują się wygodne ławki do siedzenia, a pośrodku między wartą amerykańską a austriacką, gdzie miejsce na murze jest nawet nieco szersze, raz na tydzień w czwartek o godzinie 9-tej wieczór odbywa się koncert chińskiej orkiestry wojskowej.

Grają oni na instrumentach dętych i trzeba im przyznać, że grają wcale dobrze. — Utwory europejskie takie jak *Wesoła Wdówka*, *Rach-ciach-ciach*, *Księżniczka Dolarów*, *Madame Butterfly* i tđ. wykonywali wcale udatnie, chociaż w niektórych miejscach nie wiem czy przypadkowo, czy według nut brali niektóre tony fałszywie. — Na koncert ten schodził się cały Pekin

europański i amerykański. Wszyscy w białych ubraniach, panie i panowie z odkrytymi głowami, bądź to spacerują po murze, bądź też siedzą na oparciu wzniesionem na brzegu muru.

I wtenczas siedzą grupami jedne narodowości przy drugich, bawiąc się doskonale i nie zwracając zupełnie uwagi na sąsiadów. Tworzy się prawdziwa wieża Babel. — Zdania angielskie, francuskie, włoskie, belgijskie, rosyjskie i niemieckie, japońskie, chińskie, latają w powietrzu, jak ogniste języki.

Niestety, polskiej mowy i polskiej reprezentacji nie spotkałem w Pekinie.

Prócz warty austriackiej i amerykańskiej, pełnią na murze chińskim przy każdej bramie służbę warty chińskie, których zadaniem jest również utrzymanie spokoju i bezpieczeństwa. — Prócz tego warty te mają uważać, aby nikt z chińczyków nie spacerował po murze. — Dostęp bowiem tym ostatnim jest tutaj surowo wzbroniony.

Po pierwszej mojej wycieczce do miasta zorjentowałem się dosyć szybko w dzielnicy ambasad. Zorjentowałem się również później bardzo prędko w dzielnicy handlowej, położonej na południe od ambasady amerykańskiej, atoli, jakkolwiek dwa miesiące przeżyłem w Pekinie, to jednak nigdy nie mogłem się zorjentować w dzielnicy tak zwanej mieszkaniowej.

W takiej czysto chińskiej dzielnicy, uliczki są bardzo wąskie, czasem cztery a czasem tylko trzy metry szerokie. Wzdłuż nich po jednej i drugiej stronie ciągnie się wysoki szary mur, ponad którym widnieją tylko dachy domów mieszkalnych, kryte szarą półokrą-

głą dachówką, wszystkie jednakie tej samej wysokości, tej samej wielkości i wszystkie dachy szare. Ponieważ zaś domy stoją bokiem a nie frontem do muru, względnie do ulicy, przeto przechodząc widzi się tylko po jednej i drugiej stronie trójkąty dachów wystających ponad murem.

W odległości kilkunastu czasem kilkudziesięciu kroków znajdują się w murze po jednej i drugiej stronie ulicy bramy wchodowe prowadzące do poszczególnych domów. Są one stale zamknięte. Gdy obcy chińczyk przybysz, chce się dostać do cudzego domu, przychodząc za interesem lub w odwiedzinę, natenczas wachlarzem uderza trzykrotnie delikatnie w bramę, poczem czeka pochyłony, na otwarcie drzwi i swoje przyjęcie. Po otwarciu bramy, tak otwierający jak również gość oddają sobie powitalny ukłon przez potrójne pochylenie się naprzód, robiąc przytem do siebie przyjemne, uśmiechnięte miny, mówiąc sobie grzeczne słówka, poczem dopiero gość wchodzi do środka.

Wogóle grzeczność chińczyków jest bardzo daleko posunięta. Ile razy bowiem czy to dwóch chińczyków znajomych, czy też europejczyk i chińczyk którzy się znają, spotka się na ulicy, to nigdy chińczyk przy pozdrowieniu nie przejdzie by nie przystanąć, nie złożyć głębokiego ukłonu, i nie uśmiechnąć się mile. Dopiero po tej całej ceremonii odchodzi dalej. — Grzeczność ta do tego stopnia jest przesadzoną, że jeżeli naprzykład spotka się na ulicy dwóch znajomych chińczyków woziwodów — niosących wodę na koromysłach na ramieniu, — to przystają zaraz na chodniku, składają naczynia z wodą na ziemi, wymieniają głębokie ukłony,

zamieniają pozdrowienie, śmiejąc się przytem głośno: ha, ha, ha, poczem dopiero odchodzą w swoją stronę.

Dom chiński jest bardzo skromnie urządzony. Nadmieniam jednak równocześnie, że w miarę zamożności gospodarzy budowane bywają i upiększane domy i mieszkania. Urządzenie jednak każdego domu w zarysach głównych przedstawia się jak następuje: wewnątrz wysokiego muru znajduje się dom mieszkalny, a przed nim niewielkie podwórze zwykle wyłożone taflami kamiennymi. Na środku podwórza na wprost bramy wchodowej znajduje się rodzaj parawanu zbudowanego z gliny, który dzieli podwórze na dwie części. — Koło tego parawanu znajduje się kilka większych kamieni obok nich kilka wazonów z kwitnącemi malwami i kilka misek glinianych lub szklanych napełnionych wodą, w których pływają złote rybki.

Tak mniej więcej w ogólnych zarysach wygląda podwórze każdego zwykłego domu chińskiego.

Jeżeli chińczyk jest bogaty, w takim razie oprócz dużego podwórza ma jeszcze mniejszy lub większy ogród, w którym z kamieni, względnie ze skał ułożone są jakby jaskinie, przejścia tunelowe, urwiska, tak, że wszystko razem tworzy jakąś jakby dziką skalistą okolicę, ze ścieżkami po skałach i górach. Obok stoi altana, dalej w ogrodzie są klomby z kwiatami, stawek ze złotemi rybkami na środku którego nierzadko znajduje się wodotrysk. — Tak samo w konturach wygląda i pałac cesarski, który znajduje się w środku miasta, tylko ta jest różnica, że zabudowania, parki, stawy są tu kolosalne. — Pałac ten zajmuje kilkadziesiąt morgów powierzchni. — Otoczony jest dokoła wysokim murem,

poza murem ciągną się stawy na których rosną lotosy, kwitnące biało lub różowo, a poza stawem ciągną się kilkunastu morgowe parki ze wzgórzami poprzecinanymi szerokimi wygodnymi ścieżkami i drogami. — Na wzgórzach tych porozrzucane są większe lub mniejsze pagody i altany, w środku znajdują się zabudowania pałacu cesarskiego z wschodnim komfortem i przepychem urządzone.

Ponieważ, jak już mówiłem wyżej wszystkie takie domki są zupełnie podobne jeden do drugiego i ciągną się całymi kilometrami, przeto nie dziwnego, że ile razy znalazłem się pomiędzy nimi nigdy nie mogłem się sam dzięki własnej orientacji stamtąd wydostać. Zająć w ten labirynt było bardzo łatwo, ale wyjść ani mowy, gdyż wszystkie uliczki, wszystkie mury, wszystkie dachy jednakowe. — Dopiero pierwszy z brzegu spotkany riksza i rzucone mu krótkie słowo: „Augo-Fu“ ratowało mnie z opresji.

Życie uliczne chińczyków w całych Chinach, a w szczególności w Pekinie jest nadzwyczaj rozwinięte. — Stołują się oni bowiem bardzo mało w domu, a natomiast tysiące ich żywi się w restauracjach ulicznych, w herbaciarniach i jadłodajniach chińskich. — Wskutek tego ulicami przeciągają stale restauratorzy chińscy ze swoimi wózkami na dwóch kołach. Na wózkach tych mają całą kuchnię, gdzie można dostać kilka gatunków drobniutko krajanych jarzyn, dwa do trzech gatunków soków we flaszeczkach i nieodstępną herbatę bez cukru. Restauratorzy ci przechodząc ulicą wykrzykują głośno, anonsując i zachwalając swoje restauracje. — A z tą chwilą kiedy tylko zjawią się na ulicy

tłumy biednych kulisów, nie mogących wydać więcej na swe utrzymanie, jak kilka keszów dziennie, oblegają wprost taką restaurację.

Tak samo fryzjerzy, ślusarze, rymarze, szewcy i inni rzemieślnicy pracują stale na ulicach i razem ze swoim warsztatem włóczą się po całym Pekinie.

Fryzjer nosi na swoich koromysłach dwie skrzyneczki z kilkoma szufladami, w których ma brzytwę, mydło, pędzel i inne przybory do golenia. Przechodząc ulicą trzyma w lewej ręce duże widełki, podobne do strojnika skrzypiec, których końce schodzą się dośyć blisko ze sobą. — Wprawiej ręce trzyma pręt żelazny, który wkłada między oba palce widełek, poczem posuwając pręt szybko do góry wysuwa go na zewnątrz. Końce widełek nagle rozsunięte schodzą się ze sobą i wydając długi przeciągły dźwięk: dzińńńńńń anonsują zbliżenie się fryzjera. — Dźwięk widełek jest tak donośny, że słyhać go na jakie tysiąc kroków zdaleka.

Chińczyk, który chce sobie dać podgolić głowę, ogolić zarost i upleść warkocz, podchodzi do fryzjera. Ten stawia na ziemi stołeczek, otwiera swój aparat, podgala chińczykowi głowę, niektórym z przodu fryzuje grzywkę, a w końcu starannie zaplata warkocz. — Wielu chińczyków po goleniu daje sobie masować fryzjerowi czoło, szyję i plecy. Masowanie zaś to polega na tem, że fryzjer bije gościa delikatnie kulakami po plecach, po szyi, poczem za to wszystko otrzymuje pięć centimów.

Ślusarze przechodząc ulicami trąbią na długich trąbach kształtu naszego klarnetu .

W kilka dni po przybyciu mając czas zupełnie wolny, nająłem riksę i pojechałem zwiedzać cały Pekin. Wje-

chaliśmy na ulicę Hata-men i zapuścili w dzielnicę czysto chińską. Co kilka kroków spotykamy gęste, silne straże wojskowe, przy każdej bramie warty wojskowe, z najeżonymi bagnetami. Wojsko to, pilnuje stale porządku i bezpieczeństwa publicznego w mieście, inaczej bowiem grabieże i rabunki byłyby na porządku dziennym.

Ruch w tej dzielnicy, jak w całym Pekinie szalony. Riksze, powozy z mandarynami, automobile, arby chińskie ciągnione przez konie i muły mijają nas co chwila. Przybywa jeszcze w tej dzielnicy nowy środek komunikacyjny, a są nim taczki. Składają się one z jednego dużego koła, o średnicy jednego metra na którego osi spoczywa blat zakończony dwoma rączkami. Po jednej i drugiej stronie blatu siada po pięć lub sześć chinek, (niektóre nawet z dziećmi). Chińczyk ująwszy rączki taczek pcha je przed sobą, pocąc się i uginając nietylko pod ciężarem, ale także męcząc się nad utrzymaniem równowagi całego tego balastu. I podczas gdy siedzące na taczkach chinki śmieją się, gawędzą i bawią się między sobą jak najlepiej, biednemu kulisowi, który popycha taczki preżą się nogi pod ich ciężarem, tak, że zdaje się, że żyły w nogach każdej chwili mu pękną, a pot kroplisty ścieka mu z czoła, z twarzy i całego ciała. — Jazda taka trwa nieraz dwa i trzy kilometry, a za to wszystko zarabia chińczyk dwadzieścia do trzydziestu centimów najwyżej.

I mówią — że niewola nie istnieje!

Oprócz tego do przewożenia osób w tej dzielnicy służą także ciężarowe arby, którymi jeżdżą po największej części tylko kulisi i robotnicy.

Jeszcze jednym środkiem komunikacyjnym w Pekinie bardzo rozpowszechnionym w dzielnicach podmiejskich jest jazda na osłach.

W pewnych miejscach miasta stoi sto, dwieście, a czasem i więcej osłów osiodłanych, a przy każdym z nich poganiacz z nahajką. Wypożyczający osła siada nań i jedzie truchtem na swe miejsce przeznaczenia, podczas gdy poganiacz biegnie z tyłu, popędzając osła co chwila nahajką. Jazda taka trwa nieraz i godzinę w jedną stronę, a poganiacz w jedną i drugą stronę idzie piechotą poganiając osiołka, zmęczony, spocony, zasapany. Pomimo tego jednak, nie odważy się wsiąść na siodło.

Zamiast dorożek, których zupełnie w Pekinie niema (istnieją tylko prywatne powozy) używane są riksze ciągnięte przez chińczyków. Koła rikszy w pierwszorzędnym dzielnicach są pneumatyczne, w gorszych już tylko na pełnych gumach, a w najgorszych, koła te są drewniane, obite żelaznymi obręczami.

Ponieważ ulice w centrum miasta są równe jak stół, a riksze w tej dzielnicy ciągnięte są przez młodych chińczyków w wieku od ośmasto do dwudziestu lat, przeto chłopcy ci biegną ze swoim gościem tak szybko, że często trzeba ich powstrzymywać, jak rozigranego konia, nawoływaniem: „mamandi, mamandi“ (powoli).

Riksza kulisi są to wynajęci chińczycy, którzy muszą płacić swemu właścicielowi za wypożyczenie rikszy dziennie 60 centimów, a dopiero co ponad 60 centimów zarobi jest jego zyskiem i dochodem. — Ile biegów dziennie musi taki riksza kulis zrobić by zarobić choćby dolara dziennie, łatwo obliczyć, jeżeli się zważy, że za

jeden bieg otrzymuje on od europejczyka 10 centimów, od chińczyka pięć, a czasem i mniej. — A są przecież i takie dni, gdzie nie lub zaledwie parę centimów na dzień zarobi.

Właściciel ma zwykle pięć, dziesięć, czasem i dwadzieścia wózków, z których dziennie zarabia kilka dolarów, nie wkładając do tego sam żadnej pracy.

Riksze wynajmuje się na godziny, na dni, a nawet na miesiące. Godzina kosztowała za mego pobytu 20 centimów, dzień dolara 20 centimów, a miesięcznie płaciło się za wynajęcie rikszy 8 dolarów.

Riksza kulis oddaje się swojej pracy z całym zapalem, wkładając w nią wszystkie swe siły i cały swój młody temperament. — To też nie dziwnego, że po kilku latach tego gorączkowego biegania po mieście zapada każdy z nich na chorobę piersiową i jako robotnik niezdolny już do pracy w pierwszorzędnej dzielnicy musi ustępować na przedmieścia, gdzie jakkolwiek pracuje jeszcze dalej jako riksza, to jednak nie zarabia już tyle co poprzednio, ponieważ i wózek jest gorszy i siły jego są już zupełnie stargane. — Biegać szybko nie może, więc zarabia tylko po parę centimów dziennie i zwykle marny jest koniec każdego rikszy kulisa, o ile za młodu nie dorobi się własnej rikszy.

To też pomiędzy niektórymi europejczykami budzą ci ludzie rzeczywiście szczerą serdeczną litość. Znam taki wypadek z austriackiej ambasady: na parę lat przed moim przybyciem do Pekinu, jeden z oficerów od marynarki austriackiej wracając do ambasady najął rikszę-kulisa, który wyczerpany bieganiem z formalnym wysiłkiem dojechał do ambasady i w tej samej

chwili padł zemdlony na ziemię. — Oficer kazał marynarzom wnieść go do pokoju warty i przyprowadzić go do przytomności. A gdy kulis przyszedł do siebie oficer litując się nad nim przyjął go do siebie za służącego. Odtąd Tshonda, tak się bowiem nazywał ów chińczyk był już stałym boyem w ambasadzie austriackiej przechodząc z rąk do rąk zmieniających się oficerów, — a w roku 1916 miał już siedm własnych rikszy, które zakupił sobie za pieniądze zaoszczędzone ze służby. — Czuł on jednak zawsze wielką wdzięczność dla swych dobroczyńców i starał się ją na każdym kroku okazywać.

Zwyczajem bardzo rozpowszechnionym w Chinach jest tak zwany „skwis“. Polega on na tem, że czy to europejczyk czy amerykańnik chce otrzymać jakąś robotę w Chinach, cośkolwiek kupić lub sprawić sobie, dać zamówienie rzemieślnikowi i tđ., to musi zawsze chińczykowi po największej części swemu boyowi — który mu w tej czynności pośredniczy — zapłacić jakąś kwotę, którą w Chinach nazywają „skwisem“. Skwis ten płaci się albo wprost do rąk pośrednika, albo też o ile europejczyk o nim nie wie, wliczony jest do ceny towaru.

Cały zaś proceder ten odbywa się w następujący sposób: jakiś inżynier lub przedsiębiorca chce dostać robotę w Chinach naprzykład budowę całego kompleksu budynków, składającego się z pięćdziesięciu a nawet i więcej will piętrowych. Sam inżynier do danego przedsiębiorstwa dostać się nie może i wogóle się nie dostanie. Musi więc użyć pośrednika i temu zapłacić odpowiednią sumę, wynoszącą czasem kilka, a czasem nawet i kilkadziesiąt tysięcy dolarów chińskich.

Opowiadał mi pewien inżynier austriacki, że za uzyskanie koncesji na budowę kompleksu budynków w Pekinie zapłacił pośrednikowi chińczykowi gotówką dziesięć tysięcy dolarów, jakkolwiek na razie jeszcze nie wiedział i nie miał nawet pewności, czy zamówienie na robotę otrzyma. To też uszczęśliwiony był rzeczywiście w kilka dni później, gdy się dowiedział, że oferta jego została przyjęta.

Druga forma „skwisu“ polega na tem, że każdy europejczyk zamawiający czy to ubranie u krawca, czy buciki u szewca, czy bieliznę czy też chcący kupić jakąś rzecz w sklepie, musi zapłacić pewną opłatę chińczykowi, po największej części swemu służącemu, który przy tych zamówieniach lub kupnie pośredniczy.

Majstrów chińskich koło każdej ambasady jest mnóstwo, ale najlepszego zna tylko boy, który europejczyka obsługuje. — Przywołanemu więc rzemieślnikowi mówi boy wprost otwarcie: jaki mi dasz „skwis“? Jeżeli rzemieślnik nie da mu skwisu w tej wysokości, w jakiej boy zażądał, to boy go nie dopuści do swego pana.

Tak samo jest jeżeli europejczyk chce nabyć cośkolwiek w mieście u chińczyków. Nie mogąc sam porozumieć się z kupcami po chińsku musi zabrać ze sobą swego boya. Boy zaś przestąpiwszy tylko próg sklepu pyta kupca odrazu: jaki mi dasz „skwis“? a równocześnie panu swojemu obojętnie objaśnia — w jego języku, że pytał kupca o odpowiednie towary. Jeżeli kupiec nie da skwisu jakiego boy zażądał, może być pewny, że europejczykowi nic nie sprzeda.

Chińczycy to naród przedewszystkiem rolniczy, oraz kupiecki. — Ziemię swą kochają i uprawiają z ca-

tem zamięłowaniem. Ogrody jarzynowe, które znajdują się w okolicy Pekinu lub też innych większych miast mogą być wzorem pielęgnowania i uprawy jarzyn dla naszych europejskich ogrodników. — Każda jarzynka z osobna obrobiona, okopana, wprost wypielegnowana i wychuchana. Grządki czyściutkie, bez najmniejszej plewy, równiutkie, zwilżane regularnie wodą. — Rośliny strączkowe pną się na piramidkach bambusowych, a wszystko to razem wzięwszy, tak ładnie, tak pięknie wygląda, że człowiek z całą przyjemnością przygląda się tej starannej, mrówczej pracy niezmordowanego azjaty.

Tak samo starannie pielęgnują oni winną latorośl.

Ponieważ zaś chińczycy żywią się przeważnie jarzynami, ryżem i herbatą, przeto nie dziwnego, że nie ogrody, lecz całe parki warzywne znajdują się w okolicy każdego większego miasta chińskiego.

Handel odbywa się w Pekinie po sklepach, w których wszystkiego można dostać, począwszy od szpilki, a skończywszy na drogocennych wyrobach z brązu, porcelany, srebra, złota, a w wykonywaniu i wykończaniu tych wszystkich robót są chińczycy poprostu mistrzami. Specjalnością ich zaś są laki i tusze. To samo można powiedzieć o ich wyrobach stolarskich, rzeźbiarskich i snycerskich. Wszystkie te rzeczy są stosunkowo nawet nie bardzo drogie, a głównie z tego powodu, że robotnik tutaj jest tani i że przy najdelikatniejszej robocie nie zarabia więcej dziennie, jak 30 do 50 centimów. I gdyby nie szalone koszta transportu takich rzeczy do Europy, każdy z Europejczyków przywiózłby całe setki pamiątek z Chin do Europy.

Oprócz tego odbywają się także trzy razy na miesiąc

tak zwane jarmarki tatarskie, a nadto raz w tygodniu mniejszy targ na ulicy w głównej dzielnicy kupieckiej.

Tak jak u nas na odpuszcie mają kramarze porostawiane różne towary na ziemi lub też na straganach, tak samo jest i w Pekinie, podczas jarmarku tatarskiego lub też targu tygodniowego. — Na jarmarku tatarskim można nieraz kupić bardzo ładne stare rzeczy chińskie za tanie pieniądze. Nieraz bowiem się zdarza, że chińczyk przyciśnięty biedą wynosi swój ostatni drogocenny przedmiot, jakąś starą oryginalną „Bude“, wyrób z kości słoniowej, fajkę do palenia opium, makatę lub tkaninę jedwabną na jarmark tatarski i tu stara się rzecz tę spieniężyć jaknajlepiej. — Lecz jeżeli przedpołudniem nie uda mu się sprzedać danego przedmiotu dobrze, to popołudniu pozbywa go za byle co. Wiedzą o tem dobrze europejczycy stale w Chinach przebywający i czekają na to skwapliwie.

Przybysz przy kupowaniu rzeczy od chińczyków musi być bardzo ostrożny. Chińczyk bowiem ceni bardzo dużo, czasem nawet dziesięć razy tyle, co towar wart. Europejczyk, który o tem nie wie, wierząc w uczciwość kupca płaci po targu połowę ceny, zadowolony, że kupił tanio. — Kiedy jednak między znajomymi opowiada o dobrze zrobionym interesie, ci śmieją się z niego do rozpuku i pokazują mu taką samą rzecz kupioną za jedną trzecią część zapłaconej przez niego ceny kupna.

Na własnej skórze doświadczyłem tego kilkakrotnie.

Nieraz kupcy chińscy, zwłaszcza handlarze jedwabi stojąc w swoich kramach, zachwalają swój towar, śpiewając przytem niestrudzenie, chcąc wytłumaczyć w ten

sposób stojącym przed sklepem odbiorcom że z danego kawałka jedwabiu da się wszystko zrobić.

W dzielnicy handlowej znajdują się także teatry chińskie. — Mieszczą się one w budynkach zrobionych z pali nakrytych matami trzciniowymi. — Wewnątrz znajdują się długie ławki, na których siedzą goście, przed ławkami ciągną się stoliki, sala dla widzów podzielona na dwie części. Po lewej siedzą mężczyźni, po prawej kobiety, na przodzie scena na podwyższeniu, na której grają artyści. Z boku na scenie tej znajduje się również i orkiestra teatralna. — Artystami są przeważnie mężczyźni, którzy grają role kobiece i męskie. Dzieci występują również bardzo często w roli drabantów, gwardji przybocznej, żołnierzy, paziów i tp.

Utwory sceniczne to po największej części opery układane na tle politycznym. Wiele z tych oper przedstawia nieporządki panujące w cesarstwie chińskim i obojętność o dobro państwa. — Orkiestra składa się z klarnetu, wydającego piskliwe, monotonne jedne i te same tony; drugim instrumentem są dwa kawałki suchego drzewa, którymi muzykant z całym zapałem i satysfakcją uderza bez przerwy o siebie; trzecim bęben, czwartym — rozbity talerz mosiężny.

Złożona w ten sposób orkiestra wydaje taki szalony huk, pisk i hałas, że europejczyk dłużej jak piętnaście minut tej opery słuchać nie może.

Głosy artystów są bardzo piękne i przyjemne, ale może tylko dla ucha chińskiego. Śpiew zaś operowy polega na tem, że artysta drze się, ile mu sił w gardle starczy, śpiewając melodje, których dźwięki są jedne i te same. Stroje zawsze narodowe.

Usiłowałem być kilka razy na całym przedstawieniu chińskim, atoli tak artyści jak również i orkiestra wypłoszyli mnie wcześniej czy później z teatru tak, że nigdy końca nie doczekałem.

Wstęp kosztuje 15 do 20 centimów. Siadając za stołem musi się pić podaną herbatę, — za którą płaci się osobno 5 centimów. Przedstawienia odbywają się każdego dnia i to tylko we dnie. Początek jest o godzinie 8-mej rano i tak idzie sztuka za sztuką z małemi pauzami aż do nadejścia wieczoru. Pod wieczór wszystkie teatry się zamyka. Teatry te a względnie budy zbudowane ze słupów obciążniętych matami stoją obok siebie poza centrum miasta na otwartej przestrzeni. — Obok teatrów stoi cały szereg innych różnych bud jarmarcznych, w których odbywają się przedstawienia magiczne i produkują się różni gimnastycy i td. — Prócz teatrów w matowych budach jest w Pekinie całe ich mnóstwo na otwartem powietrzu, w których scena jest na widoku publicznym. — Przed sceną znajduje się kilkadziesiąt ławek wbitych w ziemię i każdy z przechodniów, który idzie ulicą może za opłatą 5 centimów usiąść na ławce i przypatrywać się przedstawieniu.

Tego dnia powróciwszy pod wieczór do domu zastałem zaproszenie od jednego z urzędników ambasady, aby przyjść po kolacji na „bolde“. Zaciekawiony udałem się około 9-tej godziny wieczorem w stronę ambasady. Wchodzę do wielkiego parku, otaczającego pałac poselski i ciemnymi alejami posuwam się naprzód. — Ciemno choć oko wykol, nie nie widać w około. — Naraz z daleka błysnęło małe światełko, a po niej kim

czasie kiedy zbliżyłem się do willi sekretarza zastałem tam już prawie połowę zebranych gości.

Na tarasie przed willą zawieszono na wysokich trójnogach kolosalne lampiony papierowe oświetlały zlekką taras. W koło stały małe stoliki, a przy każdym z nich dwa lub trzy wygodne trzcinowe fotele.

Zajęliśmy miejsca, rozmowa potoczyła się szybko, a tymczasem w tym półmroku, dwóch chińczyków zaczęło podawać gościom ową sławną „boldę“. — Jest to wino gotowane z wiśniami, które przed przyjściem gości zamraża się w lodzie. Ponieważ jest gorąco i duszno, więc napój ten chłodny, orzeźwiający pije się smacznie, a że wino to jest dobre więc i skutek jego po pewnym czasie daje się odczuć. — Gwar, śmiechy, zabawa w całej pełni rozlega się dokoła, służba ciągle dolewa „boldy“ lub podaje wonne hawańskie cygara i tak szybko czas mija, że gość nawet nie spostrzeże, kiedy jutrzeńka zaczyna świtać na wschodzie.

W kilka dni później wyszedłszy rano na miasto, obserwowałem ciekawe widowisko. Głos piskliwego klarнету, który już znałem dobrze, dawał znać, że gdzieś w pobliżu przechodzi pogrzeb chiński. Rzeczywiście niedługo potem zetknąłem się z całym korowodem. Na przodzie szło kilku chińczyków w niebieskich ubraniach z małymi czapkami w formie grzybków na głowie, niosących na wysokich drążkach lampiony papierowe z długimi szarfami niebieskimi, dalej czterech kulisów z których każdy niósł szeroki okrągły jedwabny baldachim, za temi sunęli kulisi niosący długie drążki, zakończone bądź to kólkami, bądź też strzałami. Obok nich kroczył czerwono ubrany chińczyk niosący mo-

siężny talerz o który od czasu do czasu uderzał pałeczką obitą skórką irchową. Dalej szli kulisi niosący kwadratowe chorągiewki jedwabne, na których wymalowane są lub też wyszywane jakieś sowy czy orły, w dalszym ciągu idzie orkiestra, składająca się z bębna, klarnetu i długich kilkumetrowych trąb. Trąby te przy końcu niosą specjaliści kulisi zaś w munsztuk dmie od czasu do czasu muzykant, wydając tony, których głos jest bardzo podejrzany. Następnie znowu idą baldachymy, znowu tablice zielone, poczem lektyka, w której niosą wdowę, lub krewnych zmarłego obok niej zaś postępuje chińczyk ze specjalną maszyną, która wyrzuca od czasu do czasu papierowe kółka wysoko w powietrze. Kółka te mają oznaczać kesze chińskie, które się rzuca bożkom na ofiarę. Następnie idą kapłani, potem jakaś asysta w ubraniach białych, niebieskich lub zielonych, a na samym końcu dopiero na formalnym rusztowniu zbudowanym z drągów niosą kulisi na ramionach zmarłego.

Kiedy się to wszystko obserwuje widzi się bardzo dużo podobieństwa do naszych procesji, z tą tylko różnicą, że zamiast obrazów świętych niosą chińczycy różne zwierzęta, ptaki zrobione z gałązek świerkowych, (co nawiasem powiedziawszy bardzo ładnie wygląda) i te robione ptaki i zwierzęta następnie spala się na grobie nieboszczyka.

Pogrzeb chiński niezawsze ma nastrój poważny. Już to samo, że żałoba jest tutaj koloru białego a nie czarnego, do którego my jesteśmy przyzwyczajeni nie robi na europejczykach żadnego wrażenia. Powtóre i miny krewnych nie bardzo są przygnębione, — owszem nieraz spotyka się twarze wesołe

uśmiechnięte. — W dodatku według zwyczaju w Chinach przyjętego kondukt pogrzebowy przepuszcza wszystko i wszystkich co po drodze spotka, a więc fury, powozy, nieraz rikszę, wojsko i td. Wskutek tego kondukt taki nieraz rozrywał się na części, a ponieważ ci co szli na przodzie nigdy nie czekali na tych, którzy szli z tyłu, przeto zaczynała się bieganina i ściganie nawzajem, aby się znowu jakoś razem połączyć, co wszystko dawało obraz dosyć komiczny.

W takim samym pochodzie, jak wyżej opisałem pogrzeb i z taką samą pompą, odbywa się ślub bogatych chińczyków z tą różnicą, że w końcu zamiast katafalku niosą kulisi dwie lektyki. W przedniej znajduje się narzeczony, w następnej znajduje się narzeczona.

Żyjąc dłuższy czas pomiędzy chińczykami obserwowałem ich charakter i usposobienie. Mają dużo zalet, ale też i wad nie mało. Są pracowici, pedantyczni, wytrwali i grzeczni, dobrzy aktorzy, to znaczy, że się dobrze potrafią maskować. Z drugiej strony są bezwzględni, zarozumiali, kastowi, nie rozczulający się nigdy i niczem. Nigdy też u chińczyka nie zauważyłem choćby odrobiny serca. Pod tym względem chińczyk jest zimny, wyrachowany, wprost nieludzki i potrafi się znęcać bez najmniejszych skrupułów nad swoją ofiarą. Jest to wynikiem po części używanego przez nich opium, a po części nienaturalnego pożycia płciowego, które wprost zdegenerowało tych ludzi.

Szczególniejszą zaś mają pasję w znęcaniu się nad słabszymi od siebie. I tak naprzykład widziałem całe setki psów wałęsających się po ulicach Pekinu. Psy te brudne, zaniedbane długowłose zanieczyszczone do naj-

wyższego stopnia, wprost wstrętne, wałęsają się powoli, ociężale, stale po ulicach.

Nigdy nie widziałem, aby ktokolwiek z chińczyków rzucił takiemu zgłodniałemu psu cokolwiek do jedzenia. — Natomiast widziałem, że psy te odpędzane są z całą zaciekłością.

Szczególniejszą mają chińczycy pasję do więzienia ptaków. Każdy bogatszy chińczyk ma jedną lub więcej klatek z ptakami. Klatki te są bardzo ładne i wszystkie nakryte niebieskimi, grubymi pokrowcami, tak, że biedny ptak przez cały dzień boży światła nie widzi.

Popołudniu, a czasem nawet i przedpołudniem chińczyk wyszedłszy na spacer za miasto zabiera ze sobą klatki z ptakami; klatki te wiesza następnie na drzewie, a zdjąwszy z nich pokrowce sam rzuca się na ziemię i wygodnie rozciąga się na murawie. — Ptaszyna zobaczywszy światło dzienne trzepoce radośnie skrzydełkami i zaczyna pięknie śpiewać, czemu leżący na ziemi chińczyk przysłuchuje się z prawdziwem zadowoleniem.

Pytałem się nieraz chińczyków, dlaczego zasłaniają klatki pokrowcami? Odpowiadali jedno i to samo: że jeżeli ptak jest stale zakryty i nie widzi, to później kiedy się zdejmie pokrowiec z klatki, ptak cieszy się bardzo i dlatego śpiewa ładnie.

Na ulicach spotyka się bardzo często chińczyków niosących ptaki na rękach lub też na kijku trzymanym w rękę. Ptaki te są zwykle już oswojone i po największej części za szyjkę przywiązane do patyka, tak że zupełnie nie zrywają się do lotu. — Ale zdarza się często, że świeżo złapanego ptaka chińczyk również sadza na kijku i za szyjkę przywiązuje do końca patyka. Bie-

dna ptaszyna nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego, że jest w niewoli, zrywa się nagle do lotu i próbuje uciekać. Naraz szarpnięta za wiążący ją sznurek opada na dół i tak zwisa bezwładnie ku ziemi. Chińczyk niosący takiego ptaka, z całą satysfakcją przypatruje się męczarni i rozpaczliwemu trzepotaniu się powieszzonego za szyję ptaszka, utrzymując z cynizmem, że im dłużej ptak będzie wisiał, tem prędzej nauczy się spokojnie siedzieć na miejscu.

Widziałem również także jak chińczycy z jastrzębiem-kanią uwiązany na sznurku chodzili po mieście. Kanię tę chcąc sprzedać produkowali się nią naturalnie na swój sposób przed widzami. W kieszeni zawsze taki chińczyk miał kilka żywych złapanych wróbli. Po jednym wyciągał na zewnątrz, następnie nadymał mu przez dziób powietrze do środka i puszczał go wolno. Wróbel nadęty sztucznie powietrzem leciał ociężale i nie mógł uciekać, wskutek czego wypuszczony jastrząb dopadał go za kilka sekund. Chińczyk ściągał za sznurek kanię do siebie, odbierał jej żyjącego jeszcze wróbla i następnie pokazywał jak się nim karmi jastrzębia. A więc przedewszystkiem żyjącemu wróblowi rozdarł dziób na dwoje, oderwał z dolnego dzioba języczek i podał go jastrzębiowi, który ze smakiem połknął go w jednej chwili. Następnie chińczyk wyłupał palcami jedno i drugie oko wróblowi i znowu podał kani, poczem już drąc formalnie w strzępy wróbla, karmił nim swego jastrzębia.

W Chinach jest bardzo dużo świerszczy. — Całe falangi poprostu oblegają drzewa, zboża, pola. Kiedy przechodzi się ulicą w czerwcu, lipcu tak wielki ćwierk

świerszczy rozchodzi się z drzew wokóło, że przechodzeń europejczyk dostaje z tego monotonnego, suchego głosu formalnie rozstroju nerwowego. Tymczasem zaś chińczycy stale polują na świerszcze. Małe chińczęta wypatrzywszy świerszcza na drzewie w tej chwili zerdziają tak długo manipulują koło niego, aż go strącą na ziemię, poczem zamykają do małej klateczki wielkości dwóch pudełek zapalek zrobionej specjalnie z trzciny i klatkę tę zawieszają ze „śpiewakiem“ w pokoju, aby im przyśpiewywał.

Wszędzie tam, gdzie niema w pokoju klatki z ptakiem bądź to w pracowni bądź w sklepie jest przynajmniej klateczka (wielkości dłoni) ze świerszczem.

Nieraz widziałem chińczyków, którzy worki napelnione klateczkami ze świerszczami, przynosili do Pekinu na sprzedaż i w przeciągu niecałej pół godziny wszystko rozsprzedali.

Jeżeli chińczyk już nie innego, to znaczy ani ptaka, ani psa, ani świerszcza nie może mieć na uwiezi, to ciągnie za sobą przynajmniej kraba (wielonożnego raka) uwiązanego na sznurku.

Jeden z oficerów marynarki miał kanarka, na którego utrzymanie dawał swojemu boyowi dolara chińskiego tygodniowo. Przypadkowo jednak dowiedział się od swojego znajomego, że utrzymanie takiego ptaka kosztuje tylko 30 centimów miesięcznie.

Oficer rozzłoszczony wyzyskiem ze strony własnego boya przywołał go do siebie i opowiedział mu o tem. Chytry chińczyk boy jednak zupełnie spokojnie dał taką odpowiedź swemu panu: Vogel plendi essen, Vogel plendi singen, co miało oznaczać, że jeżeli oficer chce,

żeby ptak ładnie śpiewał, to musi także ptakowi dawać jeść dobrze.

Oficer jednak nie zważając na to usprawiedliwienie zmniejszył datek na ptaka najpierw na 50 potem na 30 centimów tygodniowo. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy pewnego dnia wszedłszy do pokoju znalazł ptaka na dnie klatki martwego. Woła więc boya i pyta co to ma znaczyć? Przywołany chińczyk odpowiada cynicznie zupełnie spokojnie: „Vogel plendi essen, Vogel plendi singen. Vogel schlecht essen, Vogel krepieren“! (Jak ptak jadł dobrze, to ładnie śpiewał. Ponieważ ptak źle był karmiony — więc zdechł).

Chytry chińczyk obliczył widać sobie, że za 30 centimów tygodniowo nie opłaci mu się chodzić koło karnarka, bo z tego nie dla siebie nie ukradnie i dlatego postarał się, że „Vogel krepieren“.

Kastowość w Chinach jest bardzo wielką. Naprzykład mandaryn, boy i kulis są to trzy tak wielkie kasty społeczeństwa i tak wielkie różnice socjalne są między temi trzema klasami ludzi, że mandaryn w stosunku do boya a boy znowu w stosunku do kulisa uważają się za pół-Boga.

Boy naprzykład to jest lokaj, jeżeli przemawia do kulisa, traktuje go zawsze z góry ostro, krótko, formalnie pogardliwie i jest dla niego bezwzględny. Jeżeliśmy naprzykład jechali rikszą z ambasady do miasta, to za kurs taki, który często nie wynosił więcej jak trzy minuty, płacono się normalnie 10 centimów. Było to wprawdzie za dużo, gdyż jazda nie wynosiła całe pół godziny, lecz najwyżej kilka minut, ale tak, już było umówione w ambasadach, że najmniejsza zapłata rikszy-

kulisa ma być 10 centimów. Boy zaś chińczyk dawał rikszy za tę samą a czasem nawet i dłuższą drogę trzy lub pięć centimów.

Cały Pekin można było obecnie to znaczy podczas wojny w roku 1916 zwiedzać bądź to zupełnie swobodnie, bądź też za odpowiednimi biletami wstępu wydanymi przez ambasadę poszczególnych państw, a więc tego państwa, do którego było się przynależnym. — Były to stałe bilety drukowane po chińsku, na których tylko data była opuszczoną. Datę tę wpisywał sekretarz ambasady i tylko w tym dniu, na który dzień opiewał bilet, a nie w innym można było daną świątynię lub też jakiś gmach publiczny, albo pałac cesarski zwiedzać.

Tu nadmienić muszę, że w Pekinie jako w mieście neutralnem mógł każdy europejczyk śmiało swobodnie wszędzie chodzić, byleby tylko nie szedł do nieprzyjacielskiej ambasady, a tem samem nie przekroczył terenu nieprzyjacielskiego. Przymusu paszportowego nie było tam w tym czasie zupełnie.

W Pekinie znajdują się największe na świecie świątynie Budy, Lamy, Konfucjusza. Oprócz tego są jeszcze świątynie nieba, uprawy ziemi, pięciu pagód i td.

Najładniejszą i najwspanialszą z nich jest świątynia Lamy. Mniej okazałe są świątynie nieba i uprawy ziemi. Te dwie ostatnie świątynie znajdują się poza dzielnicą handlową i położone są po przeciwnych stronach drogi prowadzącej z Pekinu na południe.

Zwiedzanie świątyń w Pekinie rozpoczyna się od tego, że przedewszystkiem musi się zabrać ze sobą cały worek drobnych miedziaków, bo w świątyniach chiń-

skich trzeba się na każdym kroku, przy każdej bramie opłacać kilku lub kilkunastu centimami.

Podjechawszy rikszą do świątyni Uprawy Ziemi wchodzi się najpierw do pięknego parku. Minąwszy park, a za nim piękny ogród warzywny wstępuje się do samej świątyni. — Świątynia ta znajduje się pod gołym niebem, a przedstawia się w ten sposób, że jest to podjum zbudowane z ciosanych kamieni, wysokie na jaki metr, kształtu kwadratu, którego bok wynosi 20 do 30 metrów. — Na tem podjum składa się ofiary, czego dokonują kapłani.

Świątynia nieba znajduje się po przeciwnej stronie za gościńcem wprost naprzeciwko świątyni Uprawy Ziemi.

Chińczyk, który się nawinał jako przewodnik ofiarował się podprowadzić mnie do świątyni.

Jeszcze kiedy wybierałem się z ambasady zwrócono mi uwagę, abym ze sobą zabrał worek miedziaków, gdyż przydadzą się one bardzo. — Uważałem to jednak więcej za żart, aniżeli za prawdę, lecz mimo to z ostrożności dwa chińskie dolary zmienione na drobne wzięłem ze sobą. Przydały się one bardzo, gdyż skoro tylko podszedłem do bramy świątyni w tej chwili dwóch chińczyków, zapewne stróżów wyciągnęło bez żenady ku mnie ręce i zażądało tradycyjnego „obola“. — Dałem im po 10 centimów, za co otworzyli mi bramę świątyni i wpuścili do środka.

Stałem na wielkiej obszernej łące wielkości błon krakowskich zarośniętej wysoką, dochodzącą do pasa trawą — sam jeden z chińczykiem stróżem, który miał mnie prowadzić dalej. Cicho, pusto, spokojnie dookoła,

ślądu, a nawet znaku życia nie widać nigdzie. Z daleka tylko błyszczy tylko kilka kopuł poszczególnych świątyń, które w obrębie tego wysokiego muru się znajdowały. Mimowoli lęk przechodzi człowieka, czy stąd wrócić z powrotem.

Wąską ścieżką idziemy łąką, zmierzając do najbliższej świątyni. Za lekkim stuknięciem przewodnika otwierają się cicho podwoje, następuje wręczenie przymusowego haraczu, poczem idziemy dalej. Tak przeszliśmy przez kilka bram, aż w końcu stanęliśmy przed ogromnym z białego marmuru zbudowanym pięknym ołtarzem.

Na ołtarz ten wchodzi się po stopniach, które jakby duże koła położone były na sobie. Stopni tych jest do dwudziestu, a od dołu do góry w odległości jakich 20 do 30 metrów od siebie prowadzą rzeźbione ładnie z białego marmuru balustrady. Balustrady te spadają z góry na dół we wszystkich kierunkach ołtarza.

Po szerokich wygodnych schodach wychodzi się powoli na górę, na szeroką obszerną płaszczyznę, w środku której znajduje się dół przeznaczony do składania ofiar. Według twierdzenia uczonych chińskich i ich odwiecznej wiary, w tem miejscu gdzie się dół znajduje, ma być środek świata.

Kiedy uroczystości religijne nadejdą na płaszczyźnie ołtarza kapłani rozbijają wielki namiot, pod którym odbywają się obrzędy religijne. — Miljony zaś chińczyków zalegają zielone równiny świątyni nieba i oddają cześć swoim bożkom.

Zeszedłem z tego odwiecznego ołtarza i podążyłem dalej przez szereg bram, płacąc przy każdej po kilka

miedziaków. Tak doszedłem znowu do okrągłych schodów zbudowanych z białego marmuru, rozmiarem jednak od poprzedniego ołtarza o wiele mniejszych, alezato o wiele wyższych. — Na samym szczycie tych schodów rozciąga się płaszczyzna, a na niej jest świątynia w kształcie kopuły, do której wstęp mieli tylko cesarze chińscy. Ostatnim, który za mego pobytu modlił się w tej świątyni był zmarły wówczas prezydent rzeczypospolitej chińskiej Juanszikaj. Wstęp do tej świątyni nikomu nie jest dozwolony, nawet europejczykom.

Przez rozbite jednak okno wspiąwszy się na palcach do góry zaglądnąłem do środka. — Kilka ławek przeznaczonych dla cesarza, prezydenta i jego świty tudzież stół z siedzeniami dla księży odprawiających nabożeństwo znajdowały się w środku. — Więcej trudno mi było zobaczyć.

Natomiast zewnętrzny wygląd świątyni jest bardzo ładny. Budowana w kształcie okrągłym nakryta dachem o kilkunastu szpiczastych zakończeniach rozbiegających się na wszystkie strony. — Koniec dachu zakończony wielką kulą, pod dachem idą całe szeregi gzymsów, ręką niepoślednich artystów malowanych.

Ponieważ zaś ptaki mogłyby uszkodzić to — cacko malowidło — przez gnieźdzenie się pod gzymsami, przeto gzymsy te otoczone są gęstą siatką drucianą.

Nie bez pewnego rodzaju ulgi wychodzi się z tej świątyni, z tego labiryntu bram, rozległych przestrzeni otoczonych wysokim murem, jakby więziennym.

Trzecią wielką świątynią w Pekinie jest świątynia Lamy. — Znajduje się ona w środku miasta i składa się z całego szeregu świątyń poświęconych rozmaitym

bożkom. — Za wstęp do tej świątyni płaci się jednora-
zowo 50 centimów, za co dostaje się już przewodnika,
który oprowadza zwiedzającego od świątyni do świą-
tyni. — Zakonnicy, którzy pilnują świątyni Lamy po-
chodzą aż z Tybetu. Ubrani są w długie kimona koloru
brązowo-buraczkowego, przepasani są paskami lub sznu-
rem, za którym zatknięte są różańce zupełnie takie
same jak noszą nasi zakonnicy, tylko bez krzyżyków
i medalików. — Koronka ta składa się tak samo z ziarn-
ek małych i dużych i służy do modlenia. — Zakon-
nicy golą zarost, włosy mają krótko ostrzyżone. Zada-
niem ich jest strzedz i pilnować tej świątyni i rzeczy-
wiście strzegą jej jak oka w głowie. — Przez wielkie
trzy bramy zbudowane z belek malowanych na czer-
wono wchodzi się do środka świątyni, która jak już
wspomniałem składa się z całego szeregu zabudowań.

Przestępuję próg pierwszej świątyni. Naprzeciwno
mnie jest ołtarz Lamy, a na nim wielki posąg tegoż
bożka. Siedzi on wygodnie na ziemi z podwiniętymi
pod siebie nogami, kolosalnej tuszy, z wielkim odkry-
tym brzuchem spoczywającym mu na nogach i z jowial-
nym wyrazem twarzy. W prawej ręce opartej na pra-
wym kolanie trzyma chiński różaniec.

Myśl, jaką ten bożek wyraża jest bardzo głęboka:
mianowicie że człowiek według jego nauki powinien
być zawsze wesołym, zawsze zadowolonym, zawsze
uśmiechniętym, choćby mu się na świecie najgorzej
powodziło, choćby był głodny i biedny ma udawać sy-
tego i niemającego żadnych potrzeb. — Nigdy nie poka-
zać na zewnątrz, co się w duszy jego dzieje.

Wiara ta względnie nauka tak się rozpowszechniła

i zakorzeniła w Chinach, że nie ma może na świecie drugiego narodu, któryby się tak nadawał do tej religii jak chińczycy.

Chińczyk to urodzony hypokryta, to człowiek który co innego robi a co innego mówi. — To człowiek który się kryje ze swojemi myślami, pragnieniami, zachciankami i zamiarami, tak, że europejczyk nigdy nie odgadnie, co tkwi w jego sercu, w jego myśli. Zawsze uśmiechnięty, zawsze zadowolony, zawsze grzeczny uniżony i usłużny, chociaż pod tą maską kryją się nieraz najdziksze instynkta, największe namiętności i przeróżne skryte plany.

Chińczycy śmieją się z nas europejczyków, że my nie umiemy panować nad sobą, że zapalamy się i wybuchamy często zdradzając się odrazu. Śmieją się z nas, że o byle co złościmy się i wpadamy w gniew, mówiąc nam otwarcie w oczy, że tylko dziecko złości się i gniewa, człowiek zaś dojrzały nigdy!

I tak jest w rzeczywistości w Chinach!

Opowiadał mi mój nauczyciel języka angielskiego w Pekinie z rodu i pochodzenia amerykańnin co następuje:

Bywał on stale u pewnego mandaryna chińskiego, który zajęty był wykończeniem jakiejś pracy czy rysunku na jedwabiu. — Przychodził dosyć często i podczas kiedy chińczyk pracował gorliwie nad swoim dziełem, amerykańnin gawędził z nim spokojnie.

Pewnego razu podczas pożegnania trącił nauczyciel mój niechcący łokciem stojący na stole kałamarz z tuszem, który przewróciwszy się na rozpięty jedwab odrazu rozlał się po nim szeroką strugą i w jednej chwili

zniszczył dzieło chińczyka, nad którym tenże pracował od kilku miesięcy.

Amerikanin widząc co się stało struchlał i nie mógł słowa przemówić z przerażenia będąc pewnym, że chińczyk wpadnie w szalony gniew. — Tymczasem mandaryn uśmiechając się dobrodusznie odezwał się wesoło: „nie nie szkodzi, nie się nie stało“. Opowiadał mi mój nauczyciel, że gdyby mu był wówczas chińczyk nagadał największych głupstw i impertynencji i zwymyślał ostatnimi słowy, nie byłoby mu tak przykro, jak widząc, że chińczyk na jedną sekundę nie wyszedł z równowagi i nadal w obec niego był wesołym, uprzejmym i grzecznym. — A przecież człowiek ten chcąc na nowo dzieło swe wykonać potrzebował znowu kilka miesięcy czasu na to.

Również trzeba bardzo uważać, gdy się jest w gościnie u chińczyka zwłaszcza bardzo bogatego, aby rzeczy, która nam się rzeczywiście podoba nie bardzo zachwalać. Według zasad bowiem i zwyczajów przyjętych w Chinach gospodarz domu zobowiązany jest i musi podarować rzecz która się gościowi w domu jego podoba i którą tenże chwali, chociażby to była najcenniejsza i najdroższa dla gospodarza domu pamiątka.

I tak pewien europejczyk będąc w gościnie u chińczyka zobaczył dwie porcelanowe duże wazy chińskie, które mu się bardzo podobały i które zaczął bardzo wychwalać, nie przewidując nawet strasznego skutku swoich pochwał.

Kiedy wieczorem przeszedł do swego mieszkania zauważył ze zdumieniem obydwie wazy na stole. — W kilka dni później spotkał się ze znajomym europej-

czykiem, który już od dłuższego czasu przebywał w Chinach i znał dokładnie tamtejsze zwyczaje. — Jemu też nie omieszkał zaraz opowiedzieć o prezencie jaki w ostatnich dniach otrzymał, — dodając, że nawet nie wie skąd on do takiego podarunku od chińczyka przychodzi. — Znajomy wytłumaczył mu zaraz, że wazy otrzymał dlatego, ponieważ je wobec gospodarza domu wychwalał, że chińczyk musiał mu je darować, jakkolwiek nie miał do tego najmniejszej ochoty, że obecnie chińczyk jest zrozpaczony, gdyż wazy te są pamiątką rodzinną, a nadto przedstawiają wartość 10.000 dolarów chińskich.

W obec tego europejczyk odesłał chińczykowi z powrotem wazy, rzekomo w prezencie, za co uszczęśliwiony chińczyk podarował mu inną cenną pamiątkę.

Ale do rzeczy. Po prawej stronie ołtarza Lamy jak również po lewej są przejścia prowadzące na drugą stronę na zewnątrz świątyni. Po lewej i prawej stronie Lamy znajdują się pod ścianami po dwie wielkie figury przedstawiające bogów, z prawej strony złych, z lewej dobrych. Figury te robione są z gliny, a mianowicie w ten sposób, że na kawałek kija złożonego na krzyż okręconego słomą narzuca się glinę, z czego dopiero formuje się tułów, ręce, głowę, poczem to wszystko wygładza i maluje farbami kolorowemi i złotemi tak, że figura taka wygląda zupełnie jakby była zrobiona z drzewa. — W niektórych tylko starszych figurach już nieco przyniszczonych zębem czasu, oderwany palec, lub nawet część ręki i wystający wskutek tego kawałek patyka owiniętego słomą świadczy o kruchej istocie całego bożka.

Ze świątyni tej przez podwórze obszerne przechodzi się do następnej w której znajdują się posąжки bożków chińskich, w ładnych, szklanych, małych gablotkach.

Czwarty czy piąty budynek z rzędu jest świątynią Buddy; gmach obszerny, wielki. Nawprost drzwi wchodowych znajduje się olbrzymi posąg stojącego Buddy.

Posąg ten wysoki na przeszło cztery piętra, wyciosany jest z jednego kawałka drzewa, które rośnie w Tybecie. — U spodu objętość jego jest tak wielka, że siedmiu do ośmiu mężczyzn musi się wziąć za ręce, aby go objąć. — Dookoła posągu idą piętrami kruzganki, na które można wchodzić i z odpowiednich wysokości go oglądać. — Wyszedłszy na ostatnie piętro, widać wielką, poważną, głowę bożka o dużych groźnych oczach. — Z całą satysfakcją każdy widz dotyka ręką oczu, ust, uszu stojącego bożka-olbrzyma, przekonując się naocznie i namacalnie, czy to wszystko jest rzeczywiście z drzewa, poczem na zakończenie swego badania daje z pewnem zadowoleniem potężny psztyczek w nos czteropiętrowemu Buddzie.

Na piętrowych kruzgankach okalających Budę dookoła znajdują się na stopniowanych podstawach małe brązowe posąжки siedzącego Buddy; wszystkie jednakiej wielkości, wszystkie tego samego kształtu i wszystkie przywiązane silnie, żelaznymi drutami do drewnianych podstaw, na których spoczywają. Nie wiedziałem jak sobie to wytłumaczyć, w końcu objaśniono mi, że posąжки te są dlatego tak silnie przywiązane, ponieważ europejczycy w czasie zwiedzania świą-

tyni zabierali, czyli poprostu kradli drogocenne te figurki, ot tak na pamiątkę oglądania świątyni.

W ogóle opowiadają o anglikach, że całe magazyny rzeczy wywieźli z tej świątyni, niby to ze czci i zainteresowania się sztuką, a w rzeczywistości, aby tylko wzbogacić swoje muzea i upiększyć domy prywatne, tak, że aż rząd chiński musiał wkroczyć w tę sprawę i wydać odpowiednią ustawę zabraniającą ostro nawet najmniejszą rzecz wynosić ze świątyni.

Obecnie bez przewodnika świątyni tej zwiedzać nie wolno. Pomimo tego jednak sprytni europejczycy urządzają się w ten sposób, że większemi grupami wybierają się na zwiedzenie. Czterech lub więcej otacza przewodnika pod pretekstem, że chcą się fotografować na tle świątyni lub bożka, podczas gdy dwaj inni kradną na lewo, na prawo przecinając nierzadko silnemi obcęgami żelazne druty i chowając następnie kradzione przedmioty pod ubranie.

Całe szeregi świątyń w których znajdują się takie same ołtarze, a na nich poustawiane posągi Buddy musi się przejść, aby dostać się do ostatniej małej świątyni, w której znajduje się bożek półczłowiek-półkoń. Przed nim pali się na trójnogu stale ognisko i drobne świece w lichtarzu. Tutaj także znajdują się maski przedstawiające różne dzikie zwierzęta, jak lwy, tygrysy, niedźwiedzie i td. oraz odpowiednie kostjumy, w które to rzeczy przebierają się podczas uroczystości księża chińscy, i w takich strojach biorą udział w procesji.

Przy wyjściu z świątyni znajduje się duży obraz ręcznie malowany składający się z całego szeregu ma-

łych obrazków przedstawiających urodzenie się Buddy i jego żywot.

Opuściwszy świątynię i wszedłszy na podwórzec zachodzi się jeszcze do jednej pagody stojącej na osobności, która wygląda jak jedna z naszych dzwonnice stojących przy kościele. — Zaszedłszy tam spotyka się chińczyka, który nibyto chce jeszcze oprowadzać po tej pagodzie. Jest to jeden z posługaczy, w rodzaju kościelnego należących do świątyni Lamy. — Chińczyk ten ma za pazuchą lub też w długich kieszeniach swego kimona ukryte figurki bożków chińskich wypalane z gliny. — I jak z poprzednich świątyń nawet igły wynieść nie można, tak ten znowu rzekomo przewodnik nibyto ostrożnie wyciąga z poza pazuchy figurki i głosem tajemniczym pełnym namaszczenia szepce, że rzeczy te pochodzą ze świątyni Lamy, i że on w skrytości przed innymi zakonnikami je sprzedaje. — Jako cenę stawia dolara za każdą figurkę. Jest to prosty oszust, który figurki te nabywa na jarmarku, co każdy może sam zrobić za parę centimów, a następnie wykorzystując nieświadomość zwiedzających po raz pierwszy świątynię stara im się rzeczy te za drogie pieniądze sprzedać. — Po długich nibyto targach ustępuje i sprzedaje posążki po 10 centimów.

Niedaleko od świątyni Lamy jest świątynia Konfucjusza. — Świątynia ta składa się także z kilku budynków zupełnie prostych, pojedynczych bez żadnych ozdób i jest cała tak wewnątrz jak również i na zewnątrz malowana na czerwono. — Wewnątrz jest pusta zupełnie, wypełniają ją tylko ławki do siedzenia. — Na podwórzu stoją liczne obeliski zaopatrzone pismem ta-

tarskiem i chińskiem. Wstęp do tej świątyni kosztuje 20 do 30 centimów.

Ze świątyń znajdujących się w Pekinie i okolicy zasługuje jeszcze na wzmiankę świątynia pięciu pagód. Położona jest poza miastem, w odległości mniejwięcej godziny drogi riksą. Świątynia ta przedstawia się w ten sposób, że wygląda jak duży dwupiętrowy dom bez okien, dwie bramy zaś, prowadzące od wschodu i zachodu są obecnie zamurowane. Na płaskim dachu tej świątyni znajduje się pięć pagód rozmieszczonych po czterech rogach i na środku dachu i od tych pagód pochodzi nazwa świątyni.

Wszystkie cztery zewnętrzne ściany świątyni pokryte są rzeźbami Buddy, w pięciu szeregach jakby piętra nad sobą. Rzeźby te rozmieszczone jedne obok drugich, biegną dookoła wszystkich ścian pasami, a pasów tych jest pięć. Dookoła świątyni rosną wierzby nadające jej pewnego rodzaju romantyczność. — Jest to ulubione miejsce wycieczek chińczyków, którzy z klatkami i kanarkami swoimi tu przychodzą, a powiesiwszy klatki na wierzbach całymi dniami wylegują się tutaj w cieniu rozłożystych drzew.

W środku miasta położone jest tak zwane zakazane miejsce którego zwiedzać nie wolno.

Dwa są pałace cesarskie w Pekinie. — Jeden w środku miasta, tak zwany pałac zimowy, drugi poza miastem pałac letni zbudowany nad jeziorem. — Pałac letni oddalony jest od Pekinu dwie godziny drogi riksą, a zbudowany jest częścią na równinie częścią na stokach góry przytykającej do niej.

Sam pałac cesarski urządzony jest wewnątrz wspa-

niale. Piękne meble, rzeźby, kobierce i makaty wypełniają wnętrze. Składa się on z kilkunastu budynków rozrzuconych po parku, wzdłuż jeziora, nad którego brzegiem mieszczą się wszystkie zabudowania. Prawie od samego wejścia do końca parku ciągnie się wzdłuż jeziora otwarty korytarz zbudowany z drzewa, nakryty dachem, ślicznie od wewnątrz malowanym. Na szczególniejszą uwagę zasługują tutaj krokwie łączące wiązania dachów, upięksovone pejzażami przedstawiającymi sceny z życia chińczyków, a każdy pejzaż jest w innym guście. Przy końcu parku znajduje się miejsce urządzone na kształt morskiego molo, z którego wchodzi się do łodzi, przywiązanych do brzegu. — Opodal znajduje się na jeziorze okręt zbudowany z białego marmuru, którego fundamenty są poprostu wmurowane w dno jeziora, a sam okręt jest tylko imitacją prawdziwego okrętu. — Na dole jest ogromna sala jadalna z lustrami, z której jak na prawdziwym okręcie wychodzi się schodami na pokład. Na otwartym pokładzie jest druga sala restauracyjna. — Cały zaś okręt jest w istocie tylko wielką herbaciarnią chińską, w której można dostać także i różne przekąski.

Jak wszędzie tak i tutaj fantazja chińska zadowolila się prostą imitacją.

Pałac zimowy położony w środku miasta, otoczony jest wysokim murem, wzdłuż którego ciągną się szerokie lecz niezbyt głębokie stawy o brzegach obmurowanych z ciosanego kamienia. — Część tylko tego pałacu można zwiedzać, reszta zaś jest zamknięta i niedostępna dla widzów, a w szczególności dla europejczyków. Obok tego pałacu cesarskiego znajduje się wielki

park miejski, który stale dotychczas był zamknięty i dopiero od roku 1916 został otwarty dla użytku publiczności.

W parku tym znajduje się cały szereg chińskich herbaciarni zbudowanych w kształcie odkrytych werand, altanek, kiosków i td. — Znajduje się tam także cały szereg stolików pod gołym niebem, obok których rozstawione są krzesła. Krzesła te i stoliki zajmują skwapliwie chińczycy i chinki wysiadujący cały dzień w parku.

Wstęp do ogrodu otwarty jest przez cały dzień. Ścisk gości przechadzających się popołudniu jest tak wielki, że nieraz przejść swobodnie nie można, a co najważniejsza jeszcze, nie można nawet wstąpić do żadnej herbaciarni, albowiem wszystkie miejsca są pozajmowane.

Obserwowałem niektórych chińczyków, którzy z całą satysfakcją przesiadywali całymi godzinami przy próżnych stolikach, ściągawszy pantofle ze swoich nóg i wyciągnawszy następnie wygodnie nogi na drugiem krześle. — W takiej pozycji, w takim stanie zapamiętania czy zapomnienia przesiadywali trzy do czterech godzin na miejscu, zapatrzeni obojętnie w słońce, paląc tylko papierosy i popijając sodową wodę.

Tymczasem usługujący boye roznoszą herbatę, lody, wodę sodową z sokiem, lemoniadę. Goście siedząc przy stolikach piją swoją herbatę, wyciągają nogi na drugie stoliki i patrzą bezmyślnie zamglonemi oczyma w słońce. Popołudniu odbywa się stale w parku promenada najlepszych rodzin chińskich w Pekinie, w której biorą udział i pierwszorzędne piękności i stare mon-

stra chińskie, na które nawet patrzeć nie można. — Wi-
dać tutaj piękne chinki z pokolenia Mandżu (północnej
prowincji) które mają całe policzki silnie wymalowane
różem, brwi grubo pociągnięte tuszem, włosy zaś czarne
zaczesane są w wysoką fryzurę, która po obu stronach
głowy ma duże pukle. — Z tyłu zaś fryzury zatknięte
są na krzyż duże szpilki.

Idą także chinki z prowincji Chifu, Tientsinu, Shang-
haju i dalszych południowych okolic. Te mają włosy
gładko zaczesane i zaplecione w długi warkocz, —
mało która z nich jest wymalowana, natomiast każda
prawie ma usta silnie pociągnięte karminem.

Spacerują one albo same albo w towarzystwie swoich
mam. Młode chinki ubrane są w białe pantofelki, jed-
wabne skarpetki, jedwabne wąskie spodenki, które im
sięgają wyżej kostek i jedwabną jakę z rękawami, za-
piętą pod szyją i pod pachą. — Jako ostatni szyk ele-
gancji każda młoda chinka nosi jedwabną chusteczkę
do nosa, którą albo trzyma w ręce za jeden koniec,
albo też zakłada ją pod pachę za jakę. — Młode chinki
palą stale na ulicach papierosy i czynią to z pewnego
rodzaju dumą.

Stare chinki wychodzą na promenadę w zwykłych
swoich strojach koloru niebieskiego. — Niektóre z nich
są wprost potwornie brzydkie. — Twarz stara i po-
marszczona, żółte zęby nawpół zepsute, przytem u wielu
z nich zupełnie łysa czaszka, którą dla zamaskowania
łysiny smarują grubo tuszem. Kobiety te przedsta-
wiają istny obraz zupełnej ruiny fizycznej. Przyczynia
się zaś do tego ich wygląd i klimat w którym żyją

i choroby weneryczne, które pomiędzy chińczykami strasznie są rozpowszechnione.

Stare chinki idą drobnutkiemi kroczkami na swych małych zdeformowanych nóżkach paląc stale swe małe, na długich cybuszkach fajeczki.

Chińczycy bowiem jak również i chinki są namiętynymi palaczami tytoniu, choćby nawet bez opium.

Tu muszę nadmienić, że spódnice zaczynają chinki nosić — i to tylko młodsza generacja — dopiero od lat kilku, a tak zaś stale kobiety w Chinach noszą tylko spodenki.

Dzieci chińskie mają za całe ubranie tylko dwie oddzielne nogawki, które na szelkach przerzuconych przez plecy noszą na sobie.

Chińczycy mają twarze zupełnie ogolone, a to z powodu bardzo rzadkiego zarostu. Włosy zaś od jakich dziesięciu lat to znaczy od kiedy Juanszikaj został zamianowany prezydentem Chin, noszą krótko strzyżone.

Wielu jednak chińczyków w Pekinie nosi jeszcze dotąd warkocze. Warkocz bowiem na głowie w pojęciu chińczyków jest oznaką wierności cesarzowi chińskiemu. Juanszikaj, chcąc wykorzenić to przywiązanie chińczyków do dynastji cesarskiej, wydał rozkaz znoszący warkocze.

Rozkaz ten zwłaszcza w Pekinie spotkał się z silnym oporem. Wtenczas Juanszikaj przykazał, aby policjanci pełniący służbę na ulicach Pekinu i w innych miastach nosili stale ze sobą nożyce i każdemu chińczykowi który pokaże się na ulicy z warkoczem natychmiast go obcięli. — Tysiące, a można powiedzieć

miljony warkoczów znalazło się naraz w pałacu cesarskim obecnie rezydencji prezydenta, które następnie via Ameryka dostały się na targi europejskie.

W Ameryce każdy włos chiński przeszedł przez maszynę, głównie dlatego, że włosy chińczyków i japończyków są bardzo grube i bardzo twarde, — poczem z włosów tych porobiono peruki, w których paradowali również i europejczycy.

W kilka dni po moim przyjeździe do Pekinu mniej więcej koło 10 czerwca 1916 umarł prezydent Chin Juanszikaj. Już od dłuższego czasu wiedzieli wszyscy, że jest on ciężko chory, i że stan jego zdrowia jest beznadziejny. Był on od nóg do połowy ciała sparaliżowany.

Ile razy przy obiedzie pytaliśmy się naszych boyów chińczyków, — którzy mieli zawsze najświeższe wiadomości, — o zdrowie prezydenta, odpowiadali stale stereotypowo: „Koch immer besser, Juanszikaj immer schlechter“, co miało znaczyć, że kucharz który gotował dla Juanszikaja potrawy i rzekomo miał go truć powoli miał się coraz lepiej — Juanszikaj za to coraz gorzej.

Urzędowe jednak sprawozdania o stanie zdrowia prezydenta były bardzo skąpe. Ciągłe nazywało się, że się ma gorzej. Ostatecznie 10 czy 11 czerwca 1916 r. rozeszła się wiadomość o godzinie 10 rano, że Juanszikaj jest śmiertelnie chory i jak się zdaje niedługo już umrze. W godzinę później wyszła urzędowa wiadomość z pałacu cesarskiego, że stan zdrowia jest beznadziejny. Ostatecznie o godzinie 1-szej popołudniu ogłoszono oficjalnie że Juanszikaj umarł. Wszystko to jednak oka-

zało się później nieprawdą, gdyż umarł on dnia tego jeszcze o godzinie 5-tej rano.

Śmierci jego jednak nie chciano zaraz ogłaszać z pewnych powodów politycznych, i ogólno-państwowych. — Głównie zaś obawiano się rozruchów tak w Pekinie jak i w całym państwie na wiadomość o śmierci prezydenta, — który nietylko, że nie wypłacał żołnierzom żołdu przez kilka miesięcy ale jeszcze podobno miał naruszyć około dwóch milionów dolarów ze skarbcza państwowego. — Rozruchy te miało rozpocząć przede wszystkim wojsko, które od trzech miesięcy nie pobierało żołdu. Chcąc sobie to odbić miało ono wkroczyć ze wszystkich stron do Pekinu i zacząć rabować kupców chińskich, a gdyby się dało i europejczyków. — Sytuacja więc była bardzo groźna i niepocieszająca.

Już o godzinie 3-ej popołudniu w dzień śmierci prezydenta zebrali się przedstawiciele wszystkich ambasad w Pekinie na wspólną naradę, gdzie uchwalono: wzmocnić wszystkie ambasady przez odpowiednie barykady, zdwoić liczbę wart na murach każdej ambasady, wytoczyć na mury działa obronne. — Żołnierze przydzieleni do poszczególnych ambasad, mają trzymać odtąd stale ostre pogotowie. Na wypadek rozruchów w mieście i zbliżania się do Pekinu zbuntowanych wojsk chińskich, mają patrole, wysłane przez poszczególne ambasady, sprowadzać swoich poddanych do ambasady. Patrole te miały w mieście udzielać pomocy wszystkim bez wyjątku europejczykom, bez względu na narodowość którzyby się do nich o pomoc tę zwrócili.

Gdyby przyszło do bitwy z zbuntowanemi wojskami chińskimi, to wszystkie ambasady bez wyjątku mają

się wspierać przez przysłanie odpowiednich posiłków wojskowych.

Ambasada austriacka i włoska sąsiadowały ze sobą, a dzieliła ich od siebie tylko droga i brama żelazna zamykająca dostęp do miasta. Położenie jednak ambasady austriackiej było o wiele cięższe a zadanie trudniejsze, gdyż obejmowała ona róg tak zwanego kwadratu poselskiego, wskutek czego w razie napadu nieprzyjacielskiego miała bronić dwóch stron, (wschodniej i północnej) jak również swego narożnika, który w każdej twierdzy jest punktem najtrudniejszym do obrony! — Ponadto wspólnie z ambasadą włoską musieli austriacy bronić bramy i drogi idącej wzdłuż zachodniej strony ich ambasady. — Za drogą tą była ambasada włoska.

Drogi tej chcieli austriacy bronić wspólnie z włoskami w ten sposób, że włoski mieli przysłać jeden pluton żołnierzy złożony z dwudziestu ludzi do ambasady austriackiej. — Pluton ten byłby pod komendą austriacką. — Włoski jednak nie chcieli się na to zgodzić, żądając, aby właśnie dwudziestu austriackich marynarzy stanęło na murze ich ambasady. — Ambasada austriacka chciała się ostatecznie na to zgodzić, ale pod tym warunkiem, że ta część muru, czyli odcinka włoskiego, która zostanie obsadzona wspólnie przez żołnierzy austriackich i włoskich będzie pod komendą oficera austriackiego. — Na to włoski się znowu nie zgodzili.

Stanęło w końcu na tem, że holendrzy przysłali do ambasady austriackiej 20 żołnierzy, którzy w razie napadu staną na murach austriackich.

Tymczasem tak Japonja jak również Ameryka zażądały telegraficznie pomocy wojskowej z kraju i we-

dług opowiadania kilka bataljonów miało w kilku dniach nadejść do Pekinu.

Noc ta była niespokojna, pełna pracy i gorączkowych przygotowań i zarządzeń. — Wszystkie klomby z kwiatami, które były na podwórzu koszar marynarki austriackiej zniknęły w ciągu jednej nocy, a ziemią z klombów tych wypełniono worki, z których w razie napadu miano budować barykady pomiędzy murem austriackim i włoskim. — Wytoczono działa obronne na mur, wzmocniono warty i z naprężeniem oczekiwano nadejścia dnia.

W mieście tymczasem panował całą noc gorączkowy ruch, lęk i zamieszanie. Kupców chińskich w Pekinie opanowała wprost panika.

Znając napady, rozruchy i rabunki z lat poprzednich a zwłaszcza z roku 1911/1912 chińczycy drżeli na samą myśl i wspomnienie chwil, przeżytych w tych czasach. — Co prędzej więc wszyscy pakowali w ogromne skrzynie cenniejsze towary jedwabne, wszystko złoto i srebro i rzeczy te przewozili na wozach do ambasad poszczególnych państw.

Naprężenie i zdenerwowanie to trwało trzy do czterech dni, ostatecznie jednak sytuacja wyjaśniła się, a gorączkowy nastrój w mieście zaczął się powoli ustalać, tak że wojsko nie miało powodu do rabunku, ani ludność do rozruchów.

Pierwszy kandydat, którego chciano wybrać prezydentem na miejsce zmarłego odmówił przyjęcia tego urzędu, tłumacząc się, że w tym stanie rzeczy i obecnych stosunkach, rządzić państwem by nie mógł.

Drugi kandydat również zrazu nie chciał przyjąć

prezydentury, w końcu jednak zgodził się na nią pod warunkiem, że mu będzie przydana do pomocy przyboczna rada ministrów. — Wyraźnie bowiem powiedział, że on się na sprawach politycznych jako oficer nie rozumie, nie ma o nich pojęcia, — więc chcąc dobrze państwem rządzić potrzebuje głosu doradczego, którego udzielić mu mogą tylko ministrowie.

Tak więc całe przesilenie polityczne z powodu śmierci Juanszikaja jakoś na razie się załatwiło i przeszło szczęśliwie. Niektóre tylko południowe prowincje odmówiły nowemu prezydentowi posłuszeństwa, żądając przywrócenia monarchji.

Tymczasem w Pekinie i w całym państwie zaprowadzonym został zaraz po śmierci Juanszikaja stan wyjątkowy, mający na celu zapobiedz wszelkim choćby nawet najmniejszym rozruchom. Na skutek tego zarządzenia silne chińskie patrole wojskowe piesze i konne przeciągały dzień i noc po całym mieście.

Żołnierz idący na przodzie patroli niósł zawsze czerwoną podłużną tablicę z napisami chińskimi po jednej i drugiej stronie zawierającą ogłoszenie stanu wyjątkowego. — Patrol ta miała prawo natychmiastowej egzekucji, to znaczy, że o ileby przyłapała kogoś z chińczyków na gorącym uczynku, miała prawo natychmiast ukarać go śmiercią. — Takie same czerwone tablice ogłaszające zaprowadzenie stanu wyjątkowego były umieszczone we wszystkich publicznych lokalach chińskich, teatrach, kinach i td.

Widok takiej tablicy działał na chińczyków strasznie. Byłem świadkiem jak w jednym kinie chińskim młody jakiś żołnierz zanadto głośno rozmawiał i ru-

basznym zachowaniem się zwracał na siebie uwagę wszystkich. Oficer chiński zauważywszy to podszedł ku niemu i począł go ostro strofować, wskazując równocześnie na zatkniętą obok tablicę czerwoną publikującą stan wyjątkowy. Żołnierz zbłądził i przestraszony począł coś bełkotać na swoje usprawiedliwienie drżąc na całym ciele, — wiedział bowiem jaka czeka go kara w razie odprowadzenia na odwach. — Widać jednak, że oficer był dosyć względny i poprzestał tylko na ostrem zestrofowaniu żołnierza.

Kino chińskie, które wtedy zwiedzałem urządzone było tak samo jak i nasze. Nie gra w niem jednak podczas przedstawienia muzyka. Miejsca są po 20 i 40 centimów, pierwszorzędne zaś fotele kosztują 80 centimów. Przed kasą stoi chińczyk, który zapowiada kasjerowi, jakie miejsce gość sobie życzy. Chińczycy zwykle kupują drugie i trzeciorzędne miejsca.

Kiedy zażądałem pierwszorzędnego miejsca, portjer na cały głos zaczął krzyczeć i anonsować moje przyjęcie następującemi słowy: „jedno miejsce za 80 centimów dla gościa“ i z tem samem anonsowaniem wprowadził mnie następnie do środka.

Również i tutaj musi się pić herbatę, którą niezmiernie roznoszą boye na wszystkie strony. — Gorąco zaduch tłumią oddech. Muzyka jak wspomniałem nie gra, wskutek czego z początku gdy zaczną wyświetlać obrazy na płótnie suchy trzask motoru oddziałuje na widza dziwnie i nieprzyjemnie. — Obrazy są bardzo dobre, tam też po dwóch latach niewidzenia spotkałem na nowo powszechnie lubianego komika francuskiego Maksa Lindera. — O ile obrazy i w ogóle artyści na

plótnie podobają się chińczykom, brawom i hucznym oklaskom nie ma końca.

W pauzach podczas wyświetlania obrazów roznoszą boye pomiędzy widzów ręczniki maczane w gorącej wodzie. Goście chińczycy obcierają sobie ręce, twarze, szyje podanymi im ręcznikami, poczem zużyty ręcznik każdy gość zwraca nazad boyowi. — Ten aby nie chodzić z każdym brudnym ręcznikiem z osobna do kuchni, zbiera ich po kilkanaście na tacy, a następnie jeden po drugim rzuca górą ponad głowami widzów drugiemu boyowi, który stoi przy drzwiach wchodowych, ten zaś łapie je zgrabnie jeden za drugim i wyrzuca trzeciemu stojącemu już za drzwiami. — Za chwilę ręczniki te wyprane w gorącej wodzie ładnie ułożone na tacy wracają z powrotem na salę.

Prócz patroli pieszych przeciągały każdego wieczora przez miasto silne patrole kawalerji chińskiej, a ponadto wielu bogatych kupców chińskich powynajmowało sobie prywatnych wartowników do strzeżenia sklepów. — Wartownicy ci ubrani w zwykły kostjum niebieski chiński, mają za całą broń grubą sękatą palkę w ręce.

Tymczasem mijał spokojnie dzień za dniem i ostatecznie zbliżył się termin pogrzebu Juanszikaja. — Od 11-go bowiem do 29-go czerwca, to znaczy dnia pogrzebu leżały zabalsamowane zwłoki w pałacu cesarskim. — Pogrzeb tego pierwszego prezydenta Chin odbył się z całą paradą, jaką przepisuje ceremoniał chiński dla zmarłego cesarza.

Dnia 29 czerwca 1916 roku miały być zwłoki odprowadzone na wieczny spoczynek, tymczasem zaś dzień

ten poprzedził cały szereg uroczystości i ceremonji religijnych należących do obrzędu pogrzebowego.

Na trzy do czterech dni przed dniem pogrzebu rozpoczęły się one w świątyni uprawy ziemi.

Świątynia ta względnie budynki, które prowadzą do jej wnętrza są zwykle w normalnym czasie zamknięte. Jeden tylko budynek większy znajdujący się u samego wchodu zamieniony był stale na herbaciarnię bardzo nędznie urządzoną i bardzo słabo odwiedzaną przez chińczyków. Herbaciarnia ta ma tylko cztery gołe ściany, ponad którymi wznosi się odrazu dach, w środku zaś znajduje się kilka stolików z krzesłami. Podczas uroczystości pogrzebowej zaś budynek ten zamieniony został odrazu na piękną świątynię ładnie udekorowaną flagami, feretronami, chorągwiami i td. — Sala tego budynku (cały budynek tworzy jedną ogromną salę) została również bardzo ładnie przystrojona. Jedna połowa udekorowana była na biało, druga na czerwono. Od dachu w dół zwieszały się na lewo białe, na prawo czerwone chorągwie. W środku na podwyższeniu, do którego prowadziło kilka stopni znajdował się długi stół nakryty białym długim obrusem. Na stole tym umieszczony był portret zmarłego Juanszikaja, obok niego zaś paliły się świece, a nadto znajdowały się różne owoce, poukładane na szklanych koszach. Przed tym jakby ołtarzem poustawiane były imitacje ptaków i zwierząt, jak strusi, łabędzi, koni, mułów, a wszystko to robione było z cienkich gałązek świerkowych.

Na prawo od tego niby ołtarza w oddaleniu 10 do 15 kroków stał długi stół, przy którym siedział w środku jakiś bonza chiński niby mistrz ceremonji. — Na prawo

zaś od niego dwóch młodych bonzów czytało nieprzerwanie koran.

Stół ten był prawie że pod samą ścianą poprzeczną.

Po drugiej stronie ołtarza, to znaczy na lewo od wejścia pod ścianą stał cały szereg bonzów, którzy beznadziejnym i monotonnym głosem bez najmniejszej melodji, podobnym do beczenia barana śpiewali egzekwie pogrzebowe, uderzając od czasu do czasu pałkami w mosiężne tarcze.

Tłumy chińczyków znajdowały się wewnątrz świątyni. Przed ołtarzem stał chińczyk, który co kilka minut podnosił rękę do góry, a na ten znak czterech chińczyków występowało z tłumu, stawali rzędem obok siebie i jakby na komendę ruszali równo z miejsca i wstępując po stopniach na podwyższenie zbliżali się do portretu zmarłego. Gdy stanęli przed nim oddawali równocześnie czterokrotny pokłon, następnie znowu jakby na komendę robili w lewo zwrot i jeden za drugim odchodzili od stołu.

Następnie szła druga czwórka, trzecia, czwarta i tak cały dzień bez końca.

Tymczasem muzyka wojskowa chińska grała przez cały czas wewnątrz budynku marsze żałobne. — Druga wojskowa orkiestra grała przed budynkiem.

Obok świątyni w której odbywały się obrzędy religijne znajdował się niedaleko mniejszy budynek, dookoła którego biegła ładna cieniasta odkryta weranda. Pod tą werandą delegaci chińskiego ministerstwa spraw wewnętrznych przyjmowali wszystkich gości, którzy w uroczystościach pogrzebowych brali udział i należeli

байдз то да арыстакрацыі хііскай, байдз тэз да калоніі еўрапейчыкў.

Былім ўласніе ў швїатыні і абсервавалам абрўды і егзеквіе пагрэбове, гды нараз прыстапіл да мне якіс хіісчык парўадніе, елганеко ў новы једвабны кастјум хііскаі ўбраны і запытал грэчэніе, по аангелску, гдые мшскама? Удалам једнак же не розуміем о со сіе пыта, не вшдзаче ўласцівіе о со ходзі. Хіісчык једнак не даў за выграну, запытал мне повтўрніе гдые мшскама, почем грэчэніе выпросіл мне зе швїатыні. Былім певны, же мне выпрашзая длатого, абы не брач удзлау ў іх церемонјах релігійных. Кшдшмы једнак вышлі на подвўрзе хіісчык попросіл мне упрэжміе до столікў под веранда, гдые јуз масу было хіісчыкў, а кшдшмы зајелі мшсца пры століку запытал сіе чзого сіе напіју: гербаты, лемоніады, сода вшыкей?

Прыјаіам шкланку лемоніады. Јак сіе пўншј до вшдзлаіам, был то једен з бардо вшыкых ўрўэднікў мшстерства хііскаго, ктўры wraz з інными мшлі за заданіе вшыткых еўрапейчыкў і богатшых хіісчыкў бшрачых удзла ў церемонјах пагрэбовых запросіл на адпочынек до гербачіарні. — Сшдзаче пры століку розмавлаішмы з тым ўрўэдніком досыч длуго.

Остатечніе надшедл дшн пагрэбу змарлого прэзыдента. О годшніе 8-мш јано былішмы вшысцы зебранш на плацу перед паіацем сшсарскш, прэз ктўры мшл прэходшч кондукт пагрэбовы. Еўрапейчыцы мшлі своје спеціалне вызначэне мшсца, под колумнама, скўд можна было вшытко докладне абсервавач. Плац тен огромны маіоко мшншсшы јак краковскше

blonia, wyłożony taflami kamiennymi nadawał się rzeczywiście do tej wielkiej pompy, jaka się tu za chwilę miała odbyć.

Z boku stały dwa aparaty kinematograficzne włoski i chiński, które miały robić zdjęcia z całego pogrzebu.— Na prawo od nas na przodzie stali ambasadorowie i „attaché“ wszystkich państw reprezentowanych w Pekinie.

O godzinie 9-tej rano wyruszył kondukt pogrzebowy. Chińczykom tak tutaj na placu przed pałacem cesarskim, jak również i na murze okalającym miasto nie wolno się było znajdować, — mogli oni przypatrywać się pochodowi pogrzebowemu tylko poza murem otaczającym Pekin. — Tam też zebrały się ich całe tysiące, gdzie tłocząc się jeden przez drugiego chcieli cośkolwiek zobaczyć. — Tu jednak policja chińska pięścią i kijem bijąc niemiłosiernie po głowach, twarzach i plecach tłoczących się chińczyków odpędzała wszystkich tych, którzy chcąc cośkolwiek więcej zobaczyć, próbowali wydostać się przez zbity tłum.

Pochód pogrzebowy otwierały kompanje honorowe idące w kolumnach, wszystko w jedwabnych mundurach kolorowych, za nimi szli kulisi niosący tablice chińskie, za tymi postępowali duchowni, następnie muzyka, składająca się z klarnetu, długich siedmioletowych trąb, bębna i talerzy mosiężnych. Wzdłuż kowodu pogrzebowego po lewej stronie jechała kawalerja na niskich chińskich konikach. Następował teraz orszak księży i duchownych chińskich tak zwanych lamistów, którzy od czasu do czasu monotonnym głosem śpiewali jakieś pieśni, za nimi postępowali służący, którzy

przy pomocy odpowiedniej maszyny wyrzucali setki papierowych kółek w powietrze. Kółka te mają przedstawiać rzekomo kesze, to jest drobną monetę chińską, rzucaną na ofiarę. Teraz następowała generalicja, która zjechała się z całego państwa, a za nią dopiero niesiono zwłoki Juanszikaja na marach.

W Chinach nie używają karawanu jak u nas, lecz wkładają trumnę z nieboszczykiem do jednej stale na ten cel przeznaczonej trumny, która spoczywa na pewnego rodzaju podwyższeniu jakby katafalku. — Katafalk ten umieszczony jest na belkach długości sześciu do ośmiu metrów. — Te zaś długie belki spoczywają na poprzecznych krótszych, wszystko zaś razem dopiero przy pomocy małych drążków niosą chińczycy kulisi na swych ramionach.

Jest to wszystko razem wzięwszy jakby jedno wielkie rusztowanie, zbudowane z belek koloru czerwonego powiązanych sznurami. — Całe to rusztowanie czyli katafalk po pogrzebie natychmiast się rozbiera i następnie znowu przed każdym nowym pogrzebem nanawo składa.

Przebiegnie biorąc, do podniesienia tego całego rusztowania, potrzeba co najmniej pięćdziesięciu kulisów. W miarę zaś tego, czy umiera bogacz czy biedniejszy chińczyk liczba kulisów, którzy go mają nieść na swoich ramionach na cmentarz jest mniejsza lub większa.

Juanszikaja niosło stu dwudziestu kulisów, to jest największa liczba, która tylko cesarzowi przysługuje.

Ponieważ cały ten katafalk wraz z trumną jest bardzo ciężki, przeto kulisi muszą co parę kroków odpoczywać, a że katafalku na ziemi składać nie można czy nie wolno, przeto każdy z niosących kulisów ma

do dyspozycji drążek, którym podczas odpoczynku podiera rusztowanie, tak, że ono w danej chwili spoczywa tylko na stojących drążkach.

Oprócz tego z tyłu idzie rezerwa kulisów zwykle w ilości jednej trzeciej lub połowy do liczby niosących, która w danej chwili zmienia tych, którzy są już zmęczeni.

Podziwiałem zawsze sprawność kulisów niosących umarłych. — Drobnymi szybkimi kroczkami postępują oni wszyscy naprzód równocześnie, wszyscy w takt podnoszą nogę, stawiając jednakowe jakby odmierzone szybkie kroki. — Przytem tak są zapaleni do swojej pracy, że cała ich uwaga, cała myśl skierowana jest tylko na to, aby równo z miejsca wystąpić, równo iść i równo na miejscu stanąć. — Zaraz za trumną postępowała rodzina zmarłego prezydenta. Byli to tylko synowie jego ubrani w żałobne długie białe szaty jedwabne. Na głowach mieli białe berety, i szli wszyscy pod jednym dużym białym baldachimem. Zakończenie pogrzebu stanowiły powozy, ekwipaże i arby, w których jechały chinki.

Kiedy orszak pogrzebowy przechodził przez wielki plac przed domem cesarskim, reprezentacje, wszystkich ambasad w Pekinie, stojące dotąd z boku obok kolumn, przyłączyły się do konduktu pogrzebowego zajmując miejsca swoje zaraz za rodziną zmarłego.

Początkowo było planowanem, że ambasady zajmą miejsce na pogrzebie w trzech grupach w ten sposób, że Anglja, Francja, Rosja, Japonja, Belgja będą tworzyć pierwszą grupę, Austrja, Niemcy drugą, Ameryka, Hollandja, Meksyk i td. trzecią. — Ponieważ jednak An-

glicy spostrzegli się, że grupa ich mająca największe i najsilniejsze państwa reprezentować, będzie komicznie wyglądać, a nawet może dać powód do złośliwych uwag, a nawet fotografii wobec grupy nieprzyjacielskiej składającej się tylko z Austrii i Niemiec, przeto postanowiono tak, że wszystkie państwa pójdą razem w kondukcje pogrzebowym.

Pochód pogrzebowy wyszedłszy z dzielnicy i zabudowań pałacu cesarskiego przeszedł ulicą obok ambasy amerykańskiej minął bramę w murze okalającym miasto i skręcił na stację kolejową, gdzie zwłoki zostały wstawione do pociągu a następnie odwiezione do miejscowości skąd był rodem. Tam też spoczęło ciało jego w grobie familijnym.

Pewnego wieczoru nie mając nic innego do roboty, wziąłem jednego z chińczyków boyów ze sobą i udaliśmy się do miasta, chcąc zapoznać się z jego życiem nocnem. Wziąwszy riksze wsiedliśmy do nich i w szybkim tempie podążyliśmy w stronę dzielnicy handlowej, a następnie wpadłszy w jasno oświetloną, pięknie udekorowaną ulicę najbogatszych sklepów w Pekinie, którą już poprzednio opisałem wśród szalonego ścisku, zgielku i zamieszania posuwaliśmy się powoli naprzód. W końcu wydobywszy się znowu na wolną ulicę skręciliśmy raz i drugi na lewo i prawo zatrzymując się na dany znak przez przewodnika, przed jakimś domem chińskim. Boy jednak popatrzywszy na bramę tego domu, nad którą pozawieszane były tabliczki drewniane, przeczytawszy jedną za drugą po kolei skrzywił z grymasem usta i odezwał się z niechęcią: musimy jechać dalej, tu nie niema.

Rzeczywiście siadamy do rikszy i jedziemy dalej, a po pewnym czasie zatrzymujemy się znowu przed domem chińskim, nad którego bramą wchodową wisi cały szereg większych lub mniejszych tabliczek drewnianych z napisami chińskimi. Boy krzyczy już z daleka: „tu się zatrzymamy, tu jest dużo“, poczem objaśnia nas, dlaczego do poprzedniego domu nie weszliśmy.

Tam było mało tabliczek, więc i w środku nikogo nie będzie, tabliczki stare, a w dodatku małe, więc któż tam może mieszkać. Tu co innego, o! duża jedna tablica, nowa, ładnie malowana, obok niej druga, dziesiąta, piętnasta, będzie ich ze trzydzieści samych wielkich, a ze dwadzieścia małych, można wybierać, co kto chce.

To powiedziawszy otwiera bramę i wchodzimy do środka. Dwóch starych, o zupełnie przeżytych twarzach, bezzębnych chińczyków, wychodzi z jakiejś komórki na nasze przyjęcie, kłania się nisko, poczem zwróciwszy się w stronę podwórza zapowiada głośno, — ile sił w gardle starczy — nasze przybycie. — Wchodzimy na podwórze gdzie w górze są rozpięte wysoko do drągów przyczepione maty trzcinowe. Grupkami przy stołach siedzą chinki z chińczykami i gawędząc swobodnie popijają herbatę.

Minąwszy podwórze boy wprowadza nas do pięknie urządzonego salonu, gdzie każe nam się zatrzymać, a sam stanąwszy w drzwiach pokoju donośnym głosem zaczyna zwoływać wszystkie obecne w tym domu chinki.

I rzeczywiście, jakby na jakiś znak umówiony lub sygnał, zaroił się najpierw dziedziniec, a następnie i pokój, w którym czekaliśmy, od całej falangi kobiet chińskich. Tymczasem gospodarz domu, stanąwszy na środku

pokoju, przepuszczał jedną chinę za drugą i przedstawiając nam je, tłumaczył ile każda z nich ma lat, skąd pochodzi, kto jest jej ojcem i co dotychczas robiła. I tak szły jedna za drugą młode, przystojne najwyżej może piętnaście lub szesnaście lat mające chinki i z północnych prowincji i z miast Czi-fu, Tientsinu, Nankinu, Shang-haju i wielu innych. A było ich wszystkich może sześćdziesiąt, a może nawet i więcej. Niektóre z nich, te najmłodsze, przychodziły z mamami lub piastunkami, które miały strzedz swych córek względnie wychowanek jak oka w głowie. Po skończonej promenadzie i przedstawieniu wszystkich, gospodarz zapytał się nas grzecznie, które z nich właściwie chcemy zatrzymać w swoim towarzystwie. Odpowiedzieliśmy mu, że te dwie właśnie z miasta Czi-fu i jedną z Shang-haju, wszystkie najwyżej po piętnaście lat mające. Rzeczywiście, po jakimś czasie, wszystkie trzy zaproszone weszły do naszego pokoju, ale niestety w towarzystwie swoich matek, które ani na krok od córek swoich oddalić się nie chciały. Tymczasem zaś gospodarz przysłał nam już przez służących czajnik herbaty, jakieś owoce, pierniki i inne bakalje, za które to przysmaki każdy z nas musiał z góry zapłacić dolara 10 centimów — Nie wiedziałem jak sobie to wytłumaczyć i co to ma znaczyć, lecz wkrótce boy, którego zabraliśmy z ambasady objaśnił mi całą rzecz w krótkich słowach. Tutaj mówił, jest taki zwyczaj, że jak pierwszy raz gość przyjdzie to musi pić „tee“ (herbatę) i musi za to z góry zapłacić dolara 10 centimów. Za to wolno mu z chiną, która mu się podoba godzinę rozmawiać, poczem musi się zabierać do domu. Jeżeli mu

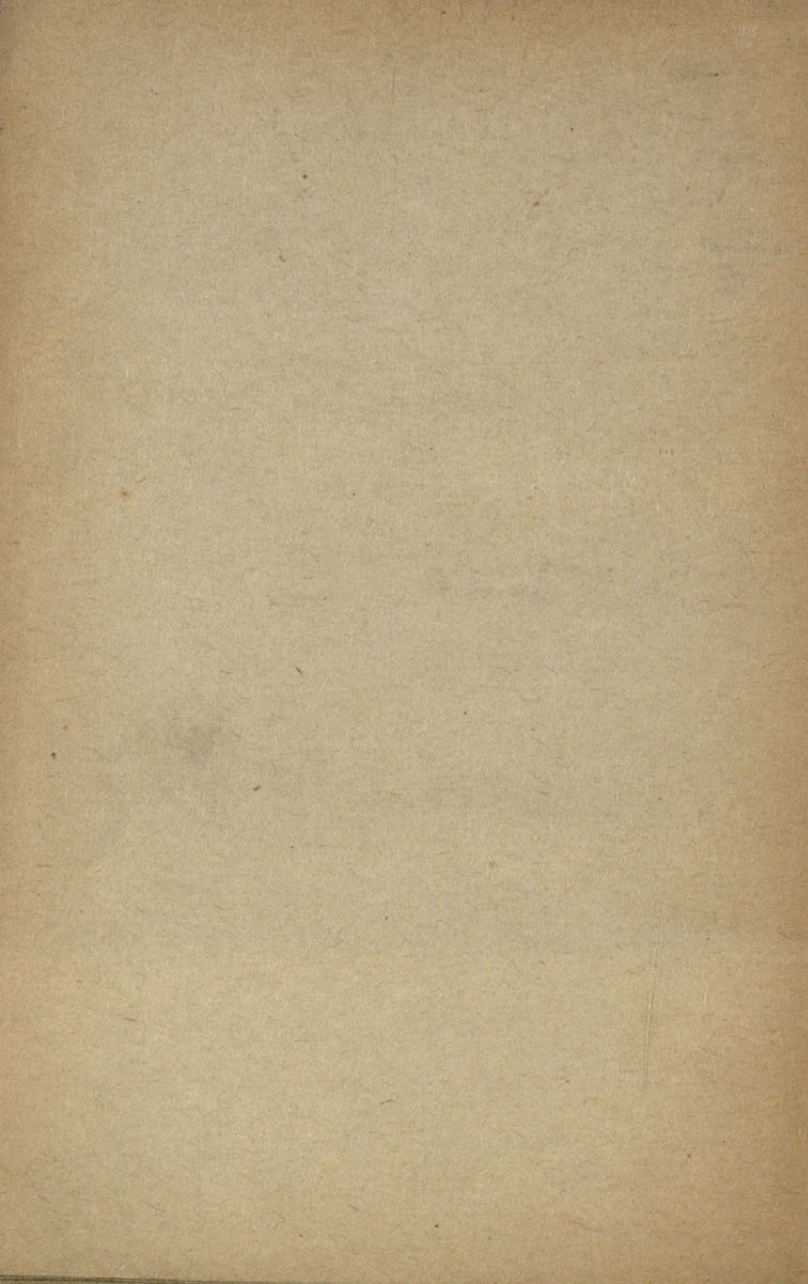
się chinka podoba to może przyjść na drugi dzień, znowu ją zaprosić w towarzystwie mamy do pokoju, znowu musi pić „tee“ za dolara 10 centimów, poczem po godzinnej rozmowie musi znowu odejść do domu. — Tak jest trzy razy i dopiero za trzecim razem, „jeżeli młodej chince gość się spodoba, wtenczas naznacza mu spotkanie bądź to u siebie, bądź też w mieszkaniu gościa i wtenczas dopiero można uzyskać od niej to, co u nas w Europie zwykle już za pierwszym razem się dostaje.

Zaraz po przybyciu do Pekinu widząc, że bez języka angielskiego nie będzie się można ruszyć w dalszą drogę, wziąłem się do nauki angielszczyzny i przy pomocy pewnego nauczyciela amerykańskiego po upływie dwóch miesięcy mogłem już dobrze rozmówić się po angielsku; a ponieważ zauważyłem, że kroki dyplomatyczne o wyrobienie mi jakiegoś miejsca na okręcie do Ameryki idą jak zwykle powoli, przeto nie namyślając się dłużej, pożegnałem się w ambasadzie i 1 sierpnia 1916 r. opuściłem Pekin.

K o n i e c c z ę ś c i p i e r w s z e j .

W Krakowie, 11 listopada 1917 r.





E|* 326089

KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



E|* 326089

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX



43327[1]